

ODRA

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

2

KWIECIEŃ 1961





SPONSOR DIGITALIZACJI

ODRA

WYDZIAŁ WIEDZĄCY
WYDZIAŁ WIEDZĄCY

WYDZIAŁ WIEDZĄCY
WYDZIAŁ WIEDZĄCY

2

WYDZIAŁ WIEDZĄCY

WYDZIAŁ WIEDZĄCY
KWIECIEŃ 1961

KOMITET REDAKCYJNY:

WŁADYSŁAW BIEŁOWICZ

STANISŁAW DAWSKI

RYSZARD HAJDUK

TYMOTEUSZ KARPOWICZ

JANUSZ KONIUSZ

CZESŁAW PILICHOWSKI

KAZIMIERZ POPIOLEK

IGNACY RUTKIEWICZ

WILHELM SZEWCZYK

ROMAN WERFEL

SEWERYN WYSŁOUCH

REDAKTOR NACZELNY:

TADEUSZ LUTOGNIEWSKI

SEKRETARZ REDAKCJI:

WOJCIECH WYSTUP

REDAKTOR GRAFICZNY:

ZBIGNIEW PALUSZAK

W NUMERZE:

MOMENT REFLEKSJI	5
<i>Wiktor Lemiesz</i>	
PRAWO W SŁUŻBIE ZBRODNI	7
<i>Ignacy Rutkiewicz</i>	
TRZY CZWARTE MILENIUM	17
<i>Roman Karpiński</i>	
TUROSZÓW 1961: ROMANTYCZNOŚĆ I TERMINARZE	27
<i>Elżbieta Drzewińska</i>	
KRĄG CIEMNOŚCI PRZERWANY?	35
<i>Zdzisław Hierowski</i>	
MŁODOŚĆ HANSA MARCHWITZY	39
<i>Bogdan Loeb</i>	
***, NOCE, ***	51
<i>Kalman Segal</i>	
OSKAR	53
<i>Wiesław Koszela</i>	
MIASTO Z OBRAZU, NIKIFOR	59
<i>Franciszek Berdowski</i>	
PRELUDIUM, DZBAN NA ŚWIATŁO, ***	60
<i>Witold Kapuściński</i>	
WYKŁAD	63
<i>Jadwiga Skotnicka</i>	
FLEKSJA I MEDYCYNĄ	69
<i>Roman Kaleta</i>	
„POCZWARA”	73
WOKÓŁ CERAMIKI I SZKŁA	
CZYLI SZKOŁA ARTYSTYCZNA A PRZEMYSŁ	76
<i>Edwarda Opoczyńska</i>	
INICJATYWA ZORGANIZOWANA	85
<i>Piotr Kajewski</i>	
MIECZYSLAW ZDANOWICZ	87
NAD KSIĄŻKAMI	
<i>Jan Kaczmarek</i>	
ODBUDOWA I ROZWÓJ	91
<i>Jerzy Uśpieński</i>	
MAŁSUPRA SILEZIO HIERAU KAJ HODIAU	92

93

Janusz Sowiński

ŚLĄSKIE DZIEJE MELPOMENY

94

Klemens Krzyżagórski

TADEUSZA KAJANA SZKICE POSPIESZNE

96

Zbigniew Kubikowski

POECI O WARMII I MAZURACH

97

Józef Kelera

HISTORIA NIECO FILUTERNA

99

Zbigniew Kubikowski

PRÓBA REGIONALNEGO TEMATU

100

Jan Zacharski

DLACZEGO ANDALUZJA?

103

NAD ODRĄ NAD NYSĄ

107

Z DZIAŁALNOŚCI TRZZ

111

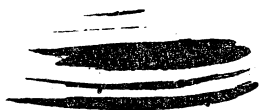
KSIĄŻKI NADEŚLANE

Okladkę projektował:

Andrzej Will

Na okładce: rysunek Mięczyława Zdanowicza.
Inne prace tego plastyka i jego sylwetka
twórcza — wewnątrz numeru

M O M E N T REFLEKSJI



Odwykliśmy od języka, który każde nieomal wydarzenie w życiu narodu każe chrzcić mianem historycznego. Słowo to rezerwujemy, chyba najsluszniej, dla faktów i spraw skali największej, wymiaru rzeczywistości epok. I nikt nie zamierza dowodzić, że dzień 16 kwietnia 1961 roku, dzień wyborów powszechnych do Sejmu i rad narodowych, jest czy będzie datą historyczną. Ale też na życie narodu nie składają się same tylko wydarzenia o randze historycznych, takie które decydują o kształcie jego losów na lat dziesiątki, na pokolenia.

Kadencja Sejmu trwa cztery lata, rad narodowych — trzy. To okres doprawdy krótki, gdyby go mierzyć skalą historii. Nie na zasadzie więc łatwego paradoksu powiada się, że wybory są sprawą z rzędu zwyczajnych, bliższych raczej codziennemu dniu robocznemu, niż świętu z fanfarami i bębnam.

Oczywiście dzień, w którym nasze głosy oddane na listy kandydatów Frontu Jedności Narodu ustalą skład przyszłego Sejmu i rad narodowych, od województwa do gromady, jest dniem o znaczeniu szczególnym. Nie ma co do tego wątpliwości i nie ma potrzeby przekonywać o tym kogokolwiek. Może jednak istotniejszy od samego aktu głosowania jest moment refleksji, jaki z natury rzeczy towarzyszy temu wydarzeniu.

Sejm ostatniej kadencji nazwano Sejmem pracującym; ten sam przymiotnik najsluszniej przysługuje również radom narodowym. Byłoby czymś zgoła zbędnym wyjaśniać, że w tym przymiotniku zawiera się nie kwalifikacja cech osobistego charakteru posłów i radnych, lecz obiektywnych warunków ich działalności. To znaczy zapewnienia jej charakteru rzeczywistego sprawowania władzy, nie zaś dekorowania swoimi osobami foteli w salach posiedzeń.

Szczegółowe bilanse rezultatów pracy Sejmu i rad narodowych zostały już sporządzone i opublikowane dawno. To nas uwalnia od obowiązku przedstawiania wyczerpującego rejestru spraw załatwionych i spraw do załatwienia. Nie inaczej jest z programami wyborczymi, szczegółowo określającymi kierunki działania i zadania nowego Sejmu i nowych rad narodowych.

Nie wyręczając wszakże księgowych, spróbujemy z tych bilansów wydobyć parę pozycji szczególnie wymownych i charakterystycznych dla stanu rzeczy czy, lepiej powiedziawszy, dla procesów rozwojowych społecznych i gospodarczych dziejących się u nas, nad Odrą.

To nawet nie budowa gigantycznego kombinatu górniczo-energetycznego w Turoszowie pod Zgorzelcem czy inicjo-

wana właśnie realizacja ogromnego zagłębia między Lubinem a Głogowem. I nawet nie fenomenalny sukces zeszłoroczny portu szczecińskiego, który pobił wszelkie rekordy obrotów, także przedwojenne. Już raczej imponujący sukces rolnictwa dolnośląskiego, które zajęło w roku ubiegłym drugą po Opol-skim pozycję w kraju, wyprzedzając Poznańskie i Bydgoskie.

Uwagę czytelników chciałbym bowiem skierować ku sprawom, w których aktywność, inicjatywa i konsekwencja mogą być przypisane wprost samemu społeczeństwu Nadodrza i jego radom narodowym. To nie chwyt taktyczny. Sądzę, że akcentowanie tego kręgu spraw posiada usprawiedliwienie wielostronne.

Wymieńmy hasło pierwsze: aktywizacja. W ostatnich kilku latach hasło głośne i modne, ale nade wszystko skuteczne. Wiemy dobrze, co ono oznacza. Gremialny renesans mniejszych ośrodków miejskich, pogrążonych poprzednio w marazmie. Nowe fabryki i warsztaty rzemieślnicze, rozpęd akcji remontów, porządków, wydobycie z martwoty czy wręcz regresu wielkiego potencjału produkcyjnego i zwłaszcza społecznego.

Osobne miejsce należy się tu sprawie, której na imię aktywizacja Odry, tego wielkiego szlaku komunikacyjnego. Znalazły się znaczne fundusze, powstał rozwinięty program na wiele lat naprzód. U podstaw tkwiła inicjatywa wychodząca „od dołu”, znad Odry, z Wrocławia.

Padło więc hasło drugie: inicjatywa. Formy, w jakich się przejawia, są najróżniejsze, ich wspólnym mianownikiem jest wyraźna w nich nuta ścisłego, osobistego związku ludności Nadodrza z ziemią, która jest znowu ziemią polską.

Dla Dolnego Śląska znamiennym przykładem służyć może społeczna akcja budowy ośrodka telewizyjnego we Wrocławiu, włączenie w krąg odbiorców telewizji dziesiątków najmniejszych osad i wsi. Te akcję przedłożyła inicjatywa stworzenia we Wrocławiu wielkiego kombinatu przemysłu elektronicznego, już zrealizowana pod nazwą „Elwro”, i jeszcze inna, jeszcze nie zakończona — własne studio nadawcze, programowe. W Opolu Instytut Śląski, powołany do życia z inicjatywy środowiska miejscowego, rewanżuje mu się szeroko zakrojonym programem systematycznych badań społeczno-gospodarczych, jakim żadne inne województwo nie może się poszczycić. Lubuskie Towarzystwo Kultury jest chlubą Zielonej Góry, znakomitym patronem niejednego już dziesiątka kół i stowarzyszeń regionalnych. Za jego sprawą ożywiają się małe, tkwiące dotąd w martwocie ośrodki, wyzwala się

twórcza inicjatywa społeczna, artystyczna.

Ten bujnie krzewiący się patriotyzm nadodrzański, ponad wszelką wątpliwość wolny od zaściankowych uprzedzeń, stanowi dziś już zjawisko o zasięgu powszechnym. Gdyby nanieść na mapę te miejscowości, w których działają grupy entuzjastów, całe Nadodrze wypełniłoby się barwnymi punkcikami. W Gorzowie i Jeleniej Górze, w Międzyrzeczcu i Trzebnicy, w Bytomiu Odrzańskim i Sobótce, w Kłodzku i Oleśnie. Tu ośrodkiem zainteresowania jest turystyka, gdzie indziej budowa własnego ośrodka kultury, jeszcze gdzie indziej działalność wydawnicza. Mnogość form, kierunków, sposobów — w sumie wielki kapitał energii społecznej, dotąd drzemiącej, bezużytecznej.

Nie byłoby powodu mówić o tym z okazji wyborów do rad narodowych, gdyby nie okoliczność, że z ich strony ta spontaniczna inicjatywa społeczna doznaje poparcia, pomocy, które rozstrzyga ją o powodzeniu.

Aktywizacja i inicjatywa — to dwa hasła naszego wyboru. Dorzucmy jeszcze trzecie: stabilizacja. Sam fakt wyzwalania się wielostronnej inicjatywy i energii jest jej dowodem koronnym. To stabilizacja psychiczna, najistotniejszy przejaw zakorzenienia się polskiej społeczności nad Odrą. Jest jeszcze dowód materialny. To niezwykle szybki, by nie rzec gwałtowny rozwój budownictwa społecznego i prywatnego, zjawisko przed laty czterema czy pięcioma nieomal zgola nieznane. Podobnie jak rosnące zainteresowanie chłopów zakupem ziemi jest przykładem z tego samego przecież kręgu.

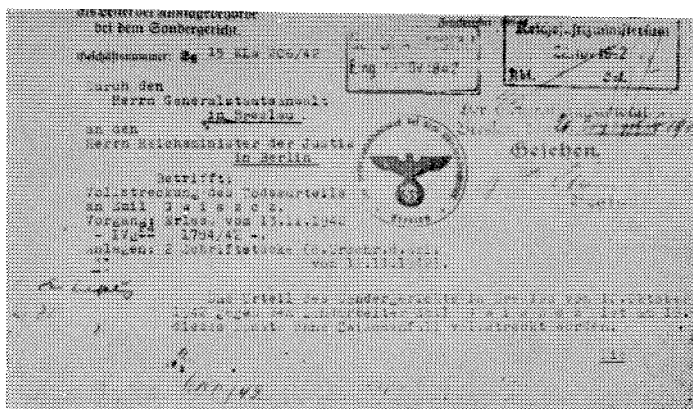
Trzy hasła, trzy wielkie sprawy z pewnością całości problemów, przed którymi stają nowe rady, nie wyczerpują. Stanowią przecież akcenty szczególnie charakterystyczne.

Trzeba gorących serc, ale zimnych głów, zapadł jest tym cenniejszy, im bardziej wspiera go trzeźwa kalkulacja. Tym walorom muszą sprostać przyszli posłowie, przyszli radni.

Społeczeństwo, dając aprobowanym przez siebie kandydatom na posłów i radnych mandat występowania w swoim imieniu, deklaruje zarazem swoje współdziałanie. Wyrazem tego będzie otaczające pracę rad stałe zainteresowanie, postawa twórczego krytycyzmu, czynne przejawianie własnej inicjatywy.

I to chyba powinno stanowić końcowy akcent naszych refleksji — niezupełnie okolicznościowych.

I. R.



Prawo w służbie zbrodni

WIKTOR LEMIESZ

Miliony ludzi wywieźli hitlerowcy w latach drugiej wojny światowej na przymusowe roboty. Wśród nich było prawie 3 miliony Polaków schwytanych w czasie łapanek lub ujętych w inny sposób. System postępowania wobec robotników deportowanych przez hitlerowców na roboty niewolnicze do III Rzeszy obliczony był przede wszystkim na maksymalny wyzysk. Polityka owa znalazła najbardziej chyba lapidarne określenie w oświadczeniu Franza Sauckela — pełnomocnika do spraw siły roboczej w III Rzeszy i największego w dziejach świata handlarza niewolnikami:

„... ludzi należy karmić, zakwaterować i obchodzić się z nimi tak, żeby eksploatować ich z największym efektem przy możliwie najniższych wydatkach“.

Twórcom systemu pracy niewolniczej chodziło jednak o coś więcej. Chodziło także o utrzymanie robotników cudzoziemskich w stanie ciągłego poniżenia godności narodowej i godności osobistej, o sparaliżowanie ich umysłowości i woli, o przyzwyczajanie do myśli, że są „podludźmi“ — Untermenschtum — których jedynym rozsądnym celem w życiu jest ułatwianie „rasie panów“ zdobycia władzy nad światem. Chodziło, krótko mówiąc, o ukształtowanie w nich psychiki niewolniczej.

Minister Spraw Wewnętrznych Rzeszy i Reichsfuehrer SS, Heinrich Himmler, pisał kiedyś:

„Powinniśmy zrozumieć, że mamy w Niemczech 6 lub 7 milionów cudzoziemców. Nie przedstawiają oni dla nas żadnego niebezpieczeństwa dopóty, dopóki stosujemy surowe środki z powodu każdej błahostki“.

Zgodnie z tym zaleceniem karano za byle co, a często i za nic. Robotnicy, którzy pracowali gorzej, przekraczali ustalone przez faszystów nakazy i zakazy, lub na których padał tylko cień podejrzenia, a często również ludzie zupełnie przypadkowi i niewinni — byli w zależności od sytuacji, od kaprysu i nastrojów ciemniejszych karani grzywną, chłostą, aresztem lub więzieniem. Innych wysyłano do „wychowawczych“ obozów pracy, karnych obozów pracy, obostrzonych obozów karnych lub obozów koncentracyjnych. Innych wreszcie pozbawiano życia na mocy „wyroku sądowego“.

W tego rodzaju zbrodniczych wyrokach specjalizowały się tzw. sądy specjalne. Również Sąd Specjalny we Wrocławiu wydał mnóstwo wyroków, o których można powiedzieć tylko tyle, że były to morderstwa dokonywane pod płaszczykiem prawa. Jeden z takich procesów odbył się 10 października 1942. Z zachowanego odpisu wyroku w sprawie oznaczonej sygnaturą Sg KLS 206/42522/42 dowiadujemy się, że Sąd rozpatrywał sprawę polskiej robotnicy Anny Zaremby, pochodzącej z powiatu żywieckiego, oraz polskiego robotnika rolnego Emila Gwiźdza, wywiezionego na przymusowe roboty z powiatu Bielsko.

Oskarżeni nie przyznali się do zarzucanych im czynów. Mimo to na podstawie „Rozporządzenia o prawie karnym dla Polaków“ zapadł wyrok skazujący.

Najpierw kilka słów o tym sławetnym dokumencie, który stał się przyczyną śmierci niezliczonej ilości niewinnych ludzi.

Rozporządzenie „O prawie karnym przeciwko Polakom i Żydom na wschodnich ziemiach wcielonych“ wydane zostało 4 grudnia 1941. Autorem jego był podsekretarz stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości, dr Schlegelberger, któremu Trybunał Administracyjny w Schleswig-Holstein przyznał w listopadzie 1960 rentę w wysokości 2 894 marki miesięcznie oraz 25.000 marek tytułem odszkodowania za zaniżenie renty w okresie poprzednim. Dr Schlegelberger z dumą przyznawał się do autorstwa tego rozporządzenia w memoriale wysłanym 17 kwietnia 1941 do szefa kancelarii Rzeszy.*)

Rozporządzenie „O prawie karnym dla Polaków i Żydów“ głosiło między innymi:

1) Polacy i Żydzi na wcielonych ziemiach wschodnich winni zachowywać się stosownie do ustaw niemieckich i do wydanych dla nich zarządzeń władz niemieckich. Powinni zaniechać wszystkiego, co przynosi uszczerbek suwerenności państwa niemieckiego i powodze narodu niemieckiego.

2) Jeśli popełniają czyn gwałtu (Gewalttat) przeciwko Niemcowi z powodu jego przynależności do narodu niemieckiego, karani są śmiercią.

3) Karani są śmiercią, a w mniej ciężkich przypadkach karą pozbawienia wolności, jeśli przez nienawistną albo podburzającą działalność wykazują nieprzyjazne dla Niemców usposobienie.

4) Karani są śmiercią (a w mniej ciężkich wypadkach pozbawieniem wolności):

a) jeśli dopuszczają się czynu gwałtu przeciwko członkowi Wehrmachtu

*) „Niurnbergskij Proces“. Zbiór materiałów w siedmiu tomach. Moskwa 1959, tom. IV, s. 697.

lub osobom z nim związanym, policji niemieckiej łącznie z jej siłami pomocniczymi, Arbeitsdienst, władzy niemieckiej albo jakiejś placówki służbowej, albo członu organizacyjnego (Gliederung) NSDAP;

b) jeśli umyślnie psują urządzenia albo przedmioty należące do władz niemieckich i placówek niemieckich, które służą ich działalności albo użytkowi powszechnemu;

c) jeśli używają lub podburzają do nieposłuszeństwa wobec rozporządzenia czy zarządzenia wydanego przez władze niemieckie;

d) jeśli umawiają się w celu popełnienia czynów karalnych w myśl ust. 2 i 3 oraz 4 nr 1—3, rozpoczynają poważne pertraktacje na ten temat, wyrażają gotowość ich popełnienia albo taką ofertę przyjmują, albo jeśli otrzymują wiarogodną wiadomość o takim czynie lub zamiśle w czasie, w którym niebezpieczeństwo może być jeszcze odwrócone, i nie donoszą o tym we właściwym czasie władzom lub zagrożonemu;

e) jeśli przyłapani są na nielegalnym posiadaniu broni palnej, granatu ręcznego, broni siecznej lub sztyletu, materiałów wybuchowych albo innego sprzętu wojennego, albo jeśli otrzymali wiarogodną wiadomość, że Polak lub Żyd posiada nielegalnie taki przedmiot, i zaniechali niezwłocznego doniesienia o tym władzy.

Przeciwko Polakom i Żydom orzeka się kary pozbawienia wolności, kary pieniężne i konfiskatę majątku. Karą pozbawienia wolności jest obóz karny na okres od 3 miesięcy do 10 lat. W ciężkich wypadkach karą pozbawienia wolności jest obostrzony obóz karny na okres od 2 do 15 lat.

Część 4 (zatytułowana: „Rozszerzenie obrębu działania § XIV“) mówiła:

1) Przepisy tego rozporządzenia stosuje się również wobec Polaków i Żydów, którzy 1 września mieszkali na terytorium byłego państwa polskiego, a czyny karalne popełnili nie tylko na terenie ziem wcielonych na wschodzie, ale i na innych obszarach państwa niemieckiego...

W ten sposób Polacy wywiezieni na przymusowe roboty do Rzeszy podlegali rozporządzeniu z grudnia 1941 r.



Z akt procesu Emila Gwiżdża i Anny Zaremby zachował się jedynie wyrok Sądu Specjalnego wraz z uzasadnieniem. Nie mamy natomiast protokołu rozprawy i innych dokumentów. Ale sam wyrok jest wstrząsającym świadectwem hitlerowskiego bezprawia. Wyrok brzmiał:

W imieniu narodu niemieckiego

SPRAWA KARNA

przeciwko:

1) robotnicy rolni Annie Zarembie z Chotkowa, pow. Żagań, Polce — obecnie w więzieniu śledczym we Wrocławiu, w areszcie śledczym — ur. 9 czerwca 1914 r. w Leśnej, pow. Żywiec,

2) robotnikowi rolnemu Emilowi Gwiżdżowi z Chotkowa, pow. Żagań, Polakowi — obecnie tu, w więzieniu śledczym, ur. 17 listopada 1924 w (...) pow. bielskim

o zbrodnię określoną § 1 zarządzenia przeciwko zbrodniarzom dopuszczającym się gwałtu (gegen Gewaltverbrecher) itd.

Sąd Specjalny III dla Oberlandesgerichtsbezirk we Wrocławiu przy Sądzie Landesgericht we Wrocławiu na posiedzeniu w dniu 10 października 1942, w którym udział wzięli: Landesgerichtsdirektor dr Rosner jako przewodniczący, Landesgerichtsrat Fuchs, Landesgerichtsrat Stuhldreer jako asesorzy, prokurator Gawellek jako przedstawiciel Urzędu Prokuratorskiego przy Są-

dzie Specjalnym, Justizsekretar Jaskowski jako urzędnik sądowy — wydał wyrok:

Oskarżeni dopuścili się obrazy, uszkodzenia ciała oraz gróźb i jako zbrodniarze dopuszczający się gwałtu zostają na podstawie „Rozporządzenia o prawie karnym dla Polaków“ skazani na śmierć. Koszty postępowania ponoszą oskarżeni.

Uzasadnienie:

I. Oskarżona Anna Zaremba urodziła się w roku 1914 w Leśnej, pow. żywiecki. Jest niezamężna i przyznaje się do narodowości polskiej. 1 września 1939 przebywała jeszcze na terytorium byłego państwa polskiego. W 1940 roku została skierowana do rolnika Haensela w Puszkowie w pobliżu Świętoszowa. Od 1942 została przez Urząd Pracy przydzielona do gospodyni wiejskiej, pani Weise w Chotkowie, dzielnica Studnice, pow. Żagań, u której pracowała od 13 marca br. do ostatniego czasu...

II. Oskarżony Emil Gwiżdż urodził się 17 listopada 1924 roku w pow. bielskim. Przyznaje się do narodowości polskiej, mieszkał 1 września 1939 na terytorium byłego państwa polskiego i jest kawalerem. On również pracował najpierw u rolnika Otto Haensela w Puszkowie, lecz stamtąd uciekł. W 1942 roku przydzielono go świadkowi Weise. Pani Weise, której małżonek został powołany do wojska w roku 1940, gospodaruje na 35-morgowym gospodarstwie. Jako siły robocze miała tylko oboje oskarżonych.

W ciągu pierwszych czterech tygodni oskarżeni prowadzili się dobrze. Później jednak przestali słuchać pracodawczyni, a kiedy świadek Weise mówiła im cokolwiek, chcieli wszystko lepiej wiedzieć.

29 kwietnia br. doszło po raz pierwszy do zatargu pomiędzy świadkiem Weise i oskarżonym Gwiżdżem, który jest bardzo popędliwy. Gwiżdż, rzekomo ze złości, że świadek „stale“ łżyła współoskarżoną Zarembę, rozbił 2 filiżanki. Zaremba, jego zdaniem, nie mogła więcej pracować, gdyż z powodu ciąży spuchły jej nogi. W niedzielę 28 czerwca br. ok. godziny 11 zdarzył się następujący incydent:

Oskarżona Zaremba przygotowywała dla oskarżonego Gwiżdża paszę dla koni i zadawała buraki do żłobu. Gospodyni stwierdziła przy tym, że w żłobie znalazł się zgniły burak; wzięła go, pakazała Zarembie i zażądała, by go wycięła. Oskarżona wzięła burak z rąk świadka i splunęła gospodyni w twarz, następnie uciekła przez stajnię, a pani Weise pobięła za nią. Potem chwyciła oskarżoną za pierś i chciała ją sprowadzić do świadka Muecke, aby ten ją ukarał. Popchnęła oskarżoną do tyłu, na podwórze. Ta broniła się w ten sposób, że ugryzła panią Weise w przedramię, biła ją i drapała.

Na podwórzu oskarżona upadła. Pani Weise uderzyła ją teraz ręką w twarz, a potem poszła do kuchni. W tym czasie oskarżona Zaremba głośno wołała oskarżonego Gwiżdża. Ten wyszedł ze swej izby i blisko drzwi wejściowych zderzył się z panią Weise. Schwytał ją, zaatakował, trzymał mocno za ramiona i podarł jej przy tym rękaw.

Praktykantka Ursula Walter pobięła tymczasem do świadka Muecke i sprowadziła go na pomoc. Muecke przybiegł i krzyknął do oskarżonego Gwiżdża: „Odejdź, drabie!“, na co Gwiżdż odpowiedział mniej więcej tak: „Czy myślisz, że ja się ciebie boję?“. Gwiżdż nazwał dalej świadka Muecke „niemiecką świnią“. Muecke uderzył teraz oskarżonego drewnianym pantoflem w twarz tak, że poszła mu krew z nosa. Gwiżdż próbował wyrwać młodą lipkę, co mu się jednak nie udało. Potem poszedł po drewnianą żerdź długości około 2,30 m i grubości mniej więcej przedramienia i podniósł ją na świadka Muecke, który stał w odległości około 2 do 4 metrów od niego, tak jakby miał zaatakować

„Pod względem merytorycznym i prawnym wyrok jest niewątpliwie słuszny...
...Zaremba jest kradną Polką...

...W stosunku do obojga oskarżonych więc proponuję wyrok wykonać...”

Stellungnahme:

Das Urteil ist in tatsächlicher und rechtlicher Beziehung bedenkfrei. Die Vnen sind zu recht als Gewaltverbrecher auf Grund der PolenstrafrechtsVO, zum Tode verurteilt worden. Bei dem Vn. Gwiazda sind Gnadengründe nicht gegeben.

Der Vn. hat sich in so schwerer Weise gegen seine Gehorsamspflicht als Pole gegenüber einer deutschen Bürgerin, der Ehemann zum Wehrdienst eingezogen ist, vergangen, daß seine Jugend und seiner bisherigen Strafflosigkeit keine Bedeutung beigemessen werden kann.

Bei der Vn. Zaremba bestehen gewisse Bedenken, zumal sie im 7. Monat schwanger ist. Belästigt für sie ist, daß sie bereits einige Tage vorher die Bürgerin mit einer Schippe bedroht hatte. Diese Bedrohung steht in Verbindung mit der späteren gewalttätigen Wideretzlichkeit läßt erkennen, daß auch die Vn. Zaremba eine aufässige Polin ist, die nicht gewillt ist, sich deutschen Anordnungen zu fügen. Auch bei ihr erscheint daher, zumal sie bereits dreimal wegen Diebstahls verurteilt ist, trotz ihrer Schwangerschaft, der GStA. hat m.E. zu Recht daraufhin hingewiesen, daß die Bestimmung des § 453 Abs. 2 StPO. nur eine Schutzvorschrift für deutsche Frauen sei - die Vollstreckung der Todesstrafe geboten.

Ich schlage daher bei beiden Vnen.

Vollstreckung

VGr.

Berlin, den 22. Oktober 1942.

Ich habe die Vollstreckung der Todesstrafe bei beiden Vnen nicht empfohlen. Ich habe jedoch von der Führung der Vollstreckung abgesehen. Ich habe mich nur an dem Urteil der Vn. Zaremba gehalten. Ich habe die Vollstreckung der Todesstrafe bei der Vn. Zaremba nicht empfohlen. Ich habe die Vollstreckung der Todesstrafe bei der Vn. Zaremba nicht empfohlen.

Muecke. Gdy Muecke wyraził się teraz: „Co, ty będziesz mnie bił?“, oskarżony odpowiedział mniej więcej tak: „Ja wam pokażę, co to są polskie pięści. Czy wy myślicie sobie, że możecie z nami robić, co chcecie, dlatego, że jesteśmy Polakami?“ Wpadł przy tym w taką złość i zdenerwowanie, że świadek Muecke jak najpoważniej przypuszczał, że będzie ich bił żerdzią.

Oskarżona Zaremba już raz w początkach czerwca 1942 ruszyła na panią Weise z łopatką (co prawda jej nie uderzyła), gdyż pani Weise robiła jej wyrzuty, że pracuje zbyt powoli.

Oskarżona Zaremba nie zaprzecza, że 28 czerwca 1942 r. miała zatarg z panią Weise. Daje jednak odmienny opis incydentu. Przede wszystkim zaprzecza, jakoby dawała koniom zgnile buraki, twierdzi, że została wtedy przyciśnięta do ściany przez panią Weise, i ta miała jej zadać cios w pierś tak, że

oskarżona padła na ścianę. Następnie miała ona spiąć, ale nie w twarz pani Weise, w każdym razie nie wie, czy trafiła panią Weise; twierdzi, że następnie została uderzona w twarz i wypchnięta na podwórze przez panią Weise tak, że wychodziła ze stajni odwrócona tyłem. Wtedy miała jej pani Weise zadać cios, po którym oskarżona upadła pod wóz. Tam świadek Weise biła ją od nowa. Wówczas oskarżona miała zawołać Gwiżdża; pani Weise — według relacji oskarżonej — również wyrwała jej włosy. Gdy potem oskarżona wstała i chciała udać się do swego pokoju, pani Weise usiłowała przytrzymać ją u drzwi wejściowych za pierś i znowu ją zaatakowała. Wówczas miał nadejść Gwiżdż z rzekomym zamiarem rozdzielenia ich, ale tego nie dokonał. Nadszedł Muecke i zaatakował Gwiżdża. Oskarżona dodaje następnie, że Gwiżdż podniósł chyba w górę żerdź długości około metra, lecz ją zaraz odrzucił. Oskarżona zaprzecza, jakoby panią Weise gryzła w ramię, pobiła i podrapała. W każdym razie twierdzi, że nie może sobie tego przypomnieć. Miała tylko powiedzieć świadkowi, żeby jej nie biła; miała przy tym użyć wyrazu „świnia“; pani Weise odrzekła na to: „Muszę cię zabić“.

Co się tyczy incydentu z łopatą, oskarżona przyznaje się, że ruszyła z szufłą na panią Weise; pani Weise miała ustawicznie uragać jej, że pracuje zbyt powoli; rzekomo otrzymywała również za mało pożywienia i miała spuchnięte nogi. W zeznaniach oskarżona zgłosiła, że jest w ciąży i że mniej więcej za dwa miesiące oczekuje dziecka.

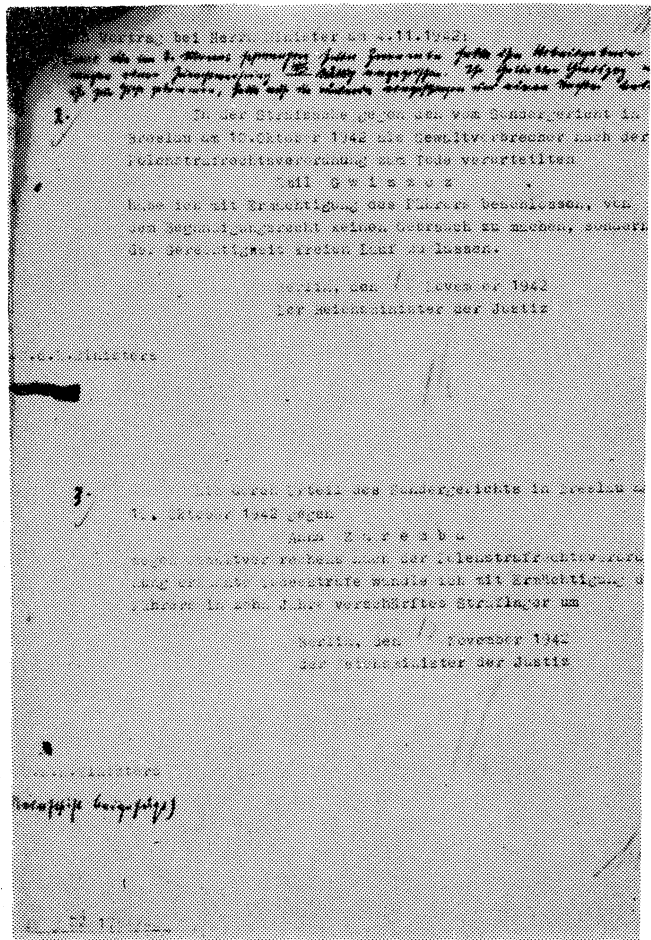
28 czerwca oskarżony Gwiżdż, gdy schodził z góry, widział rzekomo, że pani Weise biła Zarembę pantoflem, chciał je jakoby rozdzielić, ale nie bił pani Weise; Muecke miał go od razu uderzyć drewniakiem (Holzpantoffel) bez powodu tak, że mu krew poszła z nosa. Twierdzi, że w owej chwili nie wiedział już, co czyni. Dalej zaprzecza, jakoby powiedział „niemiecka świnia“, przyznaje się jednak, że wziął żerdź ok. 1,5 metra, ale ją tylko nieco podniósł do góry. Zaprzecza dalej, że próbował wyrwać lipę, raczej trzymał się jej tylko. Zaprzecza, jakoby powiedział, że chce bić świadka. Oskarżony dodał, że dawniej pewnego razu rozbił dwie filiżanki; miał to uczynić ze złości, gdyż pani Weise ustawicznie lżyła oskarżoną Zarembę. Ta nie mogła rzekomo więcej pracować, gdyż miała jakoby spuchnięte nogi.

Na podstawie wiarogodnych zaprzysiężonych zeznań świadków pani Weise i Muecke sąd doszedł do przekonania, że wydarzenia rozegrały się tak, jak zostały przedstawione na wstępie. Sąd nie miał wątpliwości co do prawdziwości zeznań. W szczególności należy stwierdzić, że nieprawdą jest, iż Zaremba splunęła przed świadkiem Weise, raczej napłuła jej w twarz i w ten sposób sprowokowała całe dalsze zachowanie się z jej strony. Nieprawdą jest dalej, że świadek biła oskarżoną jeszcze w stajni, a następnie i to, że świadek zatrzymała oskarżoną przed drzwiami wejściowymi i biła ją, tak że o jakiejś obronie koniecznej ze strony oskarżonego Gwiżdża na korzyść Zaremby nie mogło być mowy.

Oskarżony Gwiżdż nie podniósł tylko żerdzi w górę, lecz wywijał nią przed świadkiem Muecke: ten mógł i musiał wywnioskować z całego zachowania się Gwiżdża, że groził mu pobiciem żerdzią i że ta pogróżka pomyślana była zupełnie poważnie.

Oskarżeni zatem dopuścili się czynu karalnego, a mianowicie przede wszystkim obrazy i uszkodzenia ciała. Zaremba dopuściła się obrazy przez splunięcie na świadka Weise, Gwiżdż dopuścił się obrazy świadka Muecke przez nazwanie go „niemiecką świnia“. Uszkodzenia ciała dopuściła się Zaremba przez gryzienie, bicie i drapanie, a Gwiżdż przez to, że zaatakował Weise. Wymagane wnioski karne zostały postawione.

„... W sprawie karnej przeciwko Emilowi Gwiżdżowi... upoważniony przez Fuehrera postanowiłem nie skorzystać z prawa łaski, lecz pozwolić, by sprawiedliwość szła swoim trybem...”



Oskarżeni winni są poza tym groźby, a mianowicie Zaremba wtedy, gdy w początkach czerwca br. ruszyła z łopatą na panią Weise, Gwiżdż przez to, że z podniesioną żerdzią, grożąc, stanął naprzeciw świadka Muecke. Dla sądu nie ulega wątpliwości, iż obie groźby były pomyślane poważnie, zwłaszcza że oskarżeni znajdowali się w stanie silnego zdenerwowania. Obie groźby mają przy tym również znamiona ciężkich czynów gwałtu (stellen sich aber auch als schwere Gewalttaten) w sensie rozporządzenia o gwałtownych przestępcach (§ 1, cz. 1). Nie tylko łopatę, lecz także żerdź należy uznać za środek równy pod względem niebezpieczeństwa broni siecznej w sensie § 1 a.a.O. Nie ulega również wątpliwości, że groźba może być spełniona nie tylko przy użyciu broni, lecz również przy pomocy innych równie niebezpiecznych środków (por. nadto również Schwarz, „Komentarze do Kodeksu Karnego“, wydanie 9). Oskarżeni przedstawiają poza tym typ gwałtownego przestępcy z powodu zupełnie zacieklego (dosłownie: rozjuszonego) sposobu postępowania. W ten sposób podlegają rozporządzeniu o gwałtownych przestępcach, które zna tylko najcięższą karę, a mianowicie karę śmierci. Oboje podlegają również postanowieniom „Rozporządzenia o prawie karnym dla Polaków“, które w myśl części 1, § III, ustępu II orzeka karę śmierci tam, gdzie prawo ją przewiduje;

tym prawem jest w danym wypadku zarządzenie o gwałtownych przestęp-
cach.

Wymierzenie kary śmierci jest jednak w tym wypadku konieczne. Naród niemiecki toczy ciężką walkę o swe istnienie. Mężczyźni zdolni do pracy i noszenia broni są w polu, również małżonek p. Weise. Pozostałe w domu kobiety muszą równocześnie ciężko walczyć w rolnictwie o zapewnienie narodowi żywności. Przy wywołanym przez wojnę braku sił roboczych są one w znacznej mierze zdane na pomoc cudzoziemskich robotników; to znowu wymaga najsurowszej dyscypliny ze strony obcych robotników; przy wykroczeniach przeciwko dyscyplinie lub nawet krnąbrności z ich strony pożądane jest orzekanie kar.

Według tego wszystkiego należało orzec w stosunku do obydwójga karę śmierci.

Decyzja o kosztach oparta na § 465 RStPO.

Podpisali: dr Rosner, Fuchs, Stuhldreer.

Jak widać, oskarżeni nie przyznali się do winy. Sąd dał jednak wiarę tylko oskarżycielom, którzy postanowili definitywnie rozprawić się z krnąbrnymi i niewygodnymi Polakami. Zresztą zarzuty, gdyby nawet odpowiadały prawdzie, nie mogły być podstawą do tak surowego wyroku.

Gwiżdż i Zaremba zwrócili się z prośbą o ulaskawienie.

Na ten temat wypowiedano w Ministerstwie Sprawiedliwości Rzeszy sprzeczne opinie. Jeden z referentów pisał 22 października 1942, że wyrok jest pod względem merytorycznym i prawnym niewątpliwie słuszny. W sprawie wykonania wyroku na Gwiżdżu nie miał więc żadnych wątpliwości, mimo jego młodego wieku i dotychczasowej niekaralności. Za ulaskawieniem Zaremby przemawiała, jego zdaniem, siedmiomiesięczna ciąża. Jednakże postępowanie jej świadczyło o tym, że jest „krnąbrną Polką” i dlatego w konkluzji doszedł do wniosku, że i ona powinna być stracona.

Inny referent pisał, że „nie przyłącza się do wniosku o wykonanie wyroku”. Wskazywał na to, że oskarżeni mieli początkowo dobry stosunek do pracodawczyni. Stosunki zepsuły się dlatego, że gospodyni nie liczyła się ze zmniejszonymi wskutek ciąży możliwościami Zaremby, która ze swej strony z powodu ciąży podatna była na wzruszenia. Natomiast Gwiżdż, który zawsze był porywczy, sądził, że musi chronić swoją będącą w ciąży ukochaną oraz oczekiwane dziecko. Wniosek brzmiał: Zamiana wyroków śmierci na 10 lat obozu karnego.

Trzeci referent napisał krótko: „Gwiżdż nie jest godzien ulaskawienia...”. Natomiast skazanej, jego zdaniem, należało zamienić karę śmierci na 12 lat więzienia i oddać ją do dyspozycji Gestapo.

4 listopada po zreferowaniu wszystkich trzech opinii u ministra sprawiedliwości zapadła decyzja:

W sprawie karnej przeciwko Emilowi Gwiżdżowi skazanemu 10 października 1942 przez Sąd Specjalny we Wrocławiu (...) na śmierć, upoważniony przez Fuehrera postanowiłem nie skorzystać z prawa łaski, lecz pozwolić, by sprawiedliwość szła swoim trybem. Berlin, 12 listopada 1942 Reichsminister Sprawiedliwości.

Wyrok Sądu Specjalnego we Wrocławiu z 10 października 1942 przeciwko Annie Zarembie o gwałtowne przestępstwo... upoważniony przez Fuehrera zamieniam orzeczoną karę śmierci na dziesięć lat obostrzonego obozu karnego. Berlin, 12 listopada 1942, Reichsminister Sprawiedliwości.

Reichsminister Thierack wpisał własnoręcznie ołówkiem do przygotowanego tekstu liczbę „12” oraz położył parafę „Th”.

Autorowi nie są znane dalsze losy Zaremby. Wątpić jednak należy, czy po pologu przetrzymała katusze „obostrzonego obozu karnego“.

Natomiast Gwiżdż został pozbawiony życia. Zachowało się makabryczne pismo Prokuratury przy Sądzie Specjalnym we Wrocławiu do Reichsministra Sprawiedliwości:

Wyrok Sądu Specjalnego we Wrocławiu z 10 października 1942 przeciwko robotnikowi rolnemu Emilowi Gwiżdżowi został wykonany 18 bm. bez incydentów. Egzekucja trwała 9 sekund.

Skazanej Annie Zarembie oznajmiono dziś dekret o ulaskawieniu z 12 listopada 1942. w/z podpisał dr Draht, Nadprokurator.



Nie wiadomo, co się stało z Landesgerichtsratem Fuchsem, który wydał wyrok, podobnie jak nie wiadomo, co stało się z wieloma innymi pracownikami hitlerowskiego „wymiaru sprawiedliwości“, którzy maczali palce w tragicznej sprawie Gwiżdża i Zaremby, gorliwie realizując dyrektywy Hitlera i Himmlera.

Wiadomo za to, co porabia dr Rosner, przewodniczący krwawego kompletu. Piastuje szacowny urząd Landesgerichtsrata w Baden-Baden.

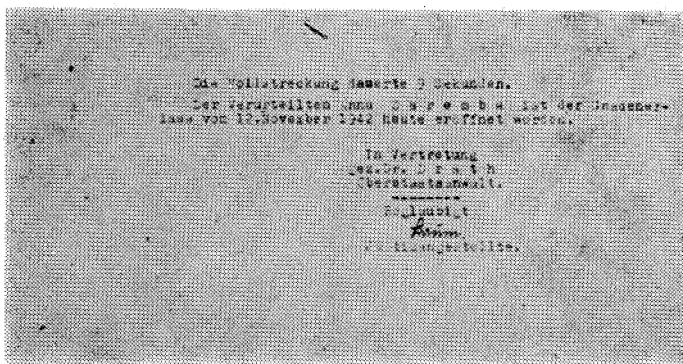
Wiadomo także, że Landesgerichtsrat Stuhldreer jest dziś Amtsgerichtsratem w Landshut, w Niemieckiej Republice Federalnej, i że tam z łaski władz bońskich „wymierza sprawiedliwość“.

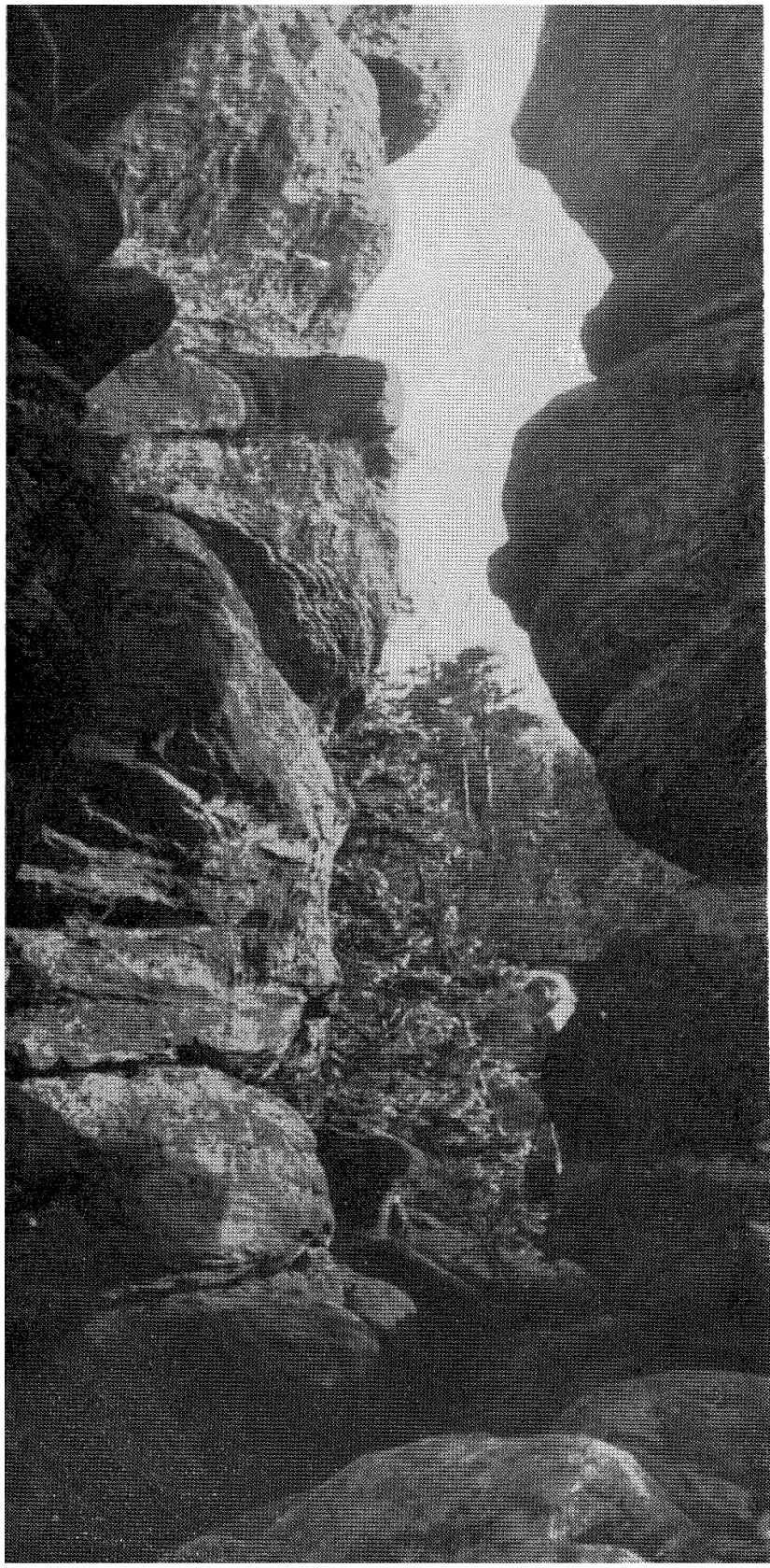
W NRF wytworzyła się bowiem taka sytuacja, że hitlerowscy kaci, wyspecjalizowani w dręczeniu i mordowaniu cudzoziemskich robotników, chodzą w laurach i nadal mają w rękach władzę, z którą nigdy nie wiadomo, co zechcą jutro zrobić...

Wiktor Lemiesz

„...Egzekucja trwała 9 sekund...”

(druga strona makabrycznego dokumentu, którego stronę pierwszą reprodukowujemy przy tytule artykułu)





Fotografował
Henryk
Derczyński

Zgłaszam wniosek w trybie nagłym, by na listę obchodów Tysiąclecia wpisać wielką rocznicę żeglugi na Odrze. Data jest wcale okrągła, równo 750 lat od dnia, w którym złożono podpisy i przybito pieczęcie na akcie otwierającym pisane, udokumentowane dzieje odrzańskiej nawigacji.

Sądzę, że warto pamiętać o tej rocznicy, chociaż nie jest to rocznica głośnego wydarzenia politycznego, sławnej bitwy, czy śmierci wielkiego męża stanu. Jubileusz rzecznej flotyli czy jubileusz rzeki, nieważne jak go bliżej określimy. Zresztą linii ostrego podziału przeprowadzić się nie da, nie bądźmy więc pedantami.

Pozostaje wyjaśnić nagłość wniosku. Owo 750-lecie upływa 15 kwietnia rb., rocznica gotowa nam umknąć niepostrzeżenie. Nie bagatela — trzy czwarte Milenium.

POŚRÓD SPORÓW I PODZIAŁÓW

Pierwszy dokument z historii żeglugi na Odrze, przynajmniej najwcześniejszy spośród nam znanych, jest zasługą księcia wrocławskiego Henryka Brodatego, który wspólnie z biskupem wrocławskim Wawrzyńcem wydał 15 kwietnia

1211 roku przywilej na rzecz cystersów z Lubiąża. Dokument zawierał nadanie kilku różnych przywilejów, wśród nich i tego dotyczącego odrzańskiej nawigacji:

„...pozwalamy nadto braciom lubiąskim, aby raz w roku swobodnie udawali się dwoma okrętami na Pomorze po śledzie i dwa razy w roku, także dwoma okrętami, po sól do Gubina i Lubusza, bez cła przez całą ziemię i władztwo nasze...”

Oczywiście, jak data roku 1211 jest pewna, tak jubileusz — umowny. Ale to samo da się powiedzieć o wszelkich bodaj jubileuszach, Tysiąclecia państwa polskiego nie wyłączać.

Bo też nie sposób przypuszczać, że handlowa nawigacja Odrą rozpoczęła się dopiero w początkach wieku XIII. Jeśli historycy odnoszą powstanie portu szczecińskiego do wieku IX, to zapewne już wówczas spławiano Odrą drzewo, a w górę jej biegu transportowano produkty morskiego handlu, zwłaszcza ryby. Zresztą sam tekst przywileju Henryka Brodatego dotyczy ułatwienia żeglugi na Odrze, nie jej inauguracji.

A utrudnień i przeszkód było wówczas co niemiara. Najpierw więc istna litania przeszkód najbardziej naturalnych. Odra, jak i każda inna rzeka w owych czasach, płynęła najzupełniej dziko, bieg miała nadzwyczajnie kręty, raz po raz przerzucała swe koryto na całej szerokości doliny, nurt rzeki obfitował w mielizny, to znowu gwałtowne wiry, tu i ówdzie z dna sterczały wielkie kłody drzew naniesione powodziami.

Ale bodaj gorsze od tych przeszkód naturalnych były przeszkody wynikające z rozwoju gospodarki człowieka. Do rzeki rościł sobie pretensje każdy, czyje tylko grunta przytykały do jej brzegów. Mnożyły się tedy jazy piętrzące wodę dla młynów, tamy dla połowu ryb, co prawda z przepustami dla statków czy dla łodzi, ale — jeśli wierzyć starym kronikom — dalekimi od zapewnienia bezpiecznego przejazdu.

W takich warunkach wygodniej było uprawiać żeglugę łodziami, z natury rzeczy zwrotniejszymi niż statki, które skądinąd nie przekraczały w owych czasach pojemności 10 ton. Zazwyczaj też wysyłano przodem konnego, by wytaczał nurt wiechami. W dół rzeki statki spływały z prądem, w górę — trzeba je było ciągnąć siłą zwierząt czy ludzi. Z czasem wprowadzono żagle.

Jak gdyby nie dość było wyliczonych co dopiero przeszkód, żeglugę na Odrze utrudniały jeszcze liczne stacje celne, ustanawiane przez panujących książąt, miasta, klasztory, co możniejszych rycerzy. Dokument z roku 1211 świadczy dowodnie, że opłaty celne dawały się właścicielom statków dobrze we znaki.

Gdy jednak wszystko to razem wzięte stanowiło tylko utrudnienie dla odrzańskiej nawigacji, utrudnienie zresztą wcale dotkliwe, to rozpowszechnione w feudalnym średniowieczu tzw. prawo składu doprowadziło ją do sytuacji, w której dziesiątkami lat znajdowała się ona na krawędzi kompletnego upadku. Oto prawo składu — obowiązujące tak na lądzie, jak na wodzie — przewidywało, że obcy kupcy mają wolny tj. bez cła przejazd przez miasto, ale muszą w zamian wyładować swój towar i wystawić go na sprzedaż. Łatwo zrozumieć, że obdarowane przez panującego księcia czy króla takim przywilejem miasto stawało się monopolistą w handlu: uzyskiwało dowóz towarów, przejmując dla własnych kupców możliwość wywozu.

Trzy wielkie miasta nadodrzańskie cieszyły się od drugiej połowy XIII wieku posiadaniem prawa składu: Wrocław, Frankfurt i Szczecin. Brużdząc sobie nawzajem rychło zadawały żegludze na Odrze cios niemal śmiertelny. Kupcy wrocławscy mogli korzystać z drogi wodnej tylko do Frankfurtu, po-



Pociąg holowniczy na tle starego klasztoru w Lubiążu

dobnie frankfurczycy w handlu morskim musieli korzystać z pośrednictwa Szczecina, który dla odmiany nie mógł handlować bezpośrednio z Wrocławiem.

Podział polityczny Nadodrza dopełnił miary. Każde z tych trzech miast miało innego patrona, jedność polityczna Odry przekreślona bowiem została już w połowie XIII stulecia, gdy Marchia Brandenburska opanowała Ziemię Lubuską i posunęła się ku wschodowi wzdłuż Warty. Z kolei w drugiej połowie XIV wieku Śląsk wpadł w ręce czeskie, a Szczecin podlegał samodzielnemu politycznie Pomorzu. Sprzeczne interesy tych państw i owych trzech miast — metropolii szły na przekór interesowi Odry jako jednolitej arterii wodnej.

W ciągu kilku wieków taki stan rzeczy utrzymywał się z niewielkimi odchyleniami. Stale żegluga na Odrze miała przeciw sobie te podziały i spory. Trafnie ujął to prof. Andrzej Grodek, współautor „Monografii Odry”:

„Nie ma... Odra tych tradycji, co Wisła, milczy o niej kronika i pieśń, a słychać tylko wrzawę sporów i kłótni, do kogo ma należeć i kto z niej ma prawo korzystać”.

Istotnie, kiedy po odzyskaniu przez Polskę ujść Wisły w drugiej połowie XV wieku rozwinęła się wiślana nawigacja, handel nade wszystko zbożem — istniejąca teoretycznie koniunktura dla Odry nie mogła być wyzyskana. Podzielona między kilku panów musiała Odra a wraz z nią żegluga przez parę wieków pozostawać w stanie permanentnego kryzysu.

W SŁUŻBIE PRUS I RZESZY

Po raz pierwszy polityczny podział Odry został przekreślony przez Prusy, z chwilą opanowania przez nie najpierw Pomorza Szczecińskiego w roku 1648, potem samego Szczecina w roku 1720, wreszcie Śląska w roku 1741. Zresztą w procesie powstawania państwa pruskiego, do czego droga prowadziła przez połączenie w jednym hohenzollernowskim ręką Brandenburgii i Prus Książęcych, pewną rolę odegrała sprawa żeglugi na Odrze. Oto — w roku 1618 — jednym z warunków zezwolenia przez króla i Sejm polski na owo zjednoczenie była zgoda elektora brandenburskiego na to, by kupcy polscy mogli swobodnie żeglować dolną Wartą i Odrą do Szczecina.

Zanim jednak cała Odra znalazła się pod jedną, pruską władzą, która, w

zgodzie z logiką scentralizowanej monarchii absolutnej, zniosła przywileje wielkich miast nadodrzańskich, nastąpiły na Odrze dwa wydarzenia zasługujące na miano wręcz zwrotnych.

Oto w latach 1660-1669 wybudowany został kanał łączący Odrę ze Sprewą, mający swój wylot nieco powyżej Frankfurtu. Kilkadziesiąt lat później podobny kanał połączył, poniżej Frankfurtu, Odrę z Hawelą. Z tą chwilą Odra została wprzęgnięta w dzieło jednoczenia prowincji państwa Hohenzollernów, jej naturalny kierunek południkowy zastąpiony — równoleżnikowym, ze wschodu na zachód.

Ta tendencja doznała wyraźnego wzmocnienia, kiedy od połowy XVIII stulecia nad całą Odrą rozpostarły się rządy pruskie. Zamarła poprzednio nawigacja ożywiła się co prawda, zniesiono większość przeszkód tamujących rozwój żeglugi, zabrano się do systematycznej regulacji rzeki, ale wbrew pozorom jedność Odry nie została przywrócona. Przeciwnie, kontakty na liniach Śląsk-Berlin i Szczecin-Berlin zyskały zdecydowaną przewagę nad naturalnym kierunkiem Śląsk-Szczecin.

W związku z tym na progu XIX stulecia został przekopany doliną Kłodnicy Kanał Kłodnicki, który powiązał Odrę z rozwijającym się górnoląskim za-

Na Odrze



głębiem węglowym, Koźle stało się portem przeładunkowym tego zagłębia. Następnie u schyłku XIX wieku i w początkach XX przeprowadzono na Odrze poważne roboty hydrotechniczne, które w efekcie przekształciły ją w nowoczesną drogę wodną. Ale nie od rzeczy będzie przypomnieć, że obydwa etapy tych inwestycji miały za sobą racje niedwuznacznie polityczne, nie gospodarcze.

I tak kanalizacja górnej Odry do Koźła po ujście Nysy Kłodzkiej miała stanowić rekompensatę za właśnie wybudowany kanał Dortmund-Ems łączący Westfalię z Morzem Północnym. Przedłużenie skanalizowanego odcinka Odry z kolei po Wrocław wywojowały sfery gospodarcze niemieckiego wówczas Śląska w zamian za wybudowanie kanału Ren-Mozela. Nieodmiennie powtarzał się mianowicie argument, że poważne inwestycje hydrotechniczne w Niemczech zachodnich, przy braku odpowiedniej rekompensaty na wschodzie, podkopią tu pozycję niemczyzny.

Zresztą argument rekompensaty był w użyciu do czasów najnowszych, przecież zastąpienie dawnego Kanału Kłodnickiego Kanałem Gliwickim, podjęte już w czasach hitlerowskich, miało być wyrównaniem za budowę Kanału Śródlądowego (Mittellandkanal), kilkusetkilometrową trasą łączącego Berlin z Westfalią.

W ogóle sytuacja Odry w Rzeszy nie była łatwa. Miarą trudności odrzańskiej żeglugi były specjalne stawki taryfowe, podwyższające jej konkurencyjność w stosunku do węgla westfalskiego, oraz — z drugiej strony — kierowanie dostaw zachodnioniemieckiego węgla do Berlina okrężną drogą via Szczecin. Otwarcie Mittellandkanal utracąło ostatnie racje takiemu ratowaniu Szczecina.

Dwie liczby mogą być uznane za miarodajne dla stopnia upośledzenia Odry w organizmie gospodarczym Rzeszy. Grupowało się tu mianowicie tylko 18 procent całej floty rzecznej ówczesnych Niemiec a obroty wahały się w granicach zaledwie 6—8 procent! Co lepszy i nowocześniejszy tabor uciekał na zachód, na Ren, gdzie lepsze też były warunki nawigacyjne i wyższa ekonomiczność przewozów.

Odrzańska żegluga miała charakter wyraźnie chałupniczy, gros taboru należało do właścicieli jednej barki, a jego wiek sięgał 30—50 lat, przy czym większość jednostek stanowiły barki bez własnego napędu. Na domiar brakowało Odrze stoczni rzecznych z prawdziwego zdarzenia, niemal wszystkie bowiem pochodziły sprzed pierwszej wojny i były gruntownie przestarzałe, niezdolne do seryjnej przemysłowej produkcji.

A oto liczby ilustrujące stopień wprzęgnięcia Odry w obce jej interesy niemieckie: połowa wszystkich przewozów na Odrze odbywała się w latach międzywojennych na trasie Śląsk — Berlin (z przewagą, i to kolosalną, kierunku do Berlina), jedna czwarta przypadała na trasę Szczecin — Berlin i odwrotnie, a ledwie pozostała jedna czwarta przewozów odbywała się na naturalnej trasie Śląsk — Szczecin!

GDY WRÓCIŁA TU POLSKA

W dwudziestoleciu linią Odry przebiegał 15-kilometrowy odcinek granicy polsko-niemieckiej, między Boguminem a Raciborzem; tylko taki był wówczas nasz dostęp do Odry. Wprawdzie traktat wersalski stwarzał podstawy do uznania Odry za rzekę międzynarodową, pod międzynarodową kontrolą z udziałem m. in. Polski, praktycznie jednak do tego nie doszło. Polska nie skorzystała także z możliwości posiadania własnego taboru na Odrze.

Dopiero w ćwierć wieku później wróciliśmy nad Odrę.

Już 16 sierpnia 1945 roku pierwszy pociąg barek wyruszył pod polską banderą w drogę z Koźła do Wrocławia. Trasa Koźle — Szczecin została zainaugurowana w 8 miesięcy później, w maju 1946. Obydwie daty nabierają pełnej wymowy, skoro się je zestawi z bilansem objęcia Odry.

Odrzańską arterię wodną bowiem zastaliśmy w stanie niemal kompletnej ruiny. Kilkanaście stopni wodnych, obydwa wielkie zbiorniki retencyjne, budowlę regulacyjną na Odrze środkowej i dolnej — to wszystko doznało zniszczeń ogromnych i wymagało już nie tylko wielkiego wysiłku odbudowy, lecz po prostu wiele czasu, by powrócić do normalnego stanu. Koryto rzeki przegradzały zwalone konstrukcje mostów i setki zatopionych barek, holowników, łodzi pilotowych. Stocznie rzeczne i porty strawił również pożar wojny. Z kilku tysięcy jednostek pływających objęliśmy zaledwie 4 holowniki i niespełna 30 barek.

Z tego punktu trzeba było startować i — wystartowano. Latem i jesienią 1945 roku odrzańskie barki już wiozły węgiel do Wrocławia, Poznania, Bydgoszczy. Dopiero w roku 1947 rozpoczęły się przewozy w obu kierunkach, w górę i w dół rzeki, kiedy straszliwie zdruzgotany port szczeciński z wolna począł powracać do życia. W roku 1945 przewieziono Odrą 7 tysięcy ton ładunków, w roku 1946 — prawie 30 tysięcy, w roku 1947 — blisko 100 tysięcy ton, w ciągu dwóch następnych lat wskaźniki przewozów wzrosły już do 750 tysięcy ton.

Ten szybki rozwój szedł w parze z postępami odbudowy szlaku wodnego, budowli hydrotechnicznych Odry skanalizowanej, regulacji Odry swobodnie płynącej i Kanału Gliwickiego. W roku 1948 zakończono budowę wielkiego zbiornika w Turawie na Małej Panwi, której Niemcy nie doprowadzili do końca. W rok później ruszyła budowa nowego stopnia wodnego w Brzegu Dolnym, przedłużająca skanalizowany odcinek Odry o 20 km.

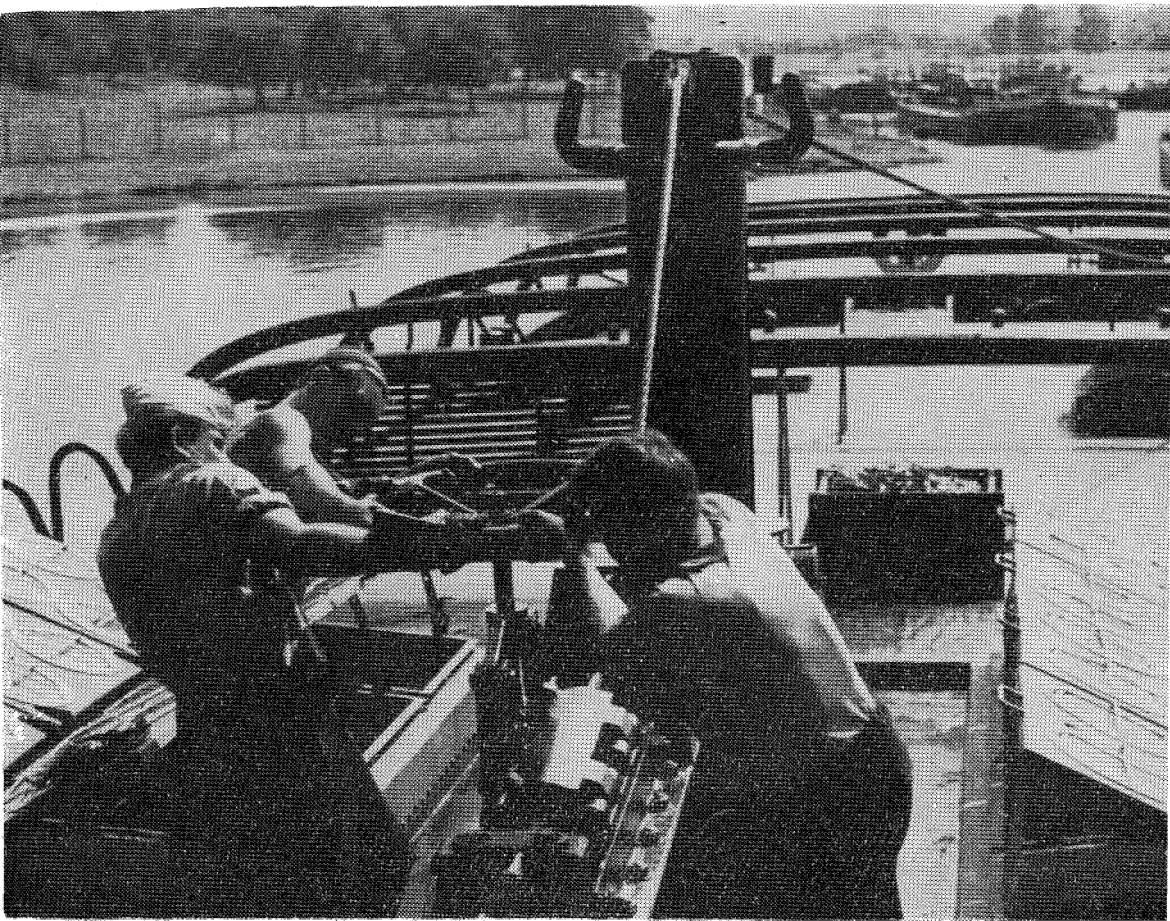
Najtrudniejsze problemy stwarzał katastrofalny wręcz brak taboru, gdyż na razie stocznie krajowe nie były w stanie podjąć się nowej produkcji. Pozostawało jedno rozwiązanie: odbudowa i przebudowa starych jednostek, wydobywanych z dna rzeki. Zadanie niewdzięczne, ale wówczas jedyne — tym sposobem uzyskano ponad 200 barek i pół setki holowników. Jeszcze w latach 50-tych metoda zwiększania ilości taboru niekończącym się remontowaniem starych obiektów była panująca, ale tym już chwalić się nie ma powodu. Trzeba przyznać, że zaraz w roku 1947 pomyślano o znacznie większym zasileniu flotyli holowniczej zakupami zagranicznymi, we Włoszech i w Holandii. Potem u progu lat 50-tych wybudowano kilka holowników w odbudowanej czy raczej zbudowanej na nowo wielkiej stoczni w Głogowie, a w stoczniach wrocławskich i głogowskiej — ponad 30 barek.

Lata 50-te — zatem lata planu 6-letniego, który dał naszej gospodarce narodowej ogromną rozbudowę przemysłu, zwłaszcza ciężkiego — na Odrze były okresem wyraźnej stagnacji. Zaniechano budowy nowego taboru, zresztą i poprzednio prowadzonej na bardzo małą skalę. Wielka stocznia głogowska przestawiła się na zgola inny rodzaj produkcji. Czechosłowacka żegluga wycofała swój tabor z Odry, na której pływał od roku 1948. Poza ślimaczącą się budową stopnia wodnego w Brzegu Dolnym, nie zanosilo się na inne inwestycje, które polepszyłyby warunki nawigacyjne.

Co rozsądniejsi przewidywali, że to okres przejściowy, przysłowiowe lata chude. Z tą myślą szykowano we Wrocławiu podstawy dla przyszłego rozwoju, studiowano najekonomiczniejsze kierunki rozbudowy taboru, precyzowano zakres niezbędnych inwestycji na drodze wodnej Odry. By z tych studiów Odra mogła odnieść pożytek, miało jeszcze upłynąć w niej sporo wody.

Zwrot wyraźny, widoczny nawet dla niewtajemniczonych, datuje się od roku 1959, kiedy zainaugurowana została seryjna produkcja nowego, nowoczesnego taboru — we Wrocławiu towarowego, w stoczni rzecznej w Gdańsku — pasażerskiego. Przedtem trzeba było przebić wyłom w murze niechęci i nieufności, jaki rósł w poprzednich latach wokół transportu wodnego w naszym kraju.

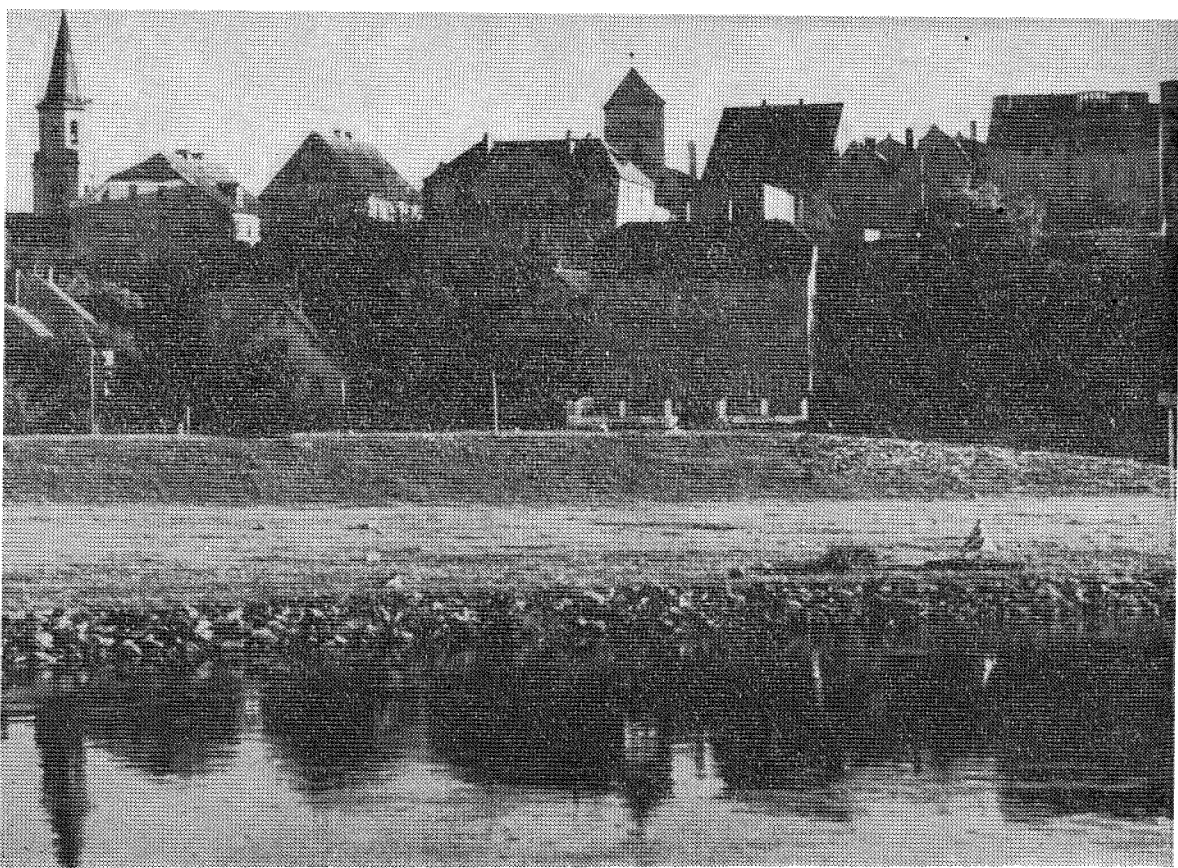
Rzecz dziwna, rzecz zdumiewająca: gdy w Związku Radzieckim i w Stanach Zjednoczonych, we Francji i w Niemieckiej Republice Federalnej, Cze-



Zaciskanie liny holowniczej

chosłowacji i w Belgii realizowano szerokie programy inwestycji na szlakach wodnych, modernizowano i rozbudowywano tabor, gdy wzrastał tam udział żeglugi śródlądowej w transporcie krajowym i zagranicznym — u nas na transport rzeczny spoglądano z lekceważeniem, obcinano fundusze na inwestycje, wieszczono zgoła rychły kres śródlądowej nawigacji.

Początki zwrotu czy, jeśli kto woli, przełomu odnieść zresztą trzeba do roku 1956, gdy na jesiennej sesji sejmowej po raz pierwszy pojawiła się



Bytom Odrzański

Fotografie Mieczysława Wróblewskiego

sprawa Odry, kluczowa dla całości spraw żeglugi śródlądowej, bowiem tu właśnie grupuje się cztery piąte wszystkich przewozów rzecznych w naszym kraju. Wkrótce potem nastąpiła też zmiana kierownictwa żeglugi śródlądowej, na kierownicze stanowiska wrócili dawni fachowcy, blisko z Odrą związani.

W grudniu 1957 obradował we Wrocławiu — z inicjatywy wrocławskiego środowiska ludzi Odry — trzydniowy sejmik odrzański, gdzie poczesne miejsce znalazły sprawy aktywizacji tej drogi wodnej: a więc sprecyzowany program budowy nowego taboru i poprawy warunków nawigacyjnych. Powołana wkrótce potem specjalna komisja rządowa nadała temu programowi powagę decyzji najwyższych władz państwa.

Jesienią roku 1958 rozpoczęto budowę prototypów nowych jednostek, 500-tonowych barek motorowych z własnym napędem, dwukrotnie szybszych i ekonomiczniejszych od taboru holowanego, oraz eksperymentalnie — taboru pchanego, również praktyczniejszego od holowanego. Niemal jednocześnie przesądzono sprawę podjęcia seryjnej produkcji, rozpoczynając także, w mniejszej skali kilkunastu jednostek, budowę odrzańskiej białej floty czyli statków pasażerskich, najpierw dla Wrocławia, wkrótce potem i dla Zalewu Szczecińskiego.

Kapitałny doping dla podjętej naprawy zaniedbań lat poprzednich stanowiła działalność drugiej z kolei rządowej komisji odrzańskiej, tym razem mającej za zadanie wytyczenie wieloletniego programu rozwoju arterii wodnej Odry i odrzańskiej żeglugi. Zauważmy tu, że wielki udział w wykrysta-

lizowaniu tego programu miała Sejmowa Komisja Ziem Zachodnich, inspirowana — jeśli można tak rzec — przez Komisję Zagospodarowania Odry TRZZ, rezydującą we Wrocławiu. Ustalony i zatwierdzony plan 5-letni wybudowania 160 barek motorowych i 50 zestawów pchanych po 3 barki, w sumie 140 tysięcy ton nowego tonażu towarowego dla Odry, podwoi nominalny potencjał jej floty, przy czym de facto jej ekonomiczna efektywność zwiększy się jeszcze poważniej.

To punkt pierwszy, silny zastrzyk nowego taboru. Jest to sprawa niemal podstawowa. Przewozy Odrą dzisiaj nie sięgają jeszcze w skali rocznej 2 milionów ton, i przekraczają niewiele ponad 850 miliardów tonokilometrów (miernik pracy: ładunek razy odległość), a mogłyby być kilkakrotnie większe, gdyby nie brak taboru.

Punkt drugi zaś to polepszenie warunków nawigacyjnych. Dwa zbiorniki retencyjne, gromadzące wodę podczas przyborów dla zasilania nurtu podczas posuchy, nie są w stanie zapewnić dostatecznej rezerwy wód i niemal rokrocznie w pełni sezonu ustaje na środkowej Odrze wszelka żegluga, a zresztą i podczas całego sezonu ładowność barek wyzyskana jest ledwie w dwóch trzecich. Ale już do roku 1965 czy 1966 retencja wód zwiększona będzie dwukrotnie, dzięki wybudowaniu nowych zbiorników — jednego na Nysie Kłodzkiej, drugiego na Kłodnicy. Przerwa nawigacyjna zostanie zredukowana do lat wyjątkowo suchych.

Ani chybi, Odra wróciła do łask. Bo nie dość tych inwestycji, nowego taboru i nowych zbiorników, precyzują się też kierunki rozbudowy szlaku żeglowego i to niezmiernie istotne. Pierwszy — to przedłużenie Kanału Gliwickiego po Bytom, tak by można było ładować barki węglem prosto z kopalń. Drugi — zależny nie tylko od nas — to wznowiona sprawa połączenia Odry z Dunajem bardzo konkretnie studiowana przez specjalną grupę ekspertów ONZ powołaną w ubiegłym roku z inicjatywy Związku Radzieckiego, inicjatora projektu stworzenia jednolitej sieci śródlądowych dróg wodnych w Europie.

Wróćmy jeszcze na podwórze krajowe. Znamionnym symptomem awansu i znaczenia Odry była zmiana frontu, jakiej dokonał przemysł nadodrzański. Kombinat kędzierzyński buduje specjalne odgałęzienie od Kanału Gliwickiego, by móc Odrą sprowadzać węgiel z GOP-u, a w dół Odry spławiać nawozy sztuczne. Opolskie cementownie inaugurują systematyczne dostawy cementu odrzańskimi barkami.

Wreszcie rozwijają się przewozy zagraniczne, nie tylko do NRD i zachodniego Berlina, gdzie barki żeglugi na Odrze docierają już od lat, lecz dalej, na dolną Łabę, do Hamburga, i na dolny Ren, do portów holenderskich. Najbliższe lata przyniosą zapewne rozwój i stabilizację tego kierunku. Dodajmy przy tym, że barki spod bandery NRD docierają do Szczecina, dokąd z górnej Łaby via niemieckie kanały śródlądowe przybývają też barki czechosłowackie. Gdy z jednej strony zapowiada się wprowadzenie Odry do samego środka Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego, z drugiej — port szczeciński z wolna nastawia się na zwiększenie udziału żeglugi śródlądowej w swoich obrotach. A nie od rzeczy będzie przypomnieć zeszłoroczny rekord przeładunków w Szczecinie: blisko 9 milionów, to znaczy tyle, ile planowano na rok 1965!



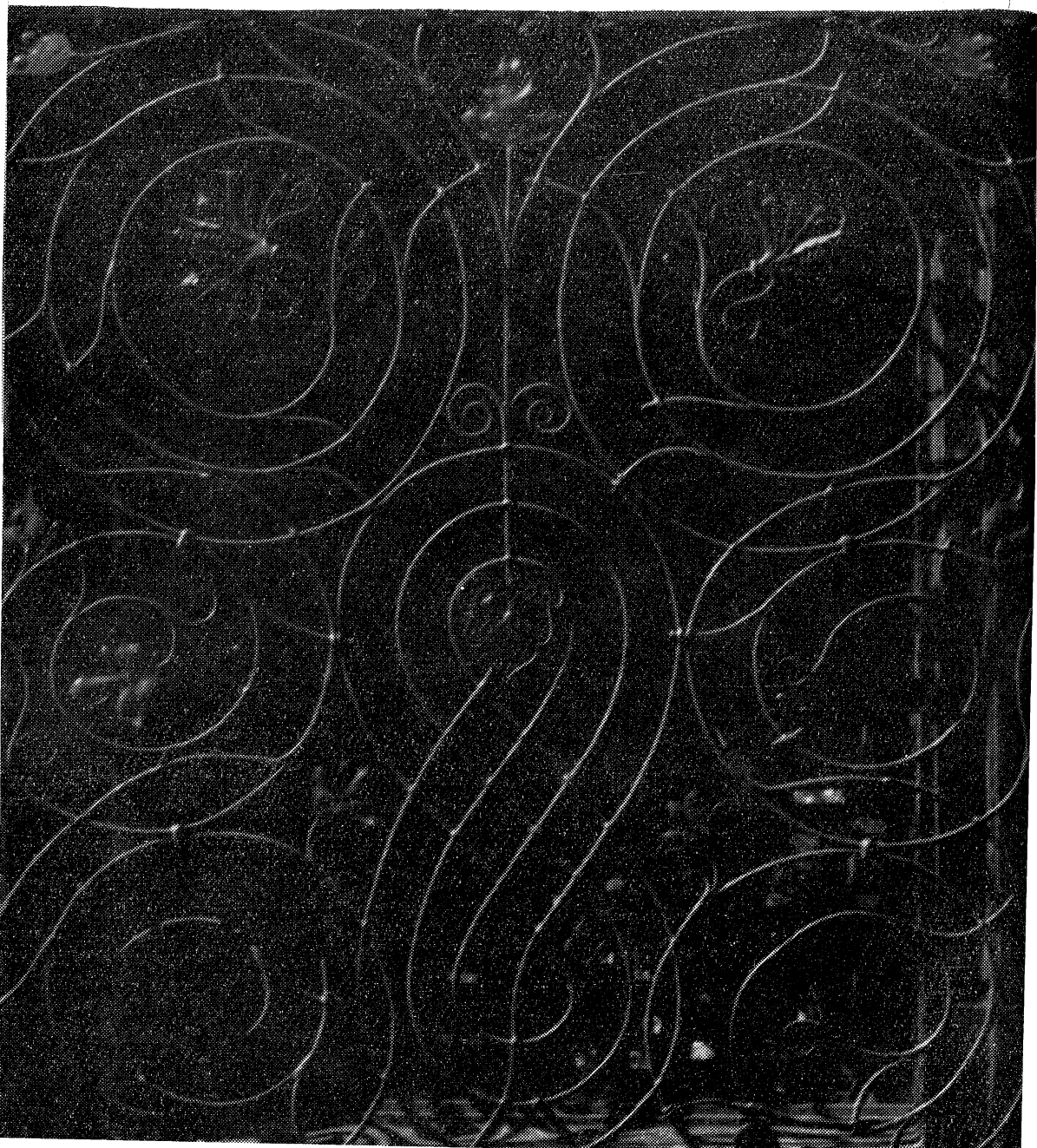
Swoje 750-lecie wita więc żegluga na Odrze w aurze wyjątkowo pomysłnej. Wszystkie kierunki dalszego, co najmniej równie jak obecnie dynamicznego,

jej rozwoju są już zarysowane. Wystarczy czuwać nad tym, by zapowiedzi i programy były realizowane dokładnie, konsekwentnie. Tak jak tego wymaga nie tyle interes Odry, wielkiej arterii wodnej, ile wręcz interes narodowej gospodarki. Awans Odry jest przecież zawsze awansem gospodarki Nadodrza.

Ignacy Rutkiewicz

Motyw z Wrocławia

Fot. Zdzisław Zieliński



Więc to zaledwie rok. Dokładnie trzynaście miesięcy temu na tych drogach, które nie były pokryte asfaltowo-betonową nawierzchnią, lecz istniały w projekcie, tam, gdzie wówczas wznosiły się jeszcze skalne wzniesienia i uskoki, gdzie zestrzajano dopiero wytyczone na mapie linie komunikacyjne z napotykanymi w terenie przeszkodami, zaczynając te przeszkody nadgryzać kilofem, pługiem buldożera, dynamitem. Jeszcze rok temu samochody wykonywały tutaj długie mozolne objazdy pchając się na pierwszym biegu czasem przez kamieniste i skaliste, ledwie wytyczone trakty, kiedy indziej zapadając po osie w płynną maź błota i gliny. Teraz drogi już są. Zapomniano o nich — o tyle i w tym sensie, że gdy się wspomina te zeszłoroczne perypetie, zbywają to tutaj machnięciem ręki i prostym stwierdzeniem: „Nareszcie przestały nam tak szybko wysiadać maszyny”. I więcej do tego tematu nie wracają, bo to już zostało załatwione, zbudowane, odfajkowane i gdy limuzyna albo ciężarówka wiezie swój ładunek po gładkiej jak stół nawierzchni, nikt nie ma głowy na to, by ją zaprzętać przedwczorajszymi sprawami.

Jeszcze rok temu w barakowych osiedlach robotniczych koło Bogatyni oraz w Sieniawce usprawiedliwiał się, odsuwało nieraz od siebie rzucające się w oczy niedostatki wynikające z prowizorycznego bytowania, którego rytm i tempo wyznaczały dwa ciągi: ośmiogodzinna praca przeważnie gdzieś w ziemi, przy kopaniu fundamentów, porządkowaniu terenu, „pędzeniu dróg” — oraz koła samochodów, które do pracy przywoziły i z pracy odwoziły do pokoju hotelowego, potem człowiek zostawał w tym pokoju, w tym budynku, w najlepszym wypadku w obrębie osiedla, nie mogąc się ruszyć, zdany na własną pomysłowość, zmuszony radzić sobie z najelementarniejszymi potrzebami, jak potrzeba zjedzenia kolacji czy wyprania koszuli, zagwożdżony w tym osiedlu do następnego świtu.

Odsuwało się od siebie wówczas te refleksje. Czynili to, myślę, nie tylko „po różnych liniach” przybывający do Turowszowa na krótką kontrolę apostołowie lub latający profesjonalnie Holendrzy z reporterskimi notesami w ręku. Coś podobnego stosowali, zdaje się, sami wobec siebie ludzie stąd. Ci, którzy przybyli tutaj wiedząc z góry lub przeczuwając, co oznaczają w rzeczywistości pionierskie warunki bytowania.

Toteż wtedy, jeśli zgadało się o niewygodach i przeciwnościach, co starsi pracownicy kombinatu z upodobaniem cefali się we wspomnienia z okresu tych

TUROSZÓW 1961

Romantyczność i terminarze



ROMAN KARPIŃSKI

zupełnie pionierskich miesięcy jesieni 1957 i wiosny 1958. Kiedy pierwsza ekipa założycieli Turowszowa przybывszy do Bogatyni nocę spędzała na stołach w nieogrzewanych pokojach, pod dziurawymi sufitami.

To najczęściej. Ale w imię ścisłości wypada przypomnieć, iż płatał się wtedy w kombinacie, a także w wojewódzkiej i stołecznej wieści o nim, niejednym mit z gatunku tych, z których czerpie swą siłę i sugestywność spory odłam współczesnej literatury. Przyznaję, sam wtedy żywiłem niejasne, lecz stanowcze przekonanie, że gdyby tak dobrze poszukać, odnalazłoby się tu i owych mężczyzn z „Ceny strachu”, z „Myszy i ludzi”, i może też niejedną Blanche du Bois. Oh, oczywiście, oni by nie wozili na skrzyniach swych ciężarówek nitrogliceryny. Woziliby zwykły cement albo ziemię spod czerpaka koparki. Ale poza tym, tak jak tamci z filmu, byłiby samotnymi mężczyzunami bez kobiet, wygarniętymi ze swych siedzib i domów,

rzucenymi na szlak przez niepokój albo przez poczucie obcości, albo przez nieważność do codziennego kubka kawy z mlekiem czy też do tramwaju numer siedem, dudniącego co rano pod oknem pobudkę na znak, że trzeba znów się ubrać i iść zarabiać na życie. Albo po prostu przez przypadek, którego cofnąć się nie da. I tak samo marzyliby o powrocie do wielkiego miasta, jego uciech — czy też przeciwnie: o ładzie i czyszy domowego ogniska — zapominając pod wpływem tęsknoty, że stamtąd przecież uciekli.

Dlaczego piszę w trybie warunkowym? Tak było. W Turoszowie byli też i tacy ludzie, a przynajmniej na ich losy można było tak spojrzeć. Sprzyjało temu dość popularne i nie pozbawione słuszności przekonanie, że Turoszów przyciąga i daje szanse wszystkim przegranym, którzy nie pogodzili się z przegraną: pokłóconym z mocniejszym ale wrednym zwierchnikiem, zwolnionym dyscyplinarnie z pracy — jeśli chcą pracować uczciwie, i nawet zwolnionym z więzienia — jeśli nie pragną tam wracać. Oprócz tego, rzecz jasna, było to miejsce frapujące również tych, którzy wcale nie mieli zbyt bogatego życiorysu, a po prostu przyszli tu na którąś kolejną w swym doświadczeniu budowę, ponieważ budować przywykli i polubili: dla tych młodych zwłaszcza, co tutaj dostrzegli dla siebie szanse zdobycia szlifu jako technik, bądź inżynier z prawdziwego zdarzenia, i dla tych wreszcie, którym z życiowej kalkulacji wypadło, że za uczciwą pracę w trudnych zrazu warunkach będzie się tutaj wynagradzać uczciwym zarobkiem a także uczciwym nowoczesnym mieszkaniem otrzymanym w bliskiej perspektywie i bez specjalnego trudu.

A że chętka brała pisać o tych pierwszych, tych z bogatym życiorysem? Mój Boże, naprawdę nie tylko z racji, że reportaż lepiej się układa, jeśli jest nie o rzeczach, lecz o człowieku, do którego w dodatku odnosi się wiele faktów.

„Worek turoszowski” był wówczas naprawdę workiem pełnym romantyzmu. Bo to i ludzie często niezwykli, i początek wielkiej budowy, i jej przestrzeniny rozmach, i nagle powstawanie wielkiego skupiska budowlano-przemysłowego na rzadko dotąd zaludnionym rolniczym pograniczu.

Więc ta romantyczność znajdowała się tu na każdym kroku. Co więcej — była chyba przydatna zwłaszcza tym, co budowali pierwsze obiekty inwestycji. W ówczesnej dyrekcji kombinatu mówiono wprost: budujemy ten Turoszów głową i sercem. Ale pamiętajcie, że na razie —

dopóki nie zetknęliśmy się ze skomplikowanymi zagadnieniami technicznymi — trzeba przede wszystkim serca. Znaczyło to: nie próbuj ułatwiać sobie życia. nie chciej być taki cholernie mądry i nie patrz tylko, jaki podano tobie albo sąsiadom obiad; nie dziw się, że ludzie śpią w nieogrzewanych pokojach, mimo że na dworze jest mniej niż 14 stopni ciepła. Jak uruchomimy kotłownię, będzie ciepło. Lepiej spojrz tu, na mapę, na plan, oblicz sobie proporcje, a przekonasz się, że te proporcje odpowiadają dobremu wzorom europejskim i że wtedy, kiedy budowa postąpi naprzód, warunki poprawią się bardzo znacznie.

Dziś jest zupełnie inaczej. Dziś nie sposób znaleźć zapalonego rozmówcy, jeśli by się chciało pogawędzić o niecodziennych losach niecodziennych ludzi albo o dalekosiężnych spekulacjach na temat społecznych skutków powstania kombinatu. Dziś mówi się o taśmociągach. O zaopatrzeniu, terminach, wymiarach i kosztach. O rzeczach dających się sprawdzić, posiadających swoją wagę, konkretnych.

— Tamten facet? Aa, tak, tak, śmieszna historia, no cóż, życie... Ale wracając do sprawy, więc pan, aż mi skóra czasem cierpię, bo jeśli nam nawalał stacje przekątnikowe...

Przez ten czas budowa turoszowska nie tylko oderwała się od ziemi wystrzelając w górę smukłymi, na pozór niedbałymi i kruchymi w swojej lekkości konstrukcjami stalowych belek. Uległa zmianie przede wszystkim atmosfera — w kombinacie a także wokół kombinatu, w jego ogólnopolskiej prasoworadiowej opinii.

Okres romantyzmu — jeżeli przyjmiemy tę umowną nazwę — niósł ze sobą specyficzny nastrój, dość łatwo udzielający się, zaraźliwe zwłaszcza dla Polaków nastawienia. Charakteryzował się niebywałym rozmachem, rozproszeniem pozaczynanych prac, kiedy wszystko znajdowało swój początek w jednym czasie, kiedy trzeba było równolegle omawiać i rozstrzygać budowę dróg, kwater, kwestie zaopatrzenia pracowników w chleb, masło i jajka oraz firm w belki stalowe, cement, fachowców. Kiedy jednym tchem w tej samej dyskusji wymieniano się ewentualność uruchomienia lotniska, by uzyskać połączenie samolotowe z Warszawą i Wrocławiem, termin oddania do eksploatacji pierwszego generatora, oraz wykończenie spiętrzenia wody na rzece Witce do stworzenia tam ośrodka wypożyczni i sportów wodnych dla załogi. Dalekosiężne koncepcje w rodzaju pomysłu ze sprowadzaniem części pracow-

ników Turoszowa z powiatu jeleniogórskiego i lwóweckiego dlatego, że — po pierwsze — w powiatach tych mieszczą się znaczne rezerwy siły roboczej, oraz że — po drugie — „romantycy” wyliczyli, iż suma miesięcznych płac w Turoszowie wynosi ok. 20 milionów złotych i z tego rachunku im wypadło, że ze względu na aktywizację owych sąsiednich powiatów dobrze by było przepompować tam — za pomocą kieszeni ludzi pracujących w Turoszowie — część tej sumy. Toteż „romantycy” wystąpili z projektem i upierali się tak długo, aż nie zaakceptowały go władze nadrzędne i w wyniku rokowań z Czechosłowacją nie została otwarta droga tranzytowa Świeradów — Bogatynia. Tak więc to wyglądało. Projekty były śmiałe, dalekosiężne, uwzględniały bardzo wiele czynników i okoliczności, były błyskotliwe i nierzadko celne.

Jednocześnie zaś doraźnie przeprowadzano poszczególne prace; to, co się robiło, często wymagało chwytania się rozwiązań prowizorycznych, jakiejś bardzo sympatycznej, ale przecież — łataniny. Do dziś jeszcze niektórzy co starsi pracownicy z rozczuleniem, ale również nieco zażenowani wspominają ten epizod, kiedy kombinat ani rusz nie potrafił dać sobie rady z wysadzeniem skał pod budowę drogi. Zwrócili się wtedy o pomoc do wojska. I uzyskali ją — bo ktoś by odmówił tak wielkiej budowie. Przybyło kilkuset saperów a z nimi 30 ton trotylu i potem było dużo huku i tylko trzeba było uważać, żeby nie zostały zerwane istniejące już linie przesyłowe wysokiego napięcia. Podobno było to korzystne dla obu stron, a zresztą sami powiedźcie, co miała począć dyrekcja dysponując wyłącznie materiałem wybuchowym o nieznaczej sile i bardzo szczupłą garstką „fachowców od strzelania”, którym w dodatku posiadany materiał wybuchowy absolutnie nie chciał być posłuszny.

W tym samym tempie i trochę w podobny sposób przeprowadzano także remonty domów na hotele i pracownice kwatery dla załogi. Na dziurawą podłogę kładło się linoleum, na ściany tynki, ogrzewało się to od zewnątrz i wewnątrz, żeby szybko schło, nie żałując później pięknych kolorowych farb, aby elewacje wyglądały powabnie i nowocześnie.

I myślę, że była w tym jakaś racja i logika, jakkolwiek trudno to nazwać bardzo dobrą robotą. Racja i logika wynikająca chociażby z faktu, że ładne kolorowe budynki były już wielkim krokiem naprzód w porównaniu ze stoła-

mi pod dziurawym dachem, na których spała pierwsza ekipa pionierska.

Dziś jest inaczej. Dziś ludzie, których rok temu poznałem w kombinacie, przeprowadzili się z hotelowych pokoiików do własnych mieszkań w Zgorzelcu albo na osiedlu awaryjnym w Bogatyni. To



już naprawdę nie jest hotelowy tryb życia. Mają własne radiodbiorniki, telewizory, pralki. Pokupowali meble, zakładają domowe biblioteki. Rejon Zgorzelca jest dzisiaj jedynym chyba okręgiem na Dolnym Śląsku, gdzie w sklepach z artykułami elektrotechnicznymi odczuwa się permanentny niedobór radiodbiorników, a jeszcze bardziej telewizorów, ponieważ każda ich partia, gdy się pojawi, zostaje z miejsca wykupiona. Podobnie zresztą jest w sklepach meblarskich. Toteż meblarze próbują na tym ogniu upiec własną pieczeń, z dziwnym uporem przerzucając w rejon Zgorzelca swoje buble i przestarzałe graty wyprodukowane na wysoki połysk, ale za to drogo i według przedpotopowych wzorów, jakich już nawet we Wrocławiu nie uświadczysz.

Pionierzy przywdziali szlafroki i bambosze? Obkupili się w motory i inne przyjemne utensylia dostatniego życia? Nie, przede wszystkim procent osób, które zamieszkały w nowo zbudowanych, wyposażonych należycie domach lub murowanych barakach z centralnym ogrzewaniem i elektrycznymi kuchenkami — jest zupełnie niewielki. A że te lepsze mieszkania otrzymali ludzie, którzy najdawniej są w kombinacie — to chyba zrozumiałe i dlatego znajomi niżej podpisanego istotnie należą do tych w pewnym sensie uprzywilejowanych. Co prawda, prawie wszyscy spośród pracowników umysłowych i inżynierjno-technicznych — jeśli mieszkają w hotelach — to właśnie mają w perspektywie samodzielny pokój w murowanych barakach, a jeśli są lokatorami owych baraków czy też mieszkają gdzieś prywatnie, to akurat już kroi im się przeprowadzka na jakieś lepsze locum, nierzadko do mieszkań w osiedlu awaryjnym w Bogatyni czy też do nowych bloków w Zgorzelcu.

Po drugie zaś, jakże mogli przywdziać szlafroki i bambosze, skoro w kombinacie teraz dopiero na dobre zaczął się nerwowy okres?

Teraz w Turoszowie na tapecie są taśmociągi. Nie dalekosiężne koncepcje, ale myślenie i zdenerwowanie na tyle problemów zupełnie specjalistycznych, wy-cinkowych, zajmowanie się tym, co już jest koncepcją przepracowaną, zatwierdzoną, w której nie ma miejsca ani czasu na poprawki. Wykonawstwo — oto pojęcie, które w tej chwili charakteryzuje kombinat. A także trudności techniczne i skomplikowana siatka problemów wymagających kwalifikowanego kierownictwa, a przede wszystkim kwalifikowanych załóg.

Wspomniałem o taśmociągach. Oczywiście nie one jedne sprawiają kłopot i są przyczyną nerwowości. Ale one są kłopotem największym.

Pokażą ci, owszem, koparkę enerdownską, olbrzymia wielkości średniej kamienicy czynszowej albo nie mniejszą zwalówarkę, zaznaczając, że jedno kosztuje 80 milionów zł dewizowych, a drugie sto od sztuki. Lecz potem nieodmienne znowu wrócić do taśmociągów.

Bo jest do czego wracać. Taśmociągi to będzie zasadnicza część budowy kopalni. Jak wiadomo, węgiel brunatny stanowić będzie paliwo elektrowni turoszowskiej. Węgiel ten jest znacznie mniej kaloryczny od węgla kamiennego, przeto — aby wyprodukować odpowiednią ilość energii, trzeba go proporcjonalnie o wiele więcej. A że elektrownia posiadać będzie moc 140 MW — trzeba go będzie bardzo dużo.

Powstał więc problem dostarczania paliwa z odkrywki do kotłów elektrowni. Konstruktorzy stanęli tu wobec nie lada dylematu, ponieważ takiej ilości paliwa nie da się przewieźć ani ciężarówkami ani pociągami, ani nawet za pomocą kolejki linowej. Toteż zdecydowano się wybudować taśmociągi, to znaczy cały

trzeba uprzednio „zdjąć” dość grubą warstwę ziemi.

Od taśmociągów więc zależy w tej chwili termin i sam fakt pomyślnego rozpoczęcia eksploatacji kopalni. Taśmociągi muszą zdjąć cały nadkład ziemi. Jeśliby się chciało tę pracę wykonać przy pomocy wagonów albo ciężarówek, rzecz musiałaby potrwać kilka lat. Taśmociągi zrobią to w kilka miesięcy, bo pozwalają wykorzystać prawie całą moc produkcyjną wielkich enerdownskich koparek. Muszą zrobić, ponieważ w przeciwnym razie nie zostanie dotrzymany termin uruchomienia elektrowni.

Kłopot jedynie z tym, że pomysł jest zupełnie nowy. Niemcy stosują wprawdzie ten typ transportu, ale na razie na bardzo małą skalę i raczej eksperymentalnie. W związku z Turoszowem zapadła decyzja zastosowania taśmociągów na skalę bardzo dużą. A trzeba sobie uświadomić, co to znaczy. W sumie długość taśmociągów wyniesie przecież około 30 km — to po pierwsze. Po drugie — o ile stosunkowo łatwo wykonać stalową konstrukcję podtrzymującą same transportery, a nawet naszemu przemysłowi kwestia wykonania łożysk do mechanizmów obracających taśmę nie nastręczyła większych trudności, o tyle na przykład zaprojektowanie i wykonanie stacji przekąźnikowych jest już zadaniem niezwykle trudnym. Założmy bowiem taki przypadek, że raptem „wysiadło” automatyczne sterowanie, że jedna część taśmy na niższym poziomie stanęła z powodu awarii, a druga część na poziomie wyższym ciągle jeszcze podaje ziemię czy węgiel. Otóż wystarczy 5 minut, aby stacja przekąźnikowa została dokumentnie zasypana, i to tak, że odkopanie jej zajęłoby co najmniej tydzień.

Łatwo tedy wyobrazić sobie panujące w tej chwili w kombinacie zdenerwowanie. Taśmociągi mają ruszyć z początkiem kwietnia. Od tego zależy dotrzymanie terminu uruchomienia pierwszego generatora w elektrowni w lipcu 1962. A to przecież produkcja prototypowa i mnóstwo jest tu wielkich nie wiadomych. To znaczy w myśl planu i założeń powinno to działać, działać bezbłędnie, ale już pierwsza próba na niewielkim odcinku uwiaryściła całą różnicę pomiędzy planem a rzeczywistością. Tak zresztą jest zawsze, gdy w grę wchodzi wielkie i nowatorskie przedsięwzięcie. Ale powód do zdenerwowania jest.

Tym bardziej, że nie same taśmociągi są opóźnione. Opóźnienia wyłoniły się na wielu odcinkach: przy budowie sieci wodnej, w montażu, a także zdo-



system wielkich taśmowych transporterów o przepustowości około pół miliona ton na dobę. Dla porównania dodajmy, że w ciągu roku 1960 wywieziono z terenu kopalni niewiele ponad milion metrów sześciennych ziemi, gdyż — jak wiadomo — aby dostać się do węgla,

bywaniu dokumentacji na wiele szczegółowych prac i obiektów. A w takim kolosie wszystko się zazebia, opóźnienie na jednym odcinku, nierzadko zupełnie drobne, zdawałoby się drugorzędne, po jakimś czasie odbija się ujemnie, pojawia się jako luka gdzie indziej, gdzie sprawa nie jest już drobna, lecz urasta do tak zwanego gardłowego problemu.

Kombinat przestał być także cudownym dzieckiem, wyszedł z okresu niemowlęstwa i, zwłaszcza ostatnio, wzrosł i wymagania załogi, i zaostrzyła się kontrola. — Dziś już nikt nie ma ochoty ani nie znajduje powodów do przymykania oczu na niedostatki w zakresie warunków bytowych załogi, na opóźnienia inwestycji towarzyszących, w rodzaju budownictwa mieszkaniowego, obiektów kulturalnych, socjalnych. Dziś już nikt nie zechce słosować ulgowej taryfy — która jeszcze rok temu była zrozumiała i dość naturalna — wówczas, gdy stwierdza bałagan w stołówkach robotniczych. Toteż mnożą się wymówki o niedopatrzenia, o zarzucenie projektów budowy ośrodka wypoczynkowego nad zaporą wodną, o brak lekarzy, o powolne tempo uruchamiania ośrodków zdrowia.

III

Toteż nie ma prawie dnia bez burzliwych narad i posiedzeń w kombinacie, w jego dyrekcji, w poszczególnych komórkach technicznych i nadzorujących. Aż wierzyć się nie chce, że taki jeden, duży co prawda, taśmociąg składa się może z tylu części, nastęrczać tyle szczegółowych kłopotów, które załatwić trzeba już zaraz, podjąć decyzję za każdym razem warunkującą dotrzymanie terminu i zobowiązań, chociażby to była decyzja dotycząca najprostszych detali.

Więc myślę, że zmiana atmosfery wiąże się przede wszystkim z tym dużym ambitnym przedsięwzięciem technicznym. Podkreślam to, ponieważ łatwo byłoby dać się unieść pozorom i wiązać tę zmianę z poszczególnymi nazwiskami, stanowiskami, osobami. W kombinacie przez ten rok zmienił się przecież dyrektor, zmieniono obsadę personalną kilku ważnych komórek zarządzania. Jest to zatem pokusa realna i zdarza się nie raz słyszeć opinie na ten temat. Narzekania na inflację papierów, na przywiązywanie z nagle, ale powszechnie, ogromnej wagi do pisemnej podkładki pod każdą decyzję. Słyszysz się o papierowym ping-pongu mającym na celu przerzucanie odpowiedzialności za ewentualne opóźnienia. Bo podobno w okresie pionierskim tego nie było. Więcej niż podkładki liczyło się osobiste zaufanie,

bardziej niż obowiązujące przepisy — terminowe wykonanie powierzonego zadania.

Być może. Ale to było wówczas, kiedy kombinat nie miał do czynienia bezpośrednio ze skomplikowaną techniką. Stanowiła ona dopiero perspektywę, zapowiadała się pod postacią takich problemów, jak to, że trzeba było pamiętać o ulokowaniu zawczasu zamówień, zdać sobie sprawę z ich ogromu i nierzadko uświadomić to także czynnikom nadrzędnym. Jak to, że zapewnienie taśmy gumowej dla taśmociągów o odpowiednim rozmiarze i wytrzymałości wymagało koordynacji na szczeblu ministerialnym, gdyż równało się ono konieczności przestawienia jednej z wcale nie najmniejszych fabryk w kraju na produkcję tylko i wyłącznie dla turoszowskiego taśmociągu. Jak to, że na szczęście na czas zrodził się w dyrekcji kombinatu mniej więcej dwa lata temu kontrprojekt co do zapewnienia taśmociągów wkładki styłonowej. Pierwotnie przecież zamierzano ją importować za dewizy, a metr bieżący takiej taśmy kosztuje 120—150 dolarów. Więc Turoszów zaproponował, żeby może NRD podjęło tę produkcję — i jak się okazało, była to propozycja płodna.

Lecz znów — łatwo i przyjemnie się o tamtych dyskusjach pisze, bo były efektowne, bo dotyczyły rozstrzygnięć ogólnych, decydowały o kierunkach rozwoju inwestycji. Dziś na pierwszy rzut oka jest szaro: sprawy drobne, jakieś zestawienia cyfr i dat, jakieś nazwy, szczegółowe, dotyczące detali, wszystko osobno. Ciągłe pytania: czy jest dokumentacja, czy zapadła uzgodniona decyzja, jak wyglądają harmonogramy dostaw, panie kolego, niech pan da wykaz opóźnionych dostaw, dlaczego pan nie przysłał mi pisma w sprawie...

To razi niektórych, zwłaszcza tych, co tutaj zaczynali. Tych, którzy przy-



wykli dawniej otrzymywać jedno ogólne zadanie jak na przykład: odcinek drogi trzeba wykończyć na czas. Pańska głowa, jak pan to zrobi. Albo — brakuje materiału pod budowę fundamentów. Ma pan samochód, dwóch ludzi i podpisane in blanco zamówienie z pie-

czątką o priorytecie Turowszowa. Materiały mają być od dziś za tydzień. Wyrwać spod ziemi, ale przywieźć.

Ta zmiana tonu i atmosfery musiała, rzecz jasna, wyrazić się także pewnymi zmianami w zakresie obsady personalnej ważnych komórek zarządzania. Jest to proces o tyle logiczny i konieczny, o ile niejednokrotnie powodujący subiektywnie nie pozbawione słuszności poczucie krzywdy. Są ludzie w kombinacie, którzy tak to odebrali. Którzy nie szczędzili wysiłków i energii, wykazywali ofiarność i inicjatywę, byli awansowani — niejednokrotnie dochodząc do bardzo poważnych stanowisk — a w tej chwili znajdują się cokolwiek na marginesie i często nie mogą tego zrozumieć ani pogodzić się z tym, myślą z niepokojem o własnej przyszłości, analizują swoją przeszłość szukając w niej błędów i dochodzą do wniosku, że błędu nie popełnili. Że działając w poprzednim okresie Turowszowa, działali zgodnie z jego ówczesną atmosferą i że nikt na ich miejscu — chcąc się wywiązać z zadań — nie mógłby robić tego inaczej.

Sprawa ta nie dotyczy jakiejś licznej grupy osób. Jest ich może 20, może 30. Ale są to w większości inżynierowie z dużym doświadczeniem, nierzadko ci, którzy już przemierzali szlaki innych inwestycji. Są to na ogół zatem ludzie cenni. I dlatego w imię kultury zarzą-



dzania, w imię osiągania postępu również w dziedzinie stosunków międzyludzkich trzeba by się tu uprzeć przy jednym postulacie. Przy tym, aby z tymi właśnie ludźmi jasno i otwarcie, bez niedomówień rozstrzygnąć problem ich przydatności w kombinacie. Wytlumaczyć, z czym związane są konkretne decyzje personalne, decyzje co do zakresu odpowiedzialności — nie odsuwać tego problemu ani zbywać go milczeniem, ale podjąć odważnie, przedyskutować i rozstrzygnąć. Są to bowiem na ogół ludzie, co do których dobrej woli i kwalifikacji nie może być wątpliwości. Są to ludzie, którzy budowali kombinat wkładając w to wiele serca, którzy przywiązali się do Turowszowa i nie chcą, przynajmniej przed jego wybudowaniem, stamtąd odejść.

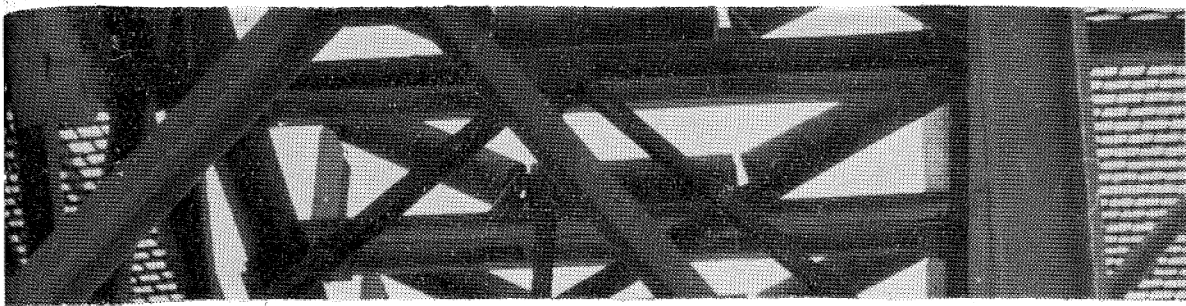
Jest to dla Turowszowa typ konfliktu nowy. Wyłonił się właśnie w związku

z nowym, zmienionym stadium budowy. Następcza niejedną pokusę — również dla reportera. Ludzie odsunięci na margines, czujący się pokrzywdzeni a nie mający na swym koncie żadnego wyraźnego przewinienia — to zawsze zjawisko, które porusza obserwatora, powoduje swędzenie pióra i chętkę, żeby nacisnąć pedał i upomnieć się o nich — nawet w sposób jednostronny, przejaśkrawiony. Ale właśnie tutaj potrzebny jest umiar. Potrzebny z dwóch względów: po pierwsze dlatego, że Turowszów jest tak wielką budową i wszelkie wszczynanie obecnie, w czasie i tak trudnym, ostrych jednostkowych dyskusji może wydatnie spotęgować trudności zarządzania. Po drugie zaś z tego względu, że wspomniane konflikty i sprzeczności nie mają tutaj jednoznacznej wymowy, że raczej ogólne i jednostkowe, zasługi i błędy nie są tutaj porożkładane, że nierzadko nakładają się na siebie.

IV

Nie znaczy to wszakże, że Turowszów przestał być również wielkim magnesem dla ludzi, którzy tak samo jak rok temu ściągają tu, bo z różnych powodów poczuili się nagle źle w dotychczasowych miejscach zamieszkania, ciasno, doznali potrzeby czasowego czy stałego zerwania ze swoim miastem, środowiskiem. Przeciwnie — w tej chwili, gdy sprawy te w samym kombinacie siłą rzeczy zeszły na drugi plan, reporterowi łatwiej dowiedzieć się o nich, odnotować te zdarzenia. Są one bowiem najbardziej bezpośrednim materiałem dla obserwacji ciekawych i pomyślnych procesów, w jakie układają się losy ludzkie związane z losami wielkiej inwestycji.

Zdzisław Latacz, sekretarz Komitetu ZMS kombinatu, gdy mu zadaje pytanie, czy Turowszów nadal spełnia swoją rolę jako miejsce, gdzie można zacząć od nowa — przynosi sporą paczkę listów. Nadane są z różnych, nieraz bardzo odległych miast Polski. To już nie Wrocław tylko, albo Katowice. Są tu listy z Warszawy, z Lublina. Oto jeden z nich. Píše znajomy sekretarza z Warszawy, zwracając się z zapytaniem, czy kolega jego, młody inżynier, warszawiak, mógłby liczyć na jaką taką posadę. Jego małżeństwo rozpadło się, ale stołeczne warunki mieszkaniowe powodują, że nadal musi mieszkać z żoną w jednopokojowej kawalerce. I to jest zupełnie nieznośne. A ów młody człowiek przeżył tę swoją prywatną historię dość głęboko i zdaje sobie sprawę, że lepiej porzucić



Warszawę, lepiej przenieść się na te nowe kresy Polski.

Oto drugi list. Z innego miasta. Jego autor nie formułuje motywacji tak jasno. Pracował w jednym z zakładów, miał nawet jakieś pomysły, coś mu się podobało, a co innego — zdaje się — nie. A teraz jest bez pracy. Czwarty miesiąc. Bo jego miasteczko jest małe i nie bardzo jest w czym wybierać. Więc gdyby w Turosszowie...

W ogóle ten ostatni typ konfliktu i związane z nim decyzje przyjęcia do kombinatu są bardzo liczne. Przy czym nie chodzi tutaj bynajmniej wyłącznie o środowisko fabryczne. W Turosszowie od dłuższego czasu pracuje na eksponowanym w tej chwili stanowisku inżyniera człowiek o niezwykle wysokich kwalifikacjach, uprzednio pracownik naukowy jednej z wyższych uczelni Wrocławia. Latacz mówi:

— Ta sama historia. Powstał konflikt pomiędzy owym inżynierem a jego profesorem. Rację miał, zdaje się, inżynier, ale pozycję społeczną i zawodową miał niewątpliwie mocniejszą profesor. Inżynier musiał więc ustąpić. I wiesz co, rozmawiałem z nim, on naprawdę nie żałuje ani Wrocławia, ani kariery naukowej — chwilowo przynajmniej zawieszonoj na kółku.

A potem na koniec wędruję do kierownika personalnego, p. Wiśniewskiego. Wyciąga notes i przy pomocy kilku zestawień cyfrowych dowodzi, że te prozaiczne, małe dramaty, jakie są motywami ściągania tutaj sporego odłamu ludzi, w Turosszowie znajdują swoje przeważnie optymistyczne rozwiązanie. Taka jest tutaj opinia. Uzasadnione

przekonanie, że ci, którzy ściągali ze względu na niepowodzenia w życiu osobistym albo w pracy, w Turosszowie dają sobie radę, stosunkowo łatwo przechodzą ów swoisty kryzys związany z zaaklimatyzowaniem się w bądź co bądź trudnych warunkach i potem wyrastają na dobrych, oddanych, ofensywnych pracowników.

Dodać trzeba jeszcze i to, że 80 proc. zatrudnionych w Turosszowie pracow-



ników umysłowych to młoda kadra techniczna, która dyplomy zdobywała w latach pięćdziesiątych. Dla porównania — jeśli dyrektor budowy pionu elektrowni liczy lat 41, a dyrektor pionu budowy kopalni ponad 50 — to już na czelni inżynierowie w obu pionach mają po około 35–37 lat, zaś kierownicy działów 28–32 lata.

Więc gdy mówimy, piszemy, czytamy o Turosszowie, o wielkich wydatkach na tę inwestycję, jego codziennych, nieraz bardzo palących, problemach, jego potrzebach na dziś i perspektywach na jutro — wypada zawsze brać jeszcze poprawkę. Poprawkę na wzorec ludzkich losów — bardziej zawiśkany, często z pozoru dziwny, ale właśnie na ogół równie optymistyczny, jak bilans wskaźników technicznych i ekonomicznych.

Roman Karpiński



Fot. Bogusław Moński

— Teraz! — mówi przyciszonym głosem prof. Witold Starkiewicz. Światło przygasa, pozostaje tylko jedna smuga reflektora, którą kieruje się na biały krążek talerza. Niewidoma podnosi twarz. Na głowie ma umocowaną wypukłą płytkę z wystającymi rzędami jakichś guziczków. Całość jest połączona przewodami z większym aparatem stojącym obok na biurku.

— Proszę pokazać, gdzie jest światło — pada rozkaz. Jednocześnie oświetlony talerz przesuwają się bezszelestnie z dołu do góry. Chwila napięcia. Niewi-

K r a g ciemności przerwany?

**ELŻBIETA
DRZEWIŃSKA**

doma bez wahania wyciąga rękę i zatacza łuk analogiczny do tego, który przebył oświetlony przedmiot. Później talerz przesuwają się szybciej, ukazują się w różnych punktach i niewidoma, powtarzam, kompletnie niewidoma, nieomylnie wskazuje jego położenie. Ona naprawdę „widzi” światło — bodźce świetlne zostały zamienione na dotykowe, które poprzez uciskadła oddziaływają na skórę czoła. Mamy tu do czynienia z rewelacyjnym wynalazkiem polskich, a ściślej biorąc, wrocławskich i szczecińskich naukowców, wynalazkiem, który jeśli nie przełamie całkowicie, to w każdym razie przesunie daleko barierę dzielącą świat barw i światła od świata ciemności. Bez przesady można powiedzieć, iż od czasu wynalezienia pisma Braille’a jest to największe odkrycie w dziedzinie prac mających na celu zrehabilitowanie niewidomych utraconego wzroku.



Pionierem, a jednocześnie wynalazcą metody „widzenia dotykiem” był polski uczony Noiszewski, który w roku 1897 zbudował pierwszy aparat działający na tej zasadzie. Aparat ten, zwany elektroftalmem, technicznie był oczywiście bardzo prymitywny — zasada działania polegała na

zastosowaniu umieszczonej na czole niewidomego komórki selenowej, która zamieniała bodźce świetlne na dotykowe (w dalszych modyfikacjach tego aparatu na bodźce cieplne i akustyczne). Sama jednak idea była słuszną i jej konsekwencje opisał wybitny biolog prof. dr Jan Dembowski w swojej pracy „Psychologia zwierząt”, wydanej w roku 1946, a napisanej jeszcze przed wojną.

„Wyobraźmy sobie człowieka ślepego od urodzenia. Wkładamy mu na głowę aparat, którego zadaniem jest transformacja energii świetlnej na energię mechaniczną; oświetlenie przyrządu powoduje, że czoła niewidomego dotyka ostrze (...) Niech takich ostrz drażniących skórę będzie wiele. Ponadto na froncie aparatu znajduje się duża soczewka, która rzuca obrazy przedmiotów otaczających w płaszczyznę wrażliwą na światło. Zależnie od rozkładu światła i cieni obrazu zostaje uruchomiona różna liczba ostrz drażniących i różna jest siła ich dotknięcia. Mając taki aparat zaczynamy naszego niewidomego wychowywać. (...) Zachodzi teraz pytanie, czym taki człowiek będzie się różnił od normalnego człowieka widzącego (...) Gdybyśmy potrafili skonstruować dostatecznie czuły aparat, to niewidomy z naszego przykładu mógłby doskonale podziwiać niebo gwiazdzone, oglądać piękne widoki lub oglądać wystawy obrazów, choć miałyby do rozporządzenia zmysł dotyku zamiast wzroku...”

Myśl zainicjowaną przez Noiszewskiego, a następnie rozwiniętą przez prof. Dembowskiego, podjęli dwaj następni polscy naukowcy: kierownik katedry okulistyki Pomorskiej Akademii Medycznej w Szczecinie, prof. dr Witold Starkiewicz i kierownik katedry urządzeń teletransmisyjnych Politechniki Wrocławskiej, prof. dr Tadeusz Kuliszewski. W wyniku tej współpracy powstał aparat, jedyny zresztą tego rodzaju na świecie — 80-kanałowy elektroftalm typu przenośnego. Prof. Kuliszewski opracował szczegółowo projekt techniczny aparatu, stosując fotoidy germanowe z kilkunastostopniowymi wzmacniaczami tranzystorowymi. Cały ten mechanizm jest zresztą tak skomplikowany (ale co w dzisiejszej technice nie jest skomplikowane?), że nie mam odwagi go opisywać. Chodzi tam o wspomnianą już zasadę przemiany bodźców optycznych na dotykowe. Niewidomy, któremu założono elektroftalm, „widzi” światło oraz jego natężenie poprzez odpowiednie uciski kilku, kilkunastu lub kilkudziesięciu (zależnie od kierunku, natężenia, wielkości itp.) spośród osiemdziesięciu uciskadeł, które są wmontowane do specjalnej tabliczki umieszczonej na czole.

Aby zrozumieć znaczenie tego wynalazku w skali światowej, musimy poświęcić parę słów dotychczasowemu dorobkowi nauki i techniki w tej dziedzinie.



Według danych UNESCO, na całej kuli ziemskiej znajduje się ponad 7 milionów niewidomych — siedem milionów ludzi pogrążonych w wiecznej nocy. Ludzie ci, mimo intensywnie niekiedy prowadzonej nauki czy pracy mającej na celu ich rehabilitację społeczną, są jednak najczęściej wyobcowani z kręgu zdrowych, normalnie widzących i żyją w odrębnym, ciemnym świecie, nierzadko w warunkach kompletnej izolacji psychicznej i intelektualnej.

Piszę to wszystko po to, aby uzmysłowić wagę problemu stojącego przed nauką całego świata. Trzeba sobie bowiem powiedzieć, iż do niedawna wysiłki nauki i techniki zajmujących się zagadnieniem niewidomych szły przede wszystkim w kierunku zmniejszenia ich „nieużyteczności” społecznej i praktycznego dostosowania do życia organizowanego przez widzących, w kierunku ich „uproduktywnienia społecznego”. Typowym przykładem będzie tu rozwój specjalnego szkolnictwa zawodowego, budowa warsztatów, a nawet

maszyn przeznaczonych do obsługi ich przez niewidomych itp. Natomiast od czasu wynalezienia pisma Braille'a, które było niewątpliwie genialnym wynalazkiem w ogromnym stopniu wpływającym na zmniejszenie się izolacji umysłowej ociemniałych, upłynęło 100 lat i dopiero w ostatnich czasach prace posunęły się dalej w tym kierunku. Oczywiście, rozwój ten został umożliwiony dzięki ostatnim odkryciom technicznym. Dzięki nim powstało np. wiele urządzeń umożliwiających niewidomym pełniejsze włączanie się w nurt życia kulturalnego swojego kraju. Należą do nich udoskonalone taśmy magnetofonowe z nagranyymi na nie tekstami utworów literackich, naukowych itp. (na marginesie warto dodać, iż za granicą rozpowszechnione są specjalne biblioteki wypożyczające niewidomym taśmy z tekstami do przegrywania ich w domu). Należy tu również wymienić konstrukcje wszelkich urządzeń umożliwiających odczytywanie przez niewidomych każdego (drukowanego i ręcznego) pisma. Teoretycznie możliwa jest oczywiście budowa owych aparatów i konstruuje się je, na razie w warunkach laboratoryjnych (m. in. w Czechosłowacji), ale koszt ich jest tak wysoki a obsługa tak skomplikowana, iż nie mają one jak dotąd żadnego znaczenia praktycznego.

Drugi kierunek rozwoju urządzeń przeznaczonych dla ociemniałych to aparaty umożliwiające niewidomym orientację przestrzenną, swobodne poruszanie się w nieznanym terenie, a więc aparaty mające chyba największą wartość humanitarną. Oczywiście, nikt nie neguje ogromnej przydatności poprzednich wynalazków dla ociemniałych, ale trudno chyba twierdzić, iż posiadanie przez niewidomego najlepszego nawet aparatu do odczytywania każdego pisma czy też biblioteki taśm magnetofonowych zmniejszy w jakiś sposób jego fizyczną zależność od otoczenia, gdy znajdzie się on na nieznanym dla siebie terenie. Uniezależnienie się od stałej opieki otoczenia, zwiększenie samodzielności ma dla niewidomego ogromne znaczenie nie tylko materialne, ale przede wszystkim psychiczne, i potrzeba urządzeń umożliwiających to jest najbardziej chyba palącą .

Sprawa oczywiście nie jest prosta. Do orientacji służy bowiem przede wszystkim wzrok, który w tym wypadku trzeba zastąpić słuchem i dotykiem. Zmysłami tymi niewidomy posługuje się bez żadnych urządzeń, czasami nawet z dużą wprawą, ale przecież najlepszy nawet słuch nie ostrzeże np. przed nagle urywającymi się stopniami. W tym wypadku ogromne zastosowanie znalazły wszelkiego rodzaju kieszonkowe aparaty wysyłające fale dźwiękowe, które odbite od przedmiotów powracają informując o różnych przeszkodach, ale metoda ta, jak się okazało, ma poważne minusy. Po pierwsze, aparaty te nie informują o małych, a niekiedy bardzo istotnych, przeszkodach, jak np. drut, gałęzie, cienki słup; po drugie zaś wymagają niesłuchanie wyczulonego słuchu, a niewidomi, wbrew rozpowszechnionemu mniemaniu, mają bardzo często słuch także upośledzony.

Wynalezienie jakiegś zupełnie innej metody stało się więc konieczne, i odkryli ją właśnie Polacy. Chodzi oczywiście o ową przemianę bodźców optycznych na impulsy dotykowe. Rewelacja tkwi już w samym teoretycznym założeniu tego pomysłu — niewidomy odbiera tutaj te same bodźce co człowiek widzący, tyle tylko, że zamiast obrazu powstałego na siatkówce w oku, powstaje „obraz“ uformowany przez rozmaite uciski na określonej części skóry czoła. Mimo woli przychodzą w tym momencie na myśl słowa prof. Dembowskiego: „Czym taki człowiek, po udoskonaleniu aparatów, będzie się różnił od człowieka normalnie widzącego? A może naprawdę stoimy u progu jakiegoś wielkiego odkrycia, które chociaż nie zastąpi w pełni ociemniałym utraczonego wzroku, to jednak potrafi go zrekompensować w stopniu...“

... W stopniu określonym i uzależnionym przede wszystkim od dalszego

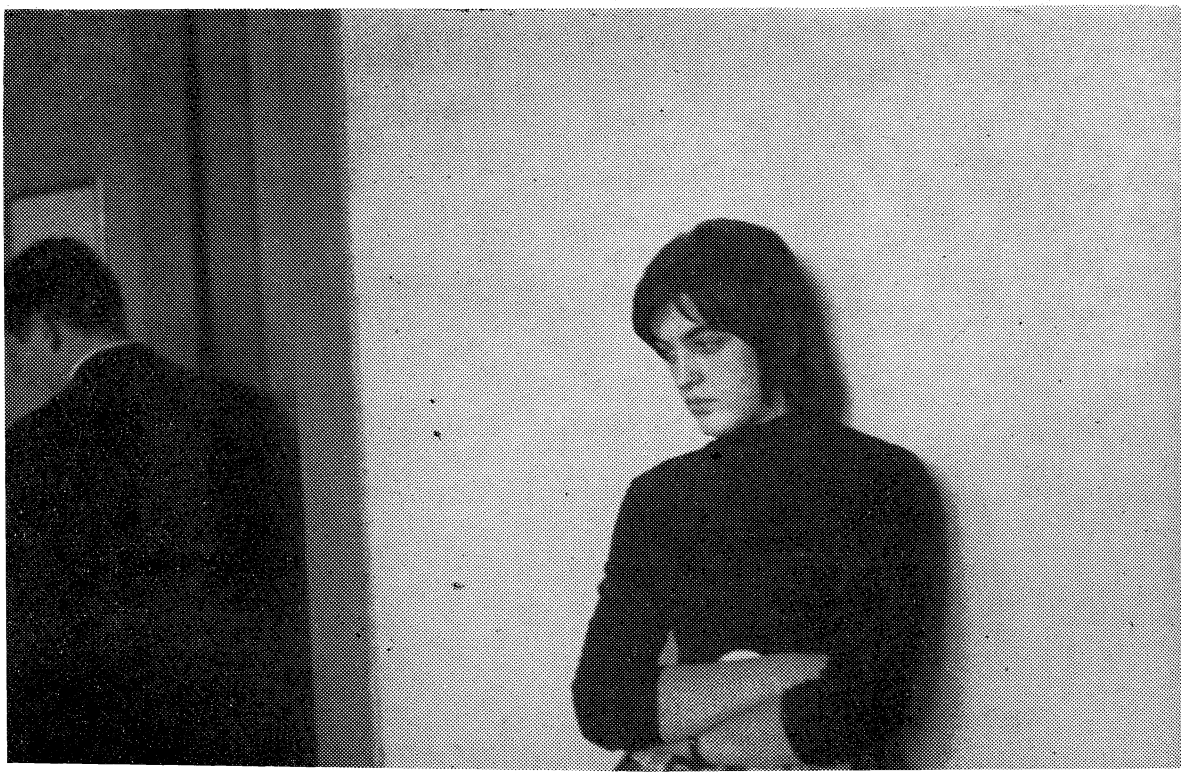
rozwoju techniki — ta współzależność jest decydująca. Wrocławscy naukowcy mają już w tej dziedzinie wielkie osiągnięcia. Aparat, który został skonstruowany na Politechnice Wrocławskiej pod kierunkiem prof. Kuliszewskiego, jest jedynym tego typu na świecie. Pozwala on niewidomemu, oczywiście przy pewnej wprawie, na swobodne poruszanie się w domu a nawet na ulicy. Mimo to twórcy elektroftalmu nie są zeń w pełni zadowoleni: koszt produkcji całego urządzenia jest stosunkowo wysoki, wynosi bowiem ok. 80 tys. złotych i z tego też względu, jak i z racji swojej dosyć dużej wagi (sama płytka czołowa waży ok. 800 g reszta ok. 12 kg), nie może być na razie przeznaczony do użytku powszechnego. A więc prace nad potanieniem i zmniejszeniem wagi aparatu, prócz udoskonaleń „merytorycznych“, są hasłem dnia.

— Musimy obniżyć koszt elektroftalmu przynajmniej do ceny odbiornika telewizyjnego — mówi prof. Kuliszewski — a także zastosować nowe, lekkie materiały, by każdy niewidomy mógł kupić sobie aparat, przynajmniej na raty, no i — by mógł go nosić przy sobie.

12 grudnia ubiegłego roku odbyła się w Warszawie konferencja w Polskiej Akademii Nauk. Na konferencji tej demonstrowany był elektroftalm oraz film pokazujący praktyczne zastosowanie aparatu. Rezultat: powszechny aplauz licznie zgromadzonych naukowców oraz zalecenie dalszego kontynuowania prac wraz z udzieleniem przez PAN subsydiów na ulepszenie aparatu. Tak więc nie tylko świat naukowy, ale i siedem milionów ludzi niewidomych zamieszkujących kulę ziemską z niecierpliwością oczekuje dalszych rezultatów prac naukowców Wrocławia i Szczecina.

Elżbieta Drzewińska

Fot. Henryk Wilkowski



M ł o d o ś ć

Hansa

Marchwity

**ZDZISŁAW
HIEROWSKI**



Zdarzyło się to w Szarleju gdzieś w roku 1909. Młody górnik Wincenty Pirka odkrył w osadzie „Sokoła” organizację otoczoną tajemnicą i prześladowaną przez władze, reprezentowane tu w osobach żandarma Heyducka i tajniaka Bullika. Namówił swoich trzech przyjaciół — Hansa Tomka, Marcina Marka oraz Walentego Macka — i poszli razem na zbiórkę do starej opuszczonej szopy, przed którą stał na straży niespokojny ojciec Wincentego, śmiertelny wróg „pruskiego wychowania”. Tajemnicza, zakonspirowana organizacja, gdzie rozmawiano ze sobą nie gwarą, lecz „czystą” polszczyzną i opowiadano o „starej, świętej Polsce”, o której szarlejscy chłopcy nic już nie wiedzieli, ciągnęła jak magnes, była czymś niezwykłym w beznadziejnym, pozbawionym wszelkich perspektyw życiu młodych robotników zmordowanych pracą ponad siły, wiecznie szukających lepszego zarobku, a przede wszystkim marzących o tym, żeby się wyrwać z tego kieratu, z tej nędzy i jałowej wegetacji. Ale na drugą zbiórkę już nie poszli. Hansowi wystarczył jeden szyderczy uśmiech młodego opryszka Ottona i jego pytanie, czy przystał już do zdrajców-Polaków, którzy za judaszowe srebrniki pracują na zgubę Śląska. Przestraszył się i perswadował kolegom, że w starej szopie nie należy się już więcej pokazywać. Urok konspiracji był jednak silny, chłopcy nie zamierzali zrywać z „Sokołem”. Ale potem inicjator tej całej imprezy, Wincenty Pirka, jakoś o wszystkim zapomniał i powrócił do swoich bezskutecznych polowań na dziewczęta w salach tanecznych Paysacka i „Tivoli”. A tamci o nowe miejsce zbiórki przepędzonego ze starej szopy „Sokoła” z przezorności już nie pytali.

W takich okolicznościach przyszedł pisarz niemiecki Hans Marchwitz spotkał się w swoim młodym życiu po raz ostatni z polskością i rozstał się z nią na zawsze. Bo ów Hans Tomek, jeden z czterech szarlejskich kumpli, to właśnie

on, bohater zbeletryzowanej autobiografii „Moja młodość” (Meine Jugend – Aus dem Leben eines deutschen Arbeiters). Gdyby nie szyderczy uśmiech Ottona od Sachsa, gdyby nie słomiany zapał i lekkomyślność Wincentego Pirkki, gdyby wreszcie nie fakt, że zbiórki sokole nic nie mogły zmienić w najbliższym życiu młodego szarlejskiego górnika, ładowacza kopalni węgla w Buchachu, być może życie Hansa Marchwitzy potoczyłoby się inaczej. Może po-



zostałby w Szarleju, może wraz ze swoją osadą znalazłby się w roku 1922 w granicach tej części Śląska, która wróciła do Polski. Ale czy byłby pisarzem? Czy byłby polskim pisarzem? Chyba nie. Ta bowiem sprawa rozstrzygnęła się już znacznie wcześniej, w jego latach szkolnych, pod opieką nauczyciela Schmitta.

Dla polskiego czytelnika książki Marchwitzy problem ów jest najbardziej interesujący. Ta książka – dokument, ten ubrany w powieściową formę pamiętnik odtwarza nam bowiem w sposób jak najbardziej obiektywny w całkowitym oderwaniu od konfliktów narodowych Śląska na przełomie wieków XIX i XX, proces wynaradawiania polskich Górnoszlazaków, przede wszystkim zaś polskiej młodzieży robotniczej. Trzeba rzecz więcej – pierwsza część tej powieści autobiograficznej jest dotychczas najlepszym obrazem literackim życia klasy robotniczej na Śląsku w tamtym okresie, najlepszym nawet w zestawieniu z ambitną próbą epicką Gustawa Morcinka, jaką jest jego „Pokład Joanny”. Marchwitza góruje nad Morcinkiem autentycznością, prawdą, realizmem, z jakimi odtwarza młode życie swego bohatera i jego środowisko. Doświadczenia Marchwitzy są bogatsze, a dalsze koleje życia dały im znacznie szersze perspektywy, pozwoliły na wnikliwą analizę i ocenę przeżyć i obserwacji. Nie zestawiam tu i nie porównuję literackich walorów obydwu książek, są one bowiem w sensie artystycznym – jak cała twórczość tych dwóch pisarzy – zjawiskami zasadniczo odmiennymi. Ale przyznać trzeba, że dla dociekliwego biografa o zacięciu socjologicznym zestawienie tych dwóch życiorysów pisarskich mogłoby być przedsięwzięciem kuszącym: obaj są niemal rówieśnikami, obaj pochodzą z rodzin górniczych, obaj młodość zaczęli w kopalni, obaj pisarzami stali się dopiero w wieku dojrzałym i debiutowali niemal równocześnie – Morcinek w r. 1929, Marchwitza w rok później – przy czym w obydwu wypadkach debiuty książkowe poprzedziła twórczość nowelistyczna o podobnym charakterze, zbliżona w tematyce.

Odrzućmy jednak pokusę i wracajmy do młodości Marchwitzy.

W czasie pobytu w Polsce w r. 1952 w jednym z wywiadów powiedział on o sobie:

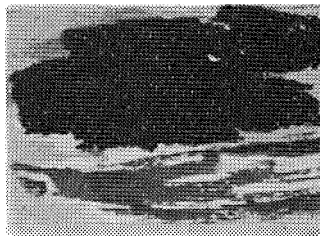
„Nie umiem określić mojej narodowości. Urodziłem się w r. 1890 na Górnym Śląsku. Rodzice moi chodzili do polskiej szkoły, w domu mówiono po polsku, oczywiście górnoszlazką gwarą. Od dwudziestego roku życia mieszkam w Niemczech. Na Śląsku byłem górnikiem. W Zagłębiu Ruhry byłem górnikiem. Niemcy stały się moją ojczyzną, gdyż od czterdziestu lat walczę w niemieckim ruchu robotniczym. Rodzina moja żyje zresztą po dzień dzisiejszy w Polsce”.

Oto proste, ale w warunkach śląskich znamienne fakty, których ilustracją stała się powieść „Moja młodość”. Mówi ona nawet nieco więcej, niż powiedział sam autor w wywiadzie: że dwudziestoletni Marchwitza wyemigrował do Zagłębia Ruhry będąc już Niemcem, że wybór ojczyzny dokonał się u niego już wcześniej, pod wpływem czynników działających w młodości. Toteż ten fragment jego życia zasługuje z naszej strony na bliższą uwagę. Ma on wymowę historycznego dokumentu.

W rodzinie pisarza tradycje górnicze reprezentowała tylko strona matki, podczas gdy ojciec przyszedł do kopalni bezpośrednio ze wsi, z rodzinnego Żygliną, pragnąc zarobkami górniczymi podratować upadającą gospodarkę, ale że ugrzązł w nowym zawodzie na dobre, spotkał się z powszechnym potępieniem swojej żyglińskiej rodziny, nie zdobywszy zarazem sympatii w rodzinie żony, która uważała go za „chłopskiego synka”. Jest to przykład charakterystyczny dla procesu kształtowania się klasy robotniczej w górnośląskim, a także dąbrowskim zagłębiu przemysłowym, przykład pewnych nurtujących ją konfliktów wewnętrznych. Przy tym rodowód ojca wskazuje pośrednio, że środowisko rodzinne Marchwity było rdzennie polskie. W domu i w najbliższym otoczeniu mówiono po polsku. I to chyba wyłącznie po polsku, skoro pierwszymi trudnościami, z jakimi spotkał się w szkole, były trudności językowe: nie rozumiał po niemiecku, a ten język był już w szkołach górnośląskich językiem wykładowym. Ponieważ odczuwał tam silnie brak środowiska, a raczej atmosfery, w której się wychowywał, uciekał ze szkoły przy każdej sposobności. Nie tylko on sam. „Zmykało zresztą oprócz mnie wielu innych chłopców — pisze — ponieważ nie rozumieli, czego Schmitt od nich żądał. Prawie wszyscy mówili w domu po polsku i nie mieli pojęcia, jak mają to oznajmić, gdy ich „w sobie burzy”.*)

A więc uczniowie nie wnosili do szkoły żadnej znajomości języka niemieckiego, nie umieli wyrazić w nim rzeczy najprostszych. Tę trudność mimo przedpotopowych metod nauczania szkoła pruska przełamywała jednak w ciągu dwóch — trzech lat. Wyniesiony przez uczniów z domu język polski pozostawał ich językiem codziennym, ale językiem oficjalnym, opanowanym zarówno w mowie jak w piśmie, stawał się już język niemiecki. Jeśli nawet z biegiem lat nie zapomnieli czytać po polsku, to — jeżeli nie zadbał o to dom — nigdy nie opanowali sztuki pisania w tym języku. Gdy zatem później budziły się w którymś z nich jakieś zainteresowania kulturalne, jakieś potrzeby w tej dziedzinie — zaspokojenia ich musiał szukać przede wszystkim w lekturze niemieckiej. Być może zresztą, że powieść o śląskim zbójniku „Czarnym Krzysztofie”, którą zaczytywał się Hans jeszcze w szkole, była jednym z polskich wydawnictw popularnych, licznie się wówczas ukazujących na Śląsku, ale zeszytowe powieści detektywistyczne, jedyna jego lektura pozaszkolna, to już chyba na pewno wydawnictwa niemieckie. W ten sposób utrzymywało się upośledzenie języka polskiego i jeżeli dom oraz otoczenie nie zdołały w sposób świadomy tego upośledzenia zrównoważyć, język niemiecki stawał się językiem dominującym, językiem, przy którego pomocy nawiązywało się kontakt z szerszym i „lepszym” światem.

Znacznie ważniejszy był jednak wychowawczy wpływ szkoły. Wychowywała ona młodzież górnośląską na pruskich patriotów. Czyniła to w sposób prymitywny, brutalny, tępy, ale, niestety — jak się okazywało — niejednokrotnie skuteczny. W jednym ze swoich wspomnień Marchwita nazwał tę swoją szarlejską szkołę z jej nauczycielem, „królewsko-pruskim podoficerem” Schmittem — *Infanterievorschule für die Kleinen*, przedszkolem piechoty dla dzieci. Warto przypomnieć, że w podobnych słowach, z podobną goryczą wspominał swoją szkołę lipińską Augustyn Świder, którego losy potoczyły się



*) Cytaty według polskiego wydania w przekładzie Adolfa Sowińskiego, Olgi i Andrzeja Ziemielskich.

drogami tak odmiennymi od dróg Marchwity. W szkole panował pruski, podoficerski dryl. Schmitt stosował pałkę z wręcz bydlęcym okrucieństwem. Tą pałką wbijał w głowy swoich uczniów miłość do pruskiej ojczyzny i domu panującego, pełną buty wiedzę o wielkości Niemiec i potęgę pruskiego oręża, uwielbienie dla wszystkiego, co niemieckie, a na lekcjach gimnastyki wojskową musztrę. Tylko ten zasób wiedzy utrwała Marchwita w swojej książce i poza Schmittem nie wspomina żadnego nauczyciela; on przeprowadził go przez całą szkołę, do lat czternastu, które były granicą dojrzałości, otwierając drogę do pracy w kopalni.

Do najświetniejszych momentów „Mojej młodości” należy obszerny opis przygotowań do powitania cesarza, który udawał się z wizytą do Świerklańca: obraz bosych, zziębniętych dzieci, stojących godzinami na jesiennym przymroczku z trójkolorowymi flagami, które były najpierw przedmiotem ich największych zmartwień, a potem największej dumy, dzieci musztrowanych ustawicznie przez zdenerwowanych nauczycieli i wracających ostatecznie z niczym, bo cesarz w ostatniej chwili wybrał inną drogę przejazdu. Tu już zarysowują się pierwsze skutki pruskiego wychowania w młodych umysłach. Z biegiem czasu okazały się one znacznie poważniejsze i głębsze. W czwartej klasie wszyscy uczniowie prócz jednego, Marcina Marka, który stał się główną ofiarą katorżniczych metod wychowawczych Schmitta, posiadli już wiedzę o dniach chwały oręża niemieckiego. „Często Schmitt — pisze Marchwita — nie potrafił ukryć swego wzruszenia i swej wdzięczności, tak przytomne padały odpowiedzi, gdy chodziło o wymienianie bitew. Z czasem i dla mnie wszyscy wrogowie Niemiec stali się okrutnymi dzikusami i trupojadami”.

To był pierwszy etap działalności wychowawczej pana Schmitta, który dzieło swoje kontynuował systematycznie i konsekwentnie do ostatniej klasy, a młody Hans zawsze się w zakresie wykładanej przezeń patriotycznej wiedzy wyróżniał. Nie wyróżniał się jednak stosunkiem do tych spraw w swoim środowisku. Było ono — w zasięgu jego obserwacji — mniej więcej jednolite: pruski patriotyzm, podziw dla niemieckiej potęgi, dla żelaznego kanclerza Bismarcka i dla cesarza. Sprawdziło się to, kiedy w kopalni, na odcinku Hansa pojawił się Saksończyk Schneider, pierwszy spotkany w jego życiu socjaldemokrata, „pozostający podobno w kontakcie z masonami, socjalistami i innymi diabelskimi związkami”. Szarlejscy górnicy przebaczyli mu ostrą krytykę swej bierności i pokory, ale gdy zaatakował Bismarcka i inne wysoko postawione osoby, spotkał się z ich sprzeciwem i wrogością. Oto ich odpowiedź na krytykę Bismarcka i jego imperialistycznej polityki:

„— Czerwony Schneider ze swoim gadaniem trafi kiedyś do kryminału — prorokował Copka z kapeli górniczej. Copka służył kiedyś w pułku gwardii w Berlinie i dane mu było ujrzeć parę razy kanclerza. — Nie, nie ma drugiego człowieka takiej dobroci — utrzymywał Copka. Bismarck oczywiście nie mógł wścibiać nosa do każdej dziury i w każdy zakamarek, ale był tym, który zabezpieczył Niemcy przed wrogami i zawistnymi. Czym jest dzisiaj nasza armia? Skała i żelazo! Nigdy by Niemcy bez Bismarcka nie stanęły na takich szczytach. — Na ogół ci z orkiestry nie byli u nas mile widziani, ale co powiedział Copka, było przekonywające i niewzruszalne”.

Tak dalece przekonywające, że Hans skorzystał z najbliższej okazji, żeby ostentacyjnie zamanifestować swoje wiernopoddańcze uwielbienie dla cesarza. Kiedy Schneider wyleciał z kopalni za nazwanie monarchy zbrodniarzem, Hans kazał sobie wytatuować na ramieniu cesarza w koronie. Obnosił ten wizerunek z dumą, nie zważając iż nawet wrogowie Schneidra uważali, że

zwariował. To zresztą drobiazg. Znacznie poważniejsze następstwa przyniesie w jego życiu ta pruska postawa w drugim etapie jego losów, gdy znajdzie się w Zagłębiu Ruhry, kiedy wybuchnie pierwsza wojna światowa. Mowa o tym w dwóch dalszych częściach „Mojej młodości” zatytułowanych „Zagłębie Ruhry — przykład dobrej nadziei” i „W drodze do Verdun”.

Dla sytuacji w klasie robotniczej na Górnym Śląsku, dla charakterystyki stanu jej uświadomienia społecznego jest rzeczą znamionną, że w swoim szaralejskim środowisku Hans spotyka do dwudziestego roku życia jednego tylko Schneidra, jednego tylko człowieka reprezentującego ideę socjalistyczną, w tym wypadku w wydaniu socjaldemokratycznym. Drugim będzie dopiero stary marynarz Schletz spotkany już w Zagłębiu Ruhry. Ów kult Bismarcka i cesarza, ów pruski ślepy patriotyzm mógł się rozwinąć tylko w warunkach takiego zacofania, takiego nieuświadomienia, o jakim relacjonuje Marchwita na kartkach swojej książki. Znalazłszy się w Zagłębiu Ruhry i zetknąwszy się po raz pierwszy ze strajkiem, Hans nie orientuje się w istocie sprawy tak dalece, że nie może sobie poradzić z rozróżnianiem dwóch słów niemieckich — Streik i Streit (spór). A przecież historia walk strajkowych na Śląsku zaczyna się pod koniec lat sześćdziesiątych i u progu siedemdziesiątych XIX w., przecież w początkach XX w. działa tu już na dobre socjaldemokracja oraz Polska Partia Socjalistyczna ze swoją „Gazetą Robotniczą”. Marchwitz, którego droga do socjalizmu, do czynnej walki w rewolucyjnych szeregach klasy robotniczej była trudna i skomplikowana, nie mamy prawa nie wierzyć. W tej jego relacji należy widzieć potwierdzenie faktu, że uświadomienie społeczne, ideologia rewolucyjna z wielkim trudem torowały sobie drogę do świadomości śląskiego proletariatu, który — zapewne i przez swoje związki ze wsią, i na skutek silnych wpływów kleru oraz partii klerykalnych — ulegał tendencjom tradycjonalistycznym i wstecznym, a na skutek upośledzenia w porównaniu z robotnikami w innych częściach ówczesnych Niemiec, na skutek terroru administracji przemysłowej przyjmował swój los pokornie i bez sprzeciwu. W każdym razie sytuacja, jaką obrazuje Marchwita na przykładzie Szarleja, była zapewne typowa dla mniejszych ośrodków przemysłowych i osad robotniczych.

Dzieło germanizacji, zapoczątkowane przez szkołę, kontynuowała dalej władza, zarówno administracyjna jak przemysłowa, podtrzymywały je stowarzyszenia, zwłaszcza Turnvereiny i Kriegsvereiny, te pierwsze obliczone przede wszystkim na młodzież, drugie — głównie na starszych, którzy przeszli przez drugą szkołę: wojsko pruskie. By zrozumieć działanie władzy, zwierzchności w ogóle, wystarczy przypomnieć z powieści Marchwitz ten paraliżujący lęk, z jakim ludzie wchodzili do urzędu gminnego, z jakim odnosili się do rezydencji Heyducka i Bullika. Wystarczy przypomnieć nieograniczoną władzę, jaką miały nad człowiekiem w tym środowisku zarządy zakładów pracy, dysponujące takim instrumentem, jak rosnąca, zasilana dopływem z Królestwa masa rezerwowej siły roboczej. Z jakim przerażeniem ojciec Hansa zrywał z głowy kapelusza na widok któregoś z ważniejszych urzędników kopalni, z jaką ulgą patrzył za nim, gdy tamten raczył mu się odklonić. Ten ukłon urzędnika nie był świadectwem łaski, mówił tylko, że nie było się w niełasce. A cały nadzór techniczny był niemiecki. Na dole w kopalni węgla zaczynało się to już od starszego rębacza (Klotz z Wałbrzycha w Buchaczu), w kopalni rudy od podmajstrzego przy płucce, który przyszedł z Wrocławia.

Do tego dołączały się metody inżyniera Neuhausa, prezesa miejscowej organizacji niemieckiego towarzystwa gimnastycznego. Hans i przyjaciele, zwerbo-

wani przez Wilhelma Grabka, syna kryminalisty i prostytutki, który zdołał wyrwać się ze środowiska miłej rodzinki i wykierować na buchaltera, zapisali się do Towarzystwa Gimnastycznego „Niemiecki dąb” dla białych spodni i koszulek gimnastycznych, które tam dostawało się za darmo, a które wobec ich łachmanów wydawać się musiały szczytem elegancji i luksusu. Tam wziął ich pod swoją opiekę inżynier Neuhaus z kopalni rudy „Helena”. Tytułował obdartusów panami, zapoznał ich z przepisami towarzystwa, wychwalał niemiecką dyscyplinę i patriotyzm, apelował, by dbali o honor swojej organizacji. Znowu przypomniano im wyuczoną w szkole musztrę, marsz i krycie, postawy i zwroty. Młodzi, niepotrzebni ludzie poczuli się wywyższeni, w swoim rozumieniu zdobywali już pozycję społeczną, nawet Heyduck i Bullik wydawali im się niegroźni. Życie w Turnvereinie było frapujące: uroczystości z flagami i festonami, defilady z pochodniami i orkiestrą, dziarski, junacki śpiew, słowem — całkowita, efektowna namiastka wojska, za którym tęsknił każdy z tych młodych z racji munduru, który zastąpiłby zdarte łachy, i w nadziei, że służba wojskowa przyniesie odmianę losu, a przynajmniej wyrwie



go z tej szarzyzny i poniewierki. A przy tym wszystkim ogniste przemowy: „Niemiecka wierność... Żelazna jedność... Kwiat ojczyzny... Przywiązanie do umiłowanego domu panującego... Oddanie i ofiarność do grobowej deski... Dęby, mocno wrosnięte w ziemię ojczystą... Śpiew: Deutschland, Deutschland über alles, über alles in der Welt!”

Ta cała sceneria służyła kontynuacji germanizatorskiego wpływu szkoły. Przy tym pomagała demoralizować i wypaczać charaktery, uczyć karierowiczostwa. Jeden z przyjaciół Hansa, Walenty Macek, pracował w Turnvereinie z oddaniem i szczególnie gorliwie zabiegał o jego rozwój. Neuhaus obiecywał mu pracę na płucze kopalni „Helena”, a Walenty marzył już o stanowisku podmajstrzego czy nawet majstra, o funkcjach, które sprawowali niemal wyłącznie Niemcy. Tam, na „Helenie”, inżynier odsłaniał swoje drugie oblicze:

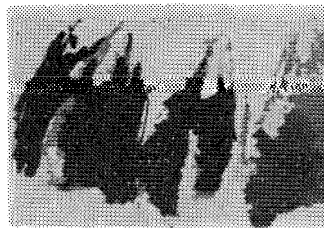
„Neuhaus w pracy był innym człowiekiem. Gonił tam i z powrotem, krzyczał na młodych płuczkarzy, którzy mocowali się z ciężkimi szuflami... Ryk Neuhausza budził ich z półdrzemki. Oczy Neuhausza z błyszczącymi binoklami były wszechobecne. Dłuższy czas przyczajał się gdzieś, by nagle jak sęp rzucić się na chłopaka, który usiłował niepostrzeżenie przez chwilę odpocząć”.

Walenty Macek mimo całej nadgorliwości w popędzaniu robotników i wysługiwaniu się Neuhausowi nie popisał się jednak i jego funkcja przypadła Hansowi. Jednym z najważniejszych elementów tej funkcji było pilnowanie „małych Polaków”, nieletnich robotników z za kordonu, którzy przychodzili tu po ciężki zarobek, fałszując metryki lub przekupując nadzór, żeby ukryć fakt, iż nie mają jeszcze czternastu lat. Neuhaus, powierzając Hansowi funkcję podmajstrzego, przykazywał mu przede wszystkim, żeby nie wzruszał się łzami leniwych Polaków. W ten sposób młodzi gimnastycy stawali się gnębiicielami własnych towarzyszy pracy, zapominali o tym, co ich łączy z rodakami z za granicy, czynili pierwszy krok, by znaleźć się wśród „narodu panów”, choćby na najniższym stopniu hierarchii, niemal na dnie, ale zawsze wśród tych, co rozkazują i rządzą. Hans przez intuicyjną solidarność klasową czy po prostu przez zwykłe współczucie zdołał się oprzeć demoralizującemu wpływowi swojej sytuacji na płucce. Ale kiedy raz z Marcinem Markiem wybrali się w odwiedziny do rodziców Stasia, jednego z tych „małych Polaków”, chłopca zaledwie

jedenastoletniego, i gdy tam wśród uskarżań się na ciężki los powiedziano mu „bracie” — spojrzeli na siebie z Marcinem zdumieni i zaskoczeni.

Mimo to odwiedziny nie pozostały bez następstw. Marcin Marek, natura rogata, chłopak doświadczony i ciągami nauczyciela Schmitta, i domem poprawczym, pewnego razu nie wytrzymał: na zbiorce gimnastycznej trzasnął w pysk pulchnego, roześmianego Neuhaus. I dodał: „To za małych Polaków!” W tym buntowniczym odruchu splotły się zapewne dwie pobudki — obudzone, szczątkowe poczucie solidarności narodowej i solidarność klasowa, też jeszcze nie uświadomiona i nie wykrystalizowana. Tak skończyła się kariera młodych szarlejczyków w niemieckim towarzystwie gimnastycznym, podejmowana za dwoma nawrotami. Ale ziarna tam zasiane pozostały i kiełkowały.

W stosunku do starszych tę samą misję spełniały „związki wojackie”, stowarzyszenia byłych żołnierzy. Tu też rej wodziły „grube ryby”, kwiat administracji państwowej i przemysłowej. Orkiestra wojskowa lub kopalniana, marsze, pieśni żołnierskie, mowy na temat wierności dla niemieckiej ojczyzny, mundury i ordery. Wszystko to miało podtrzymywać ducha patriotyzmu, krzepić żołnierskość, a dla prostych ludzi było jakąś płaszczyzną zbliżenia z niedosiężnymi „panami”. Tutaj nawet główny inżynier „Nowej Heleny”, pan Taube, był czymś innym niż „wstrętną świnią”, jak go określano na co dzień. W swojej polityce germanizatorskiej Niemcy przywiązywali dużą wagę do tych stowarzyszeń. Pozwalały one podtrzymywać w starszym pokoleniu to, co wpoila szkoła i służba wojskowa.



Młody Hans Marchwita nie wyczuwał w tym środowisku konfliktów narodowych, nasilającej się walki o prawa narodowe. Najprawdopodobniej pozostawały one poza zasięgiem jego uwagi i zainteresowań, najbliższe były mu sprawy własnego losu, pochłaniała go całkowicie myśl o tym, jakby rzucić to wszystko, wyrwać się do lepszego życia. Znamienne jest jednak, że mimo pruskiego wychowania, mimo wpojenia mu nienawiści do wszystkiego, co nie jest niemieckie, nie odczuwał wrogości w stosunku do Polaków. Zarówno do tych, co swą polskość manifestują — np. stary Pirka, ojciec Wincentego, jednego z przyjaciół Hansa — jak i do tych, co organizują życie polskie — np. w „Sokole” — jak wreszcie do grupy prawdziwych pariasów, tych „małych Polaków” zza granicy, nad którymi sprawował jakiś okrucieństwo władzy na płucze. Wydaje się z jego relacji, jakby sprawy różnic narodowościowych, sprawy tego, kto czuje się Niemcem, a kto Polakiem, nie odgrywały we wzajemnych stosunkach roli, jakby różnice te były czymś naturalnym, a granice podziału wprowadzały tu władze i działacze-germanizatorzy. Wspólność losu wyszukiwanego, gnębionego na każdym kroku robotnika odsuwała te różnice na plan dalszy, stępiała ich ostrze. Stan przemieszania narodowościowego, zależnego przecież od indywidualnej decyzji, od własnego wyboru, był zjawiskiem normalnym, a sytuacja polityczna nie była jeszcze do tego stopnia dojrzała i napięta, by narzucała konieczność wyboru natychmiastowego, zdecydowanego. Stan ten określa po swojemu stary furman Willmer, kiedy mówi do ojca Hansa: „— Od czasów wieży Babel pomieszały się wszystkie języki ludzkie, a dzisiaj już nawet w rodzinie jeden nie rozumie drugiego”. Refleksja naiwna, ale podyktowana sytuacją życiową starego: sam mówił — mimo tak niemieckiego nazwiska — tylko po polsku, a zięcia miał berlińczyka.

W tym polskim środowisku, z którego wywodził się Hans, w środowisku Marków, Pawlickich, Kochańskich, Paluchów spotyka on tylko jednego czło-

wieka, którego możemy nazwać w pełni uświadomionym Polakiem. Sytuacja podobna jak z socjaldemokratą Schneidrem. Tym Polakiem jest stary Pirka. Marchwitza jakby nie dostrzega owego rysu tej szczególnie dla nas ciekawej postaci. Początkowo przedstawia go tylko jako wroga „pruskiego wychowania”. Pirka ma po temu powody. Jego najstarszy syn Juliusz został wysłany do domu poprawczego, a stało się to zapewne w podobnych okolicznościach jak w wypadku Marcina Marka, który — niezależnie od skłonności do wagarów i braku zainteresowania dla patriotycznych nauk pana Schmitta — nie mógł już znieść ustawicznego katowania go w szkole i w czasie jednej z egzekucji, zresztą szczególnie bestialskiej, wyrwał się nauczycielowi-oprawcy i uderzył go w twarz. Gdy w czasie przygotowań do powitania cesarza młodszy syn Pirki, Wincenty, domaga się flagi, stary wpada we wściekłość, ale znów motywuje swój opór przeciw wszelkim manifestacjom na cześć cesarza lub innych wysokich osobistości tym, że „ta banda” zabrała mu syna, który mógł już być mu pomocą. Dopiero dalsze dwa fakty wyjaśniają nam sprawę ostatecznie. Po pierwsze, rola starego Pirki w „Sokole”, gdzie pełni on straż w czasie zbiórek, żeby ostrzec w porę ich uczestników przed nadejściem żandarmów. A po drugie — jego reakcja, gdy matka Marcina Marka chce biec do wójta Bicka i błagać go, by nie wysyłał syna do domu poprawczego. Stary Pirka mówi wówczas:

„— Chcieć od takiego łaski? On już nie pamięta, że sam kiedyś głodem przymierał — jaśnie pan! Umiał się tylko wykręcać i przed każdym, który miał w rękę szpicrutę, składać się jak scyzoryk. Żle się dzieje, kiedy któryś z naszej biedoty zajdzie tak wysoko! Tu musiałby powstać jakiś nowy Kościuszek, by wypalić smołą i siarką tę kaprałską stajnię”.

Echo żywej na Śląsku tradycji kościuszkowskiej jest w książce Marchwitzy nie lada zaskoczeniem. Widać zresztą, że i sam autor coś o tym Kościuszcze wiedział, skoro zapamiętał i utrwalił ten szczegół. Może z jakiejś lektury? A może z opowiadań starego lubieżnika Schudego, z których odtworzył szeroko znaną anegdotę o zbójniku Pistulce?

Jeszcze jeden szczegół warto zanotować dla charakterystyki szarlejskiego środowiska. Jest nim nienawiść do ewangelików. Wyładowuje się ona przede wszystkim wśród młodzieży, która swoich rówieśników ewangelików nazywa „kotojadami” i walczy z nimi zażarcie przy każdej sposobności. Jest to znów konflikt typowy dla Górnego Śląska, wyrosły na podłożu niechęci miejscowych do wszelkiego rodzaju przybyszów — zarówno z Niemiec, jak i z innych ziem polskich — jeżeli przybysze zjeżdżają tu po to, żeby rządzić, żeby sprawować władzę. Ten zatarg ma wyraźną podbudowę klasową, jest konfliktem biedoty z warstwą zamożną, rządzącą. Ale ewangelikami na Górnym Śląsku byli w ogromnej większości napływowi Niemcy. Stąd mogła tu działać nie tylko sprawa różnic klasowych, ale i narodowych. Jest to zresztą szczegół trzeciorzędny i dla podkreślenia polskości środowiska, z którego wyszedł Hans Marchwitza, nieistotny. Bo mógł tu zachodzić dysonans jeszcze innego rodzaju: wśród napływowych Niemców było wielu z Dolnego Śląska, a Niemcy dolnośląscy uważali się zawsze — i uważają się nadal, np. w działających w NRF „ziomkostwach” — za nieskończenie lepszych Niemców od Niemców górnośląskich: no bo jakże, skoro ci mają swój język — „wasserpolnisch”!

Z takim bagażem doświadczeń, tak ukształtowany Hans Marchwitza wyjechał w dwudziestym roku życia — a więc w r. 1910 — po lepszą pracę do Zagłębia Ruhry. Ta część jego autobiografii jest z kolei przyczynkiem do dziejów i losów polskiej emigracji zarobkowej ze Śląska do Westfalii i Nad-

renii. Emigracja ta była bardzo liczna, zastępowała np. nagminną emigrację galicyjską do Ameryki, a podyktowana była przede wszystkim faktem, że na zachodzie Niemiec sytuacja materialna robotnika była wyraźnie lepsza.



Były tam wyższe zarobki a rozwinięty i okrzepły już ruch robotniczy mógł czasem skutecznie walczyć z kapitałem. Młody Hans wraz ze swoimi czterema towarzyszami srogo się w Zagłębiu Ruhry rozczerował. Dla nas interesujące jest to, że emigranci górnośląscy znaleźli się tam od razu w sytuacji pariasów, jako grupa korzystająca ze znacznie mniejszych przywilejów niż robotnicy miejscowi. Wpływało na to i nieuświadomienie klasowe emigrantów i ich narodowość. O tym drugim aspekcie sprawy mówi w „Mojej młodości” w chwili gniewu katowiczanie Kubica, który ze skóry wyłazi, żeby dopasować się wraz z grupą współtowarzyszy do nowego środowiska: „Od dawna już wiemy, że wy byście nas najchętniej wykończyli... Wiemy, że pogardzacie nami jako Wołochami. Polaczyskami, dobrze

o tym wiemy!” A i sam Hans ma na ten temat coś do powiedzenia. W pewnej chwili uświadamia sobie, że znalazł się w nowym środowisku, w nowej kopalni w sytuacji Ukraińców, których sprowadzano do kopalń górnośląskich na podstawie podstępnie zredagowanych kontraktów jak bydło robocze i tak samo ich traktowano.

Za sobą zostawił rodzinny Śląsk, za którym tęsknota w rzadkich chwilach wytchnienia będzie się stale odzywać. Ale pamięć doznanych tu krzywd i upokorzeń uczucie to przygasza i tłumi. W oczach pozostanie ostatni obraz ziemi ojczystej, widziany z okien wagonu:

„Mijaliśmy nasz biedny kraj, zapróśzone, ogniem zięjące i ociekające potem miasta, ponure ulice, chmury bosych i obdartych dzieci, blade kobiety i steranych pracą ponad siły mężczyzn, którzy się nam przyglądali. Stara ojczyzna po raz ostatni obnażała swoje smętne, znękanе oblicze jak człowiek tknięty zarazą: — Nie wracajcie, nigdy tu nie wracajcie!”

Dwie dalsze części tej książki opowiadają o latach dojrzewania Marchwity i doprowadzone są do roku 1917. Część poświęcona wojnie musi być zaliczona do najlepszych kart niemieckiej literatury antywojennej. Mimo że nie jest tak efektowna literacko, godna jest tego, by zestawić ją z „Na zachodzie bez zmian” Remarque’a. Dla nas motywem interesującym może być proces narastania buntu u wspomnianego już katowiczanie Kubicy. Ale zagadnienie to rozgrywa się już w skali innej problematyki, te momenty, dla których bliżej zająłem się autobiografią Marchwity, nie odgrywają tam żadnej roli.

Chodziło mi przede wszystkim o pokazanie na przykładzie autobiograficznej relacji Marchwity działania mechanizmu germanizacji w stosunku do ludności górnośląskiej na przełomie wieków. Sam autor zresztą upoważnia do takiej analizy przez świadomość poddania się temu procesowi. Przykład ten wydaje się poza tym szczególnie cenny przez to, że Marchwita-komunista był i pozostał przyjacielem Polski i Polaków. Pamiętać bowiem trzeba, że droga, jaką przeszedł, była udziałem niejednej rodziny polskiej na Górnym Śląsku, a w wyniku takich samych procesów germanizacyjnych wyrastali z tego polskiego społeczeństwa śmiertelni wrogowie naszego narodu, sztandarowi hitlerowcy, mordercy swoich rodaków, szowiniści stanowiący siłę napędową niemieckiego rewizjonizmu. Z tych różnic wyłania się interesujący i specyficzny problem: gdzie przebiega granica między uwarunkowanym wielo okolicznościami życiowymi wyborem drugiej narodowości, drugiej ojczyzny,

a renegactwem. Pierwsze zjawisko kończy się bez wątpienia tam, gdzie zaczyna się nienawiść i pogarda dla narodu, z którego się wyszło. Hans Marchwitta tej granicy nie przekroczył.

*

„Moja młodość” nie jest pierwszą książką Marchwitzy. Powstała ona dopiero w latach drugiej wojny światowej, w czasie pobytu w Ameryce. Autor zaczął pisać jako człowiek trzydziestoczteroletni, w r. 1924. Były to początkowo korespondencje do prasy robotniczej, z biegiem czasu szkice nowelistyczne i obrazki, które czytelnicy polscy znają z tomiku „Pierwsze opowiadania”; jak zawsze u Marchwitzy, sporo w nich motywów i szczegółów autobiograficznych. Po kilku latach tego literackiego terminatorstwa — uczył się wszystkiego od początku, sam przyznaje, że intensywną lekturę zaczął dopiero około trzydziestego piątego roku życia — debiutuje w r. 1930 powieścią „Sturm auf Essen” (Szturm na Essen), której tematem są rewolucyjne walki niemieckiej klasy robotniczej w latach 1920—1924. Zanim Hitler doszedł do władzy i zaczęły się dla Marchwitzy lata emigracji, zdołał opublikować jeszcze dwie powieści: „Schlacht vor Kohle” (Walka ważniejsza niż węgiel), gdzie na kanwie zwycięskiego strajku odtwarza walkę robotników niemieckich o zachowanie zdobyczy osiągniętych w pierwszych latach powojennych, oraz „Walzwerk” (Walcownia).

Przed antykomunistycznym terrorem hitlerowskim schronił się w r. 1933 do Szwajcarii. Ale wysiedlono go stamtąd po wydaniu przez jedną ze szwajcarskich firm wydawniczych następnej z kolei jego powieści „Die Kumiaks” (przełożonej na język polski pt. „Kumiacy”), będącej dziejami rodziny emigrantów z terenów etnicznie polskich, rzuconymi na tło wydarzeń pierwszej połowy lat dwudziestych. Wyjeżdża do Francji, a stamtąd z kolei przedostaje się do Hiszpanii, by wziąć udział w wojnie domowej jako oficer Brygady Międzynarodowej. Po klęsce wraca do Francji i mimo szykan ze strony władz kontynuuje pracę literacką nad dalszym ciągiem „Kumiaków”. Po wybuchu drugiej wojny światowej został aresztowany i skierowany do obozu internowanych. Uciekłszy z Francji, udał się wraz z grupą towarzyszy do Ameryki, gdzie w trudnych warunkach, zarabiając na utrzymanie przeważnie pracą fizyczną, nie przerywał pracy literackiej, a przede wszystkim pracy nad sobą. W Ameryce powstała „Moja młodość” i druga książka autobiograficzna „In Frankreich” (We Francji), zawierająca wspomnienia z lat niewesołego dla pisarza pobytu w tym kraju.

W r. 1946 Marchwitta powrócił do kraju, do Niemiec wschodnich, przyszłej Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Wznowienia jego książek przedwojennych, a przede wszystkim pierwsze krajowe wydania książek napisanych na emigracji wysunęły go w pierwsze szeregi niemieckich pisarzy socjalistycznych, jako epika walk klasy robotniczej o swoje prawa, o socjalizm. Krytyka widzi w nim pierwszego niemieckiego pisarza proletariackiego. Proletariackiego nie tylko z pochodzenia, ale i przez problematykę jego książek, przez sposób widzenia i oceny opisywanych zjawisk. Ceni go jako świetnego narratora, który po mistrzowsku włada językiem prostego człowieka.

Twórczość jego ma pewne analogie poza literaturą niemiecką. Na gruncie polskim można ją zestawić z pisarstwem Lucjana Rudnickiego, na gruncie czeskim z twórczością Antoniego Zapotockiego. Tworzą oni zjawisko literackie o odrębnym charakterze i swoistym znaczeniu, o którego wartości decyduje nie tylko samorodny kunszt literacki autorów, ale w równej mierze treść ich dzieł, zawarty w nich pierwiastek autobiograficzny, mający swoje powiązania z wielu faktami historycznymi i społecznymi, słowem — walory doku-

mentalne, które tak wysoko cenimy w literaturze pamiętnikarskiej. Jeżeli mówimy o literaturze szlacheckiej, dworskiej, mieszczańskiej, to w tym wypadku historia literatury będzie musiała odnotować twórczość tych pisarzy jako początki literatury proletariackiej w piśmiennictwie poszczególnych narodów. Są to początki samorodne, stojące poza teorią, nie liczące się z próbami formułowania estetyki normatywnej, a tym samym szczególnie interesujące i godne uwagi.

Wracając do „Mojej młodości” przypomnijmy: pierwszy w literaturze niemieckiej pisarz proletariacki wyszedł ze Śląska, z polskiego ludu tej ziemi. I jest żywym obrazem trudnych losów tego ludu przed powrotem do Polski. A twórczość jego ma przy tym dla nas szczególną wartość przez zawarte w niej liczne motywy polskie. Pozycja książki „Moja młodość” jest tu szczególnie: zawiera ona tyle elementów istotnych dla dziejów Śląska na przełomie wieków, że sięgnąć może po nie bez wahania historyk tych czasów, któremu pozostaje tylko rozwinąć te elementy, uogólnić i udokumentować.

Zdzisław Hierowski



Mieczysław Zdanowicz

Szkielet, szamot ogniotrwały (1955 r.)



Ten pokój
w którym nie ma ciebie
w którym ściany
stoja przede mną
jakby czekały na jakiś sygnał
przedmioty
o naprężonych słojach
czekam
może przez słuchawkę telefonu
podasz mi
cienką nitkę
twojego głosu.

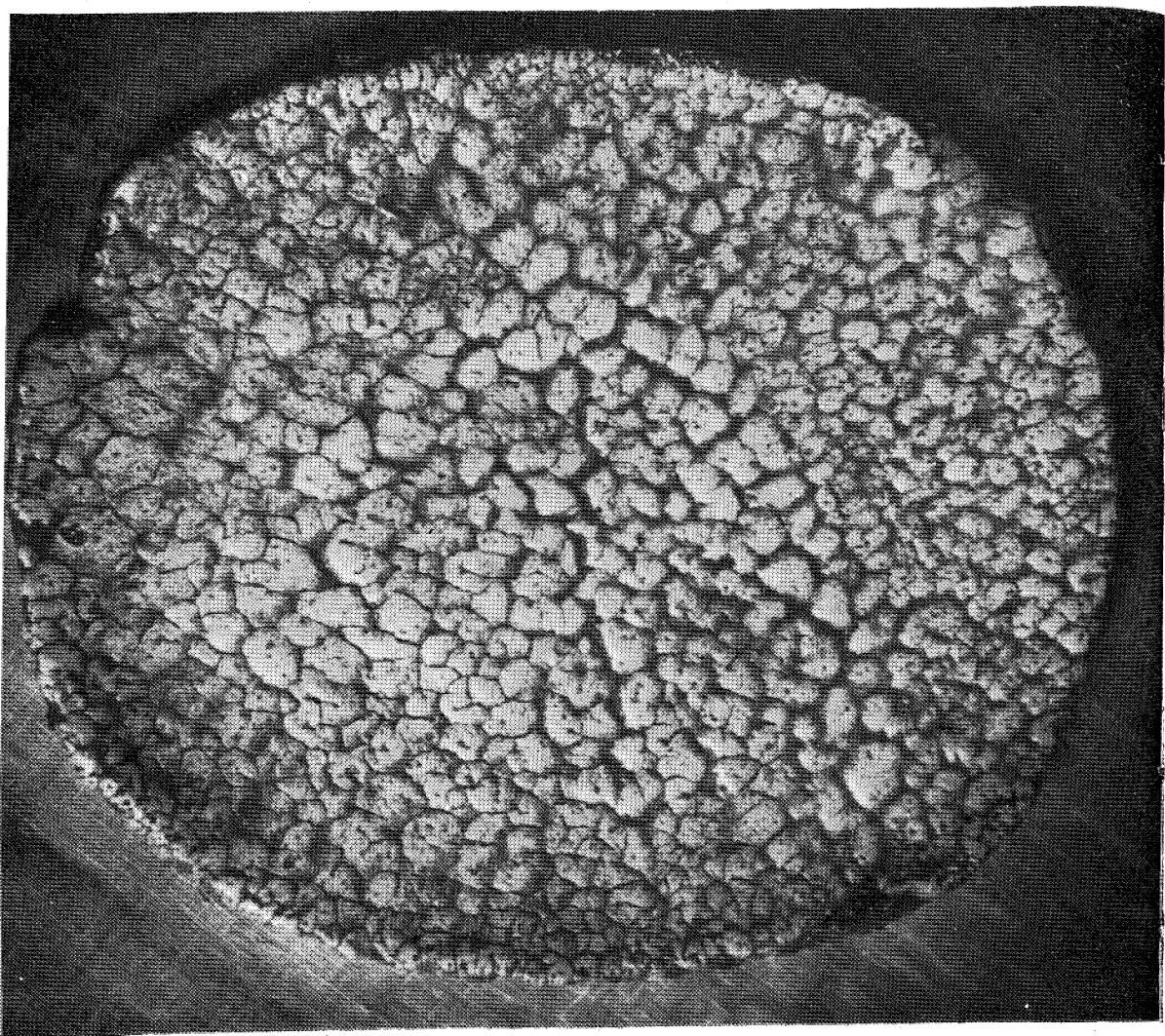
Noce

Mówisz
noce są jak aksamitny grzbiet kotki
jak dotyk twoich włosów
opadających na moje wargi
noce
jak skrzydło jaskółki
nie widzisz
pędzących ku nam ulic
których perspektywa
roztrzaska się
o nasze kruche ciała
nie widzisz jak iskrzą klingi szyn
ostrzone
wirującym kamieniem księżycy.



Z wędrówek moich
coraz to wzięjszą przynoszę
wiarę
w szansę ocalenia
mego uśmiechu
idący ludzie wykrzywiają twarze
podnoszą ręce
i nie wiem
czy skoczą
nawzajem sobie do gardeł
czy tylko
sięgną w ukłonie
do swych
kapeluszy.

Bogdan Loeb



Mieczysław Zdanowicz

Patera dekoracyjna ze szklivem wulkanicznym



**KALMAN
SEGAL**

O S K A R

— Skaranie boskie — zalił się kierownik. — Ten mały Jakubek to ziółko. Ugryzł moją żonę w rękę. Ale ja go nauczę. Zamknąłem go w klasie, będzie siedział do wieczora bez obiadu. Ja ich wszystkich nauczę.

Wziąłem od dozorczy klucz i zaniósłem chłopcu trochę jedzenia.

— Jedz — powiedziałem — a jak się najesz, to mi powiesz, dlaczego jesteś taki niedobry.

— Nie jestem niedobry — burknął. — To oni są źli. Nic nie rozumieją, ale ja ich znam. Ja im nie wierzę.

— Trochę powinienes im jednak wierzyć. Każdy człowiek trochę wierzy.

Rozpakował chleb: dwie kromki, i kawałek mięsa.

— To oni przysłali? — zapytał podejrzliwie. — Bo jeżeli oni, to może im pan to odnieść. Nie chcę od nich. Niech się sami udławiają.

— To ja ci przyniosłem i powinienes zjeść.

— Jak pan, to zjem.

— Zamknę cię z powrotem. Kierownik wypuści cię wieczorem.

Skinął głową i uśmiechnął się.

Wróciłem do głównego budynku. Do karetki Czerwonego Krzyża ładowano małego Eryka. Chłopiec pochodził aż z Hanoweru i był synem mieszanego małżeństwa. Na wszystkich ścianach rysował swastyki i śpiewał Horst-Wessel-Lied. Za to dzieci rozbili mu twarz.

W jadalni jeszcze trwał obiad. Była to piekielna biesiada przy wtórze czyneli i kotłów. Płacz, krzyki i śmiech mieszały się z brzękiem tłuczonego szkła i porcelany. Dzieci wyrywały sobie z rąk pieczywo i owoce, nad stołami fruwały talerze i widelce. Wychowawczynie biegały bezradnie, zachrypnięte, już nie usiłowały nikogo przekrzyczeć. Przycichły, były zdolne wydobyć z siebie tylko ledwo dosłyszalny szept. Kierownik stał w drzwiach, z prze-

krzywionym krawatem i załamanymi rękoma. Błędym wzrokiem obserwował salę. Jego żona, z ręką na temblaku, miała przerażoną minę.

— Adolfie — mówiła — Adolfie, błagam, nie denerwuj się.

Była wysoka i wspaniale zbudowana, o wydatnym biuście, miała różowe okragłe policzki i ładne kędzierzawe włosy, które opadały jej na kark. Mały pukielek zwisał jej nad czołem, od czasu do czasu usuwała go jednym dmuchnięciem. Była o wiele młodsza od swojego męża i niebrzydka.

— Niech mnie szlag trafi — powtarzał kierownik. — Niech mnie szlag trafi, jeśli coś takiego widziałem.

Przecisnąłem się między dwoma rzędami stołów i podszedłem do herszta z końską grzywą. Drgnął i machinalnie osłonił się łokciem.

— Nie bój się — powiedziałem. — Przyjdź do mnie po obiedzie. Mam do ciebie interes. Zaczekam w ogrodzie.

Wyszedłem z sali przez pokój jadalny dla maluchów. Chłopczyk z serwetką szczelnie owiniętą wokół szyi, wyciągnął do mnie łyżkę z budyniem.

— Skosztuj, tato — powiedział. — To dla ciebie.

— To nie twój tato — pisała mała dziewczynka przy tym samym stoliku. — To mój tato.

Chłopczyk dzielił ją łyżką po głowie.

— Inne dzieci mają tatę — rozpłakało się maleństwo. — A my nie mamy taty. Dlaczego my nie mamy taty?

Wyszedłem do ogrodu. Świat był zalany słońcem. Usiadłem na ławeczce, była gorąca od upału. Herszt z końską grzywą siedł na przełaj przez trawnik.

— Nie chodź po trawie! — krzyknąłem.

Lekceważąco machnął ręką, ale zszedł na ścieżkę.

— Siadaj. Tu, koło mnie. Pogadamy.

— Można pogadać — zgodził się. — Czemu nie.

— Nazywasz się Oskar, tak? I jesteś tu z bratem.

— Z bratem i siostrą. Siostra Elza, a brat Jakub. Ten, co ugryzł nauczycielkę.

— Gdzie byliście podczas wojny? — zapytałem.

— Różnie. Najpierw z ojcem. W lesie. Potem ojca zabili i my zostali sami. Poszliśmy dalej w las. Wykopałem norę i zrobiłem z gałęzi budę. Ciepło było. Woda była. Tylko jeść nie było. W lecie było, ale w zimie... To czasem chodziłem do wsi, ale było za daleko i można było zabić. Najgorzej było w zimie. Dopiero na drugi rok spotkała nas partyzantka, no, ale do tego czasu...

— No, tak.

— Pan chciał coś powiedzieć.

— Tak. Chciałem cię o coś prosić. Nie wiem, czy mogę na ciebie liczyć.

— Można. Czemu nie? Jak co trzeba, to ja zrobię.

— Trzeba. Widziałeś, co się dzieje w tym domu. Przy obiedzie, widziałeś? Pozabijacie się. Jednego już wywieźli do szpitala. Zachowujecie się jak zbóje. Wychowawczynie już ochrypli. A jak się nawet nie pozabijacie, to przyjedzie kto i rozpędzą nas na cztery wiatry.

— A niech tam, nie zginiemy. Mogę iść robić.

— Ty możesz, ale maluchy nie mogą. Ty też nie możesz, bo nic nie umiesz. Musicie się czegoś nauczyć. Trzeba żyć tak, jak ludzie żyją.

— Co mi ludzie. Ludzie zabili ojca, i matkę, i nas chcieli zabić.

— Mojego ojca też zabili.

— No, widzi pan.

— Nic nie widzę. Mówiłem wam już o tym. Będziecie się uczyć, żeby jakoś

żyć. Jak wyrosiecie i będziecie coś umieć, to będziecie coś mogli zmienić na świecie. Mówiłem już o tym.

— Pan mówił. My do pana nic nie mamy. Ale ten z bródką. Ta mordą. Niech on nie bije.

— Dajecie mu powody — powiedziałem. — Mam jeden pomysł. Jak chcesz, to możemy spróbować.

— To on pana posłał? — zapytał podejrzliwie. — Ten świński ryj?

— Nie, to mój własny pomysł. Mówię o tym z tobą, bo ty jesteś najstarszy. Dobierzesz sobie kilku chłopców. Każdy będzie siedział przy innym stole w jadalni. Będziecie uważać, żeby był porządek, żeby było cicho i bez bójek. Ty będziesz odpowiadał za wszystkich, ty i ci chłopcy, których sobie dobierzesz. Będziecie sami przy posiłkach. Bez nauczycieli i bez wychowawczyń. Nikt nie będzie na was wrzeszczał i nikt nie będzie się mieszał.

Zastanawiał się dość długo. Nie patrzył na mnie. Noskiem buta z upodobaniem wiercił dziurę w żwirze ścieżki.

— Nie umiecie sobie poradzić, to przychodzicie do mnie... — umiał być złośliwy.

— Niepotrzebnie cię wołałem — powiedziałem, zabierając się do odejścia. — Niczego nie zrozumiałeś.

— Zrozumiałem — odrzekł poważnie. — Nie jestem taki głupi. Niech pan nie odchodzi. Spróbuję to zrobić.

— Obgadaj to z chłopakami i zaczniacie od jutra. Pamiętaj, że będziecie sami.

— No, pan może przyjść, to nie zaszkodzi. Ja mogę nie wiedzieć, jak.

— To przyjdę.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zawahał się.

— Te cholerne widelce — wymamrotał wreszcie. — Te widelce i noże. Nie miałem z tym nigdy do czynienia.

— Jeśli tylko o to chodzi — ucieszyłem się. — Nauczę was.

— Jutro.

— Dobrze.

Cdszedł tym swoim niedbałym krokiem z rękami w kieszeniach, lekko przygarbiony, jak stary człowiek.

— Oskar — zawołałem za nim — Oskar! Wróć się.

Zawrócił, może trochę zdziwiony brzmieniem mego głosu.

— Oskar — powiedziałem, zanurzając dłoń w jego czuprynie — Mój dobry chłopcze. Synku.

Spojrzał na mnie tak, jakby mu było trudno zrozumieć. Zdawało mi się, że nie dostrzega mnie i że patrzy przeze mnie tak jak przez szkło. Stał tak chwilę, zaciskając zęby.

— Dlaczego pan to powiedział? — wykrztusił z gniewem i zaciętością. — Dlaczego pan to powiedział? Dlaczego?

Przyciągnąłem go do siebie, był prawie tego wzrostu, co ja. Przytuliłem jego głowę do ramienia i palcami rozczesywałem jego włosy. Wyrwał się i uciekł w stronę budynku.

— Nie chcę, żeby tak mówili do mnie! — krzyczał. — Nie chcę!

Dzieci wybiegły do parku. Pielęgniarki pomaszerowały z maluchami w kierunku leżaków. Kierownik i jego żona szli do domu, w którym mieszkali pracownicy. On szedł przodem, drobny cherlak, z papierami pod pachą, z bródką lekko zadartą do góry, dumny despota o chorym sercu. Ona — tęga i wysoka, o biuście lekko podanym do przodu, o rozkołysanych biodrach, i łydkach, którym można zaufać, że nigdy nie zawiodą i że zawsze z godnością będą nosić to wspaniałe kobiece ciało.

Poszedłem nad jezioro. Na burej tafli lśniła oślepiająco złocista smuga słońca. Przy brzegu kołysała się motorowa łódź, przywiązana do palika. Po drabinie wszedłem na dach piętrowej kabiny kąpielowej. Dach był płaski, otoczony barierką i pokryty sosnowymi deskami, które były teraz nagrzane od słońca i pachniały topniejącą żywicą. Zdjąłem koszulę i poczułem ciepłe, pieścizotliwe muskanie wiatru.

— Dobrze jest — myślałem — Dobrze. Nigdy nie było tak dobrze jak teraz. Wszystko ze mnie odpadło, wszystkie chimery.

Tonąłem w błogości. Taka chwila, myślałem, taka dziwna szczęśliwa chwila, której poszukujemy daremnie. Poszukujemy długo i bezskutecznie. Ale ona nachodzi nas sama. Pewnego dnia, gdy świeci słońce i gdy jest tak, jak jest właśnie dzisiaj, właśnie tu. Ten dobry wiatr — tak jakbym go brał w objęcia. Żeby to tylko trwało długo, nic więcej nie chcę. Nic więcej. Woda pluskała o brzeg i o ścianę kabiny. Zaabiną była ścieżka w las. Szumiało w nim i ptactwo ćwierkało. Nad dziuplą sosny terkotał dzięcioł. Usiadłem na ławeczce i przymknąłem oczy.

Skrzypnęła deska i na drabinie ukazała się głowa, a potem cała postać. Obserwowałem spod przymrużonych powiek. Dryblas myślał, że śpię, więc ostrożnie, na palcach podszedł do barierki i ciekawie patrzył w jezioro. Coś tam dostrzegał, bo wyciągał szyję to w jedną stronę, to w drugą. Śledził.

— Czego chcesz? — zapytałem.

Drgnął, podskoczył i cofnął się do kabiny.

— Oskar mnie posłał — powiedział niepewnie — żeby zapytać, czy możemy tu być, on i ja. Będziemy pomagać.

— Pomagać? — zapytałem zdziwiony — Co pomagać? W czym pomagać?

— Pan ma wędkę — przypomniał chłopiec — Znam się trochę na tym. Ja znad Prutu. A w Prucie, ho ho, takie ryby były.

— Były.

— Pewnie. A gdzie pan ma przynętę?

— Nie mam. Zapomniałem.

— Nie szkodzi, przyniosę. To Oskar też może przyjść, czy jak?

— Może przyjść.

Wnet wrócili obaj.

— Trzeba zobaczyć, jaka ryba. Pan zobaczy.

Piaszczyste dno jeziora przypominało plac spacerowy. Powolne szerokie leszcze snuły się leniwie tam i sam, promienie słońca docierały nawet do nich i obok każdej ryby kołysał się jej cień. Spod żółtej łodzi, między burtą a ścianą kabiny wyzierała zielonawa paszcza szczupaka — tym razem nie budziła żadnych skojarzeń i niczego przykrego nie przypominała. W najpłytszym miejscu baraszkowała rodzinna drobnych okoniów o ogromnych pyskach, a białe lekkomyślne płotki podchodziły do nich blisko, by potem w jednej chwili czmychnąć na wszystkie strony; oczywiście, była to już chwila spóźniona, ponieważ okonie i szczupak poruszały się jak strzała, by dopaść ofiary. Na miejscu pozostawał tylko drąpieżnik, chciwie dławiąc się ofiarą.

— Każda ryba musi mieć swoje — pouczał chłopiec — Leszcz idzie na glistę, musi być żywa i mieć dużo końców. Niech pan patrzy.

Nadział przynętę, naregulował pławik i zarzucił. Zaraz podpłynął duży brzuchaty leszcz, zaczął krążyć, przybliżał się i oddalał, wreszcie połknął.

— Nie ruszać — szepnął dryblas — Zaraz plunie.

Rzeczywiście, leszcz wypuł robaka, okrążył go jeszcze ze trzy razy i — połknął.

— Popuścić mu.

Popuściliśmy. Odpłynął kilka metrów i zaczął się miotać. Chłopiec powoli kręcił korbką kołowrotka.

— Taka ryba — ucieszył się Oskar.

— Zanieś to swojej wychowawczyni — powiedziałem do dryblas. — Powiedz, że to od ciebie i od Oskara.

Chłopiec poszedł.

— Jeszcze jedną — mruknął Oskar, umocował na haczyku kawałek sera i podsunął w górę pławik. Ser upadł na dno.

— Teraz będzie lin.

Znów napłynęło kilka leszczy, ale żaden z nich nie zatrzymał się koło przynęty. Wreszcie pojawił się lin, długi i piękny, przez pryzmat wody wydawał się o wiele większy, niż był w rzeczywistości. Połknął i chwilę trwał nieruchomo, jakby rozkoszując się tłustym przysmakiem.

— Można ciągnąć — powiedział Oskar.

W zachodzącym słońcu ryba lśniła i mieniła się tęczą barw.

Zrobiło się chłodno. Białe powiewne opary zaczęły unosić się nad wodą. Las po drugiej stronie jeziora gęstniał i ciemniał. Nad dachem kabiny pojawiły się roje komarów. Wróciliśmy do domu.

Nazajutrz poszedłem do głównego budynku trochę wcześniej niż zwykle. W sypialni średniaków Nicolo pobił jednego chłopca, który go obraził. Potem ktoś stanął w obronie tego chłopca, a ktoś w obronie Nicolo, w końcu wszyscy bili się z wszystkimi i już nie wiadomo było, o co chodzi. Nicolo pochodził z Grecji, był wątki i chorowity, zamknięty w sobie i roztargniony, czasami impulsywny, z pewnymi zadatkami schizofrenii. Zauważyłem to w szkole już w pierwszych dniach, i nawet chciałem o nim pomówić z lekarzem, który odwiedzał nas dwa razy w tygodniu.

— Niech pan zerknie na jego łóżko — powiedziała wychowawczyni — Nie teraz. Kiedy on wyjdzie do łazienki. To mu się zdarza w każdą noc i dlatego dzieci mu dokuczają.

— Może przeziębził pęcherz? — zapytałem.

— To ma jakieś nerwowe podłoże — odpowiedziała. — On nie czuje. Jakaś usterka w systemie nerwowym, która powoduje brak sygnalizacji. Ale ja go z tego wyleczę. Żeby mu tylko przestali dokuczać.

Maluchy miały od kilku dni nie czyszczone buciki, ponieważ wychowawczynie i sprzątaczkę miały pełne ręce innej roboty.

— Chłopcy — powiedziałem do grupy kawalerów sprawdzających w lustrze ostatnie usterki w ubiorze — Dobrze by było, gdybyście coś zrobili dla tych małych. Zobaczcie, jakie mają brudne buty.

Wzruszyli ramionami, a Jakubek powiedział za nich:

— My tu nie po to, żeby buty czyścić. Niech kierownik czyści.

Zebrałem może dwadzieścia par buciczków i zacząłem je smarować pastą. Chłopcy odeszli w głąb korytarza, naradzali się. Potem podeszli do mnie, ociągając się i pokonując jakieś wewnętrzne opory. Pierwszy podszedł dryblas, który łowił ryby w Prucie. Ostatni był Jakubek.

— Pan da — powiedział rybak, sięgając po szczotkę — Nieładnie, żeby pan to robił. My zrobimy.

— To trzeba robić codziennie — powiedziałem, nie przestając czyścić — A wam się to prędko znudzi.

— Będziemy robić codziennie — zapewniał Oskar — Niech pan idzie na śniadanie.

To cholerne śniadanie, przypomniałem sobie. Jak to też będzie dzisiaj wyglądać...

Kucharka uderzyła w gong i jadalnia zaczęła wypełniać się diablątkami. W środku sali stał Oskar — był znów hersztem, z tą swoją zbójczą grzywą na czole. Pomyślałem, że trzeba będzie skłonić go do pójścia do fryzjera. Między rzędami stołów znowu biegały nieprzytomne wychowawczynie, kucharka klęła, a kierownik stał koło drzwi i uderzał kijkiem o blat stołu. Podszedłem do niego i prosiłem, żeby się wycofał. Powiedziałem, żeby mi dał wolną rękę na ten jeden dzień i żeby ten jeden raz zaufał dzieciom. Mruknął coś pod nosem i przeszedł do jadalni dla personelu.

Oskar rozsuwał stoły, przemieszczał swoich pomocników. Potem gwizdnął przeciągle dwoma palcami, że można było ogłuchnąć. Był w swoim żywiole.

— Dosyć tego dobrego — powiedział surowo — Ma być spokój. Kto będzie gdał, ten dostanie w kark. Ja wam to mówię. A komu się nie spodoba, tego wyrzucę z komnaty (właśnie tak powiedział: z komnaty...). Nie zabierać jedzenia do kieszeni i nie rzucać. Pamiętajcie, kto wam to mówi!

Podano zupeł, bułeczki z masłem i kawę. Było cicho, tylko łyżki podzwaniały o brzegi i dna talerzy. Wyszedłem i zamknąłem za sobą drzwi. Kierownik palił cygaro i uśmiechał się. Może był zadowolony, a może był to tylko uśmiech złośliwości.

— Widziałem, co pan zrobił — wycodził wolno — To jest bardzo proste, ale to się jeszcze okaże.

Jakieś dziecko zapłakało, potem drugie. Kierownik podskoczył i gwałtownie otworzył drzwi.

— Oskar bije! — zakrzyczały dzieci.

— A, widzi pan? — zatriumfował kierownik. — Nie mówiłem? Ten opryszek ich terroryzuje. Są cicho, bo się go boją. To nie jest świadoma dyscyplina i to nie jest metoda.

Poczułem niespokojne pulsowanie krwi w skroniach.

— No, tak — przyznałem — No, tak. Ale kto to mówi? Kto to mówi? Właśnie pan? Właśnie pan to mówi, do diabła?

Wyrosła koło nas żona kierownika. Nacierając na mnie piersiami i odwracając głowę w stronę męża, powiedziała tak samo jak wczoraj.

— Adolfie, nie denerwuj się. Nie masz kim się denerwować. Naprawdę nie masz kim, pomyśl.

Ta piękna żmija. Nie mogłem zrozumieć, co ją łączy z tym starym dziadem. I nie mogłem zrozumieć nienawiści, jaka od niej promieniała.

Gdy tak stała przede mną z tym swoim grymasem zupełnie niezrozumiałej pogardy, miałem ochotę uderzyć ją w twarz, a potem przyciągnąć do siebie i pocałować w usta. Miała piękne usta i cała była piękna.

Kalman Segal

Miasto z obrazu

farbą połuszczoną opada niebo

jeżeli obrócić obraz
opada połuszczoną farbą morze
na ziemię
niebo i morze na ziemię

a domy rosną w dół lub w górę

**WIESŁAW
KOSZELA**

jeżeli rosną w górę
ludzie wspinają się na palce
jeżeli rosną w dół
ludzie kurczą ramiona
kurczą się aż we własne stopy
kurczą aż do ziemi
aby nie chodzić po złuszczonej morzu
które może być niebem



Nikifor

za tym niebem niebeńkiem
słońce słoneczko słońce
niebo niebeńko odbija się w twarzach
niebo niebeńko odbija się w trotuarze

a w tych domach domeczkach okna odemknięte
a w tych oknach odemkniętych stara piosenka
a w tej piosnce piosieczce niebo niebeńko
i ludzie mali maleńcy

a ci ludzie ludzikowie mali maleńcy
nogi idąc podginają głowy przechylają
i laskami kijaszka mi stuku puku stukają
po niebie w bruku odbitym niebie niebeńku

Wiesław Koszela

Preludium

niebo
 podkreśliło usta świtu
 świat
 rozjaśniał o uśmiech
 może
 i ludzie
 zakwitną
 utlenieni od kwiatów

Dzban

na

światło

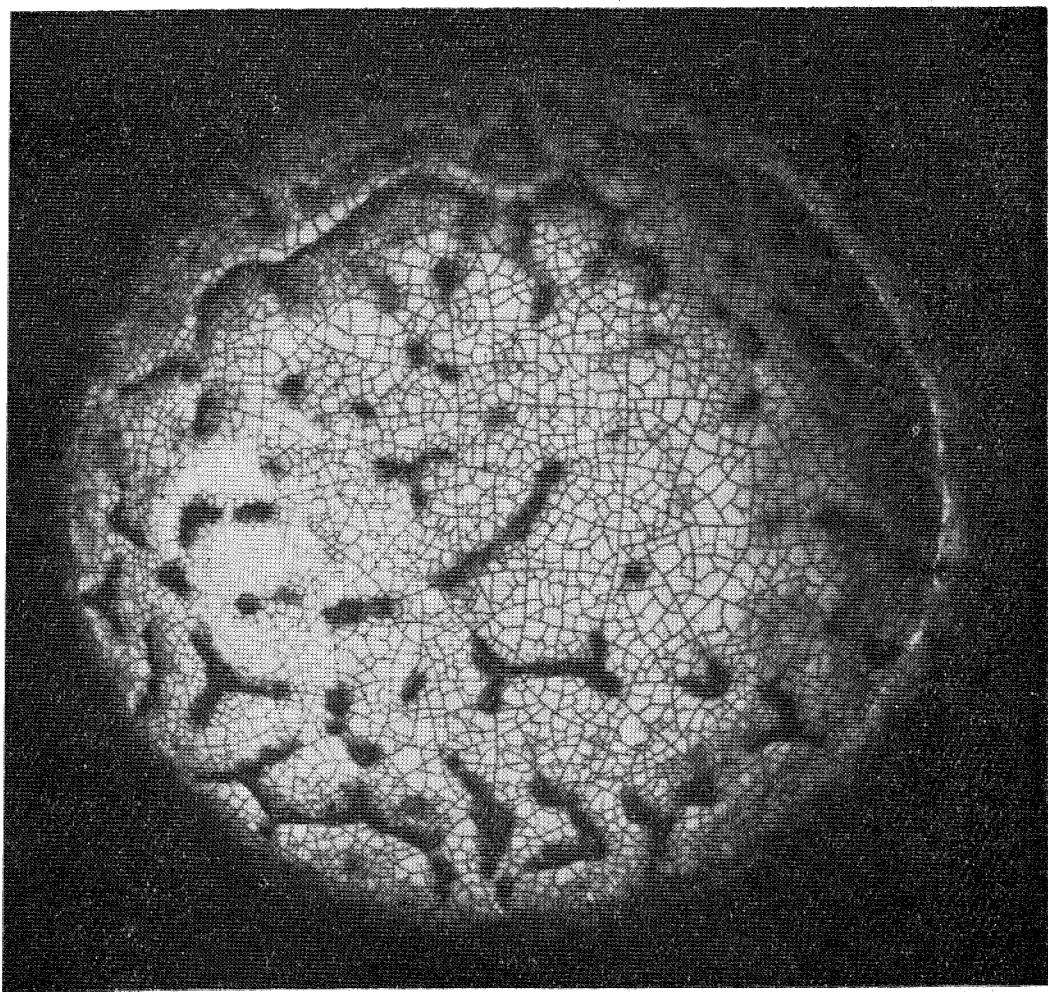
złapałem
 sieciami światel
 nagość ciała
 w dzban
 nalany po usta
 rozkręciłem
 gwiazdami dni
 i pogłębiłem
 — pusty



Las
 organów próbuje
 by zbłąkane pisklęta liści
 ziemi
 do skrzydeł przywołać
 nim rzeki
 spłyną w niebo
 drogą deszczu
 i słoty zaczną mleć
 pagórków zębate koła

Franciszek Berdowski





Mieczysław Zdanowicz — Patera dekoracyjna ze szklivem strukturalnym (1960 r.)

Na str. 61 Rzeźba plenerowa, metal (1957 r.)

„Wolność po pierwsze nie jest swawolą, a po wtóre da się osiągnąć tylko z wysiłkiem, i to nie wysiłkiem skierowanym na znalezienie „wyjścia z sytuacji”, lecz wprost przeciwnie — skierowanym na znalezienie wejścia w sytuację”.

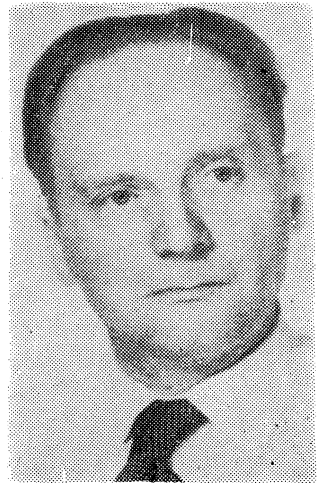
Jan Ulatowski, „Lekcja logiki”, „Prom”, nr 1, 1932

Trema — pojęcie nieprzetłumaczalne. Niech puryści nawet nie próbują, dotrą w najlepszym razie do jakiegoś występolęku. Stan, którego przykrość wyrównuje się wzmożonym poczuciem ważności, w którym jakoby członko tkackie przeplatało pewność kompromitacji nadzieją sukcesu i tworzyło pokratkowaną materię psychiczną, coraz bardziej gęstą, osłaniającą od wrażeń zewnętrznych.

Nic nie pomoże doskonale przygotowanie śpiewaka, pianisty, polityka czy naukowca. Głęboka znajomość (czy umiejętność) tego, co ma być przedmiotem opisu, odkrywa zawsze dziedziny nietknięte lub możliwości niewyzyskane. Tylko dyletanci nie miewają tremy, gdyż w ich przekonaniu lepiej i więcej już nie można, a wygórowana ambicja tłumi rozsądek, który by mógł wykazać szeliny, braki lub sposoby innej interpretacji.

Trema rodzi się niepostrzeżenie, lecz rośnie odwrotnie proporcjonalnie do kwadratu odległości od ostatecznego terminu. Przede wszystkim jednak stwarza inną konsystencję czasu, jakby pole elektromagnetyczne, rozciągające się do przybliżającego się i rosnącego punktu w przyszłości, pole z którego nie ma wyjścia, które determinuje bez reszty wszystkie myśli i czynności, wobec

Profesor wrocławskiej Akademii Medycznej, kierownik katedry okulistyki i kliniki ocznej, Witold Kapuściński ma na swym koncie autorskim około stu publikacji naukowych (w tym trzydzieści za granicą, m. in. rozdział we francuskim podręczniku okulistyki). Ale zainteresowania jego nie ograniczają się do kręgu nauki. Pisując również pod pseudonimem literackim *Zygmunt Psarski*, był przed wojną założycielem i współredaktorem czasopisma poetyckiego „Prom”; drukując w nim swe nowele, wiersze, prace krytyczne i eseistyczne oraz przekłady z literatury niemieckiej i francuskiej. Wydał dwa tomiki wierszy: „Hinduski sen” (w roku 1928) i „Mosty” (1932). Po wyzwoleniu przez dwa lata współpracował z poznańskim „Życiem Literackim”. Napisał książkę pamiątkarską z pierwszych lat wojny. Obecnie przygotowuje do druku większą całość eseistyczną pt. „Refleksje z podróży do Argentyny”. Część tej pracy ukazała się w „Twór-



czości”, kilka odcinków w „Przeglądzie Kulturalnym”. Obok drukujemy fragment „Refleksji”, którego szczególną cechą jest m. in. to, że choć „akcja” rozgrywa się w Argentynie, ściśle wiąże się z naukową pracą autora we Wrocławiu.

(t.l.)

którego wszystko, co jest na zewnątrz, wydaje się niedostępnym oceanem wolności.

Od wyjścia z hotelu, po wypiciu czarnej kawy, poruszałem się w tym polu jak w transie somnambulicznym. Jeszcze godzina do wykładu. Za bramą — jasna, szeroka, ruchliwa ulica, prowadząca do nadmorskiego bulwaru. Niebo, wiatr, Atlantyka, Argentyna — czy raczej trasa mej tremy wiodąca mnie w gęstniejącym wymiarze czasu do miejsca przeznaczenia.

— Pan profesor sobie spaceruje — usłyszałem głos inżyniera Jankowskiego, przemawiający jak zza szyby z przestrzeni wolności.

— Spieszę się na wykład — stłumiłem zniecierpliwienie. — Postaram się przed wyjazdem wstąpić do państwa.

Pożegnał się. Doszedłem do bulwaru. Morze lśniło i falowało przy zachodzącym słońcu jak w najpiękniejszych wierszach Pawlikowskiej. Nie brakło nawet żaglowca opartego na wietrze, lecz jak za taflą w innym świecie. Nawet Malbran, który schwycił mnie pod rękę, był jak duch nie mogący się zmateriałizować w moim polu grawitacyjnym.

— Niech go diabli wezmą — pomyślałem resztką przytomności i warunkowymi odruchami dobrego tonu odpowiadając na pytania, a nawet prowadząc naukową dysputę o jakichś zezach czy siatkówkach.

Przed wejściem na salę jak przez mgłę ujrzałem, że zbliża się dr Galieni.

— Na pański wykład, a wieczór proszę zarezerwować dla mnie.

Kto ma rezerwować? Ja? Nie ma żadnego „ja”. Jest tylko cząstka świadomości, miotana niepokojem, rozrośnięta, wgrzyziona wszystkimi zębami w temat, który raz wydaje się czymś najważniejszym, odkrywczym, jedynym, a raz — jałowym ugorem straconego na próżno wysiłku. Jeszcze papieros. Och, to zaciągnięcie się jak przed egzekucją. Jak gdyby miało coś pomóc, coś zmienić, a jednak uspokaja — nie działaniem nikotyny, lecz zespołem akcesoriów wywołujących złudne wrażenie narkotyku.

Już trzeba wejść do sali. Prezydium zbiera się za zielonym stołem. Gadają. Czyjś głos w mikrofonie nadaje komunikat o jutrzejszej wycieczce. Gwar cichnie. Grawitacyjne pole tremy skomprimowane do maksimum. Punkt górejacy osiągnięty. Kwadrat odległości przestał istnieć. Słyszę swoje nazwisko, wchodzę na podium. Szklanka wody. Mikrofon. Cisza. Już jestem absolutnym władcą tych chwil, które mają nastąpić. Czas tych wszystkich ludzi na sali jest moją własnością. Z zupełnym spokojem, z przekonaniem o głębokiej słuszności mojej sprawy zaczynam go wypełniać treścią realizowanych wyobrażeń. Trema minęła bez śladu. Rozpocząłem wykład.

Miara czasu jest w takich wypadkach zupełnie iluzoryczna. Czas nie jest bowiem jednolity. W pustym pokoju, zawieszony w pyłkach kurzu drgających w wąskim promieniu słońca, rozpełza się po ścianach długimi nieściśliwymi minutami. Pozostawiony samemu sobie jest bezdziewiczowy, odczłowieczony, odfiltrowany ze wzruszeń, matematyczno-funkcyjny w czterowymiarowej krzywiźnie kosmosu. Nie zobowiązuje. Ale jest czas inny, ten, który każe zapomnieć o wszystkich akcesoriach, a skupia się na jednym zadaniu, ważniejszym wtedy od samego życia.

Chirurg przygotowuje się do operacji. Jeszcze jest wolny. Może odejść, zapalić papierosa, zmienić decyzję. Jeszcze ma dla niego znaczenie czas mierzony zegarem lub piaskową klepsydrą. Po chwili niewola zacieśnia się. Chirurg nie może już wziąć do ręki niczego, co nie jest wysterylizowane. Lecz jeszcze może myśleć o tysiącu innych spraw — o fiordach Norwegii, pocałunku z lat młodości, wczorajszej głośniejszej scenie w kawiarni. Może jeszcze wydawać

dyspozycje, rozmawiać z asystentami, słuchać dowcipów. Krąg możliwości zacieśnia się. Chory już leży na stole. Asysta czeka. Już nie można rozmawiać ani chodzić po sali operacyjnej. Trzeba stać nad chorym, lecz jeszcze przed pierwszym cięciem można swobodnie myśleć, wybierać na przykład metodę zabiegu. Wreszcie cała świadomość i cała wola skupiają się wyłącznie na kilku centymetrach kwadratowych objętych białym płótnem. W tej przestrzeni mieści się np. niewidzące oko, któremu kilka drobniutkich poruszeń precyzyjnymi maleńkimi narzędziami może przywrócić wzrok.

Czas, którego zegarkowy podział w takiej chwili nie odpowiada intensywności przeżywania, wypełnia się wartością niewymierzalną sekundami. Chociaż niewola jest w tej chwili absolutna, gdyż nic, nawet bombardowanie, nie ma prawa wytrącić narzędzia z ręki — jest to jednak niewola z wolnego wyboru. Ten wybór właśnie nadaje pozaprzrodniczy sens naszym poczynaniom.

Nie analizuję się tych stanów. Wybór, choć dokonany świadomie, prowadzi nas dalej już automatycznie, a kierujący zmysłami instynkt tłumi percepcję wrażeń, znieczula lub wyłącza ich receptory, synapsy i analizatory tak, że w takiej chwili świat zewnętrzny, świat wolności, świat kształtów, barw, zapachów, dźwięków i pokus zapada się w nicość, jakby dla udowodnienia Berkeleyowskiej tezy, że istnieć — znaczy być postrzegany.

Ten sam los spotyka wewnętrzny świat wyobrażeń i uczuć, które pokrywają się dymną zasłoną chwilowego zubożenia. Teraz dopiero, gdy nie chodzi już o znalezienie wyjścia z sytuacji, znajdujemy strefę naszej prawdziwej wolności, która ukazuje nam drogi wejścia w sytuację, zapanowania nad nią i kształtowania jej wiedzą i doświadczeniem.

W bramach takiej oto wolności stoję przed międzynarodowym audytorium obcym i życzliwym, wrogim i obojętnym, i przedstawiam w syntetycznym ujęciu wyniki dziesięciu lat pracy mej wrocławskiej kliniki nad danym, bardzo szczegółowym zagadnieniem. Spełniam główne zadanie mego przyjazdu do Argentyny. Mam w sobie już zupełny spokój determinacji. Nie mogę zmienić żadnych faktów, nie mogę nagiąć do mych koncepcji wzorów, wykresów i statystyk; one są niezmienną bronią w walce o jakieś zwycięstwo. Fakty, tylko fakty i sposób ich interpretacji, mają utwierdzić tych, którzy są przekonani o mej racji, a zaprzeczających jej — przekonać.

Wycinek rzeczywistości biologicznej, na który zarzuciliśmy sieć naszych badań, jest tak maleńki, nawet w dziedzinie jednej specjalności, że laikom może wydawać się śmieszna i niewspółmierna ilość energii psychicznej i fizycznej, zużytej na pogłębienie wiedzy o nim, lecz właśnie stopniowym opanowywaniem takich wycinków współczesna nauka posuwa się naprzód. Może wydawać się nieprawdopodobne, że interpretacja krzywej obrazu komórkowego lub pasma elektroforezy może być harmonijnie estetyczna lub zabrzmić fałszywym tonem niesprawdzalnych hipotez. Może być przedmiotem namiętności, miłości, ambicji, nawet nienawiści, a w konsekwencji może zaważyć na stylu życia, na przyjaźniach, sojuszach i walkach naukowych, i ponadnarodowej solidarności.

Wykład syntetyzujący badania naukowe składa się z wielowarstwowych połączonych zawierających kwintesencję różnych rodzajów ludzkiej pracy.

Poczęta w odkrywczym błysku wyobraźni idea przewodnia przebiega jak oś krystalizacji, wokół której w mozolnym trudzie skupiają się elementy konstrukcyjne, ażeby wytworzyć, czasem po latach, nowy fragment naukowej rzeczywistości.

Praca włożona w ukształtowanie idei, pomysłu naukowego, jest niewymiarowa. Może zrealizować się w kilku intensywnych sekundach samotności,

lecz nie jest jeszcze dziełem naukowym, to znaczy nową prawdą potwierdzoną współczesnymi metodami badania. Tak jak nie jest dziełem naukowym sam zbiór faktów, dokumentów, eksperymentów, choćby ktoś poświęcił na ich pomnożenie całe życie.

Trzeba znaleźć ten punkt przecięcia linii idei twórczej z linią niewdzięcznego trudu gromadzenia faktów, w którym rachunek prawdopodobieństwa wykaże zjawienie się wartości nowych, niezależnych od przypadku. Wszystko, co poniżej tego punktu — jest nieudowodnioną fantazją, teorią, hipotezą roboczą; a to, co powyżej — zbędnym balastem obciążającym czas i umysł pracownika nauki.

Wykład zawiera w sobie lata wysiłków, nie tylko moich, lecz również asystentów i laborantów; prób często nieudanych, godzin zniechęcenia i przegnębienia, niekiedy dni całych i nocy spędzonych w laboratoriach nad mikroskopem, nad pustką czystego papieru lub w bibliotece nad stosami wielojęzycznych pism, z których wybrać trzeba to, co istotne, co zostało powiedziane, a co ma służyć za podstawę, zachętę lub krytykę naszych poczyniń.

A przecież praca naukowa jest w naszych warunkach ciągle jeszcze tylko winkręstowana w codzienność naszych obowiązków, usług społecznych, rodzinnego życia, i choć bywa tej codzienności wartością najwyższą, to często — mówiąc językiem dialektyki — staje się jej przeciwieństwem antagonistycznym, wzajemnie się wykluczającym. Pogodzić te przeciwieństwa — oto sztuka życia.

Ale wykład jest też pracą niezmiernie intensywną i choć opartą na materiale znanym, czerpiącą treść z nabytej wiedzy, jednakże zawierającą zawsze elementy twórczej improwizacji w poszukiwaniu formy wyrazu jak najbardziej przekonywającej.

Mówić tak, jakby nie było w tej chwili rzeczy ważniejszej na świecie. Niech Malbran, Manzitti, Balza, Piccoli, Kramer, Curtis wiedzą, że przedstawiam im trud zdobyczy, że jeżeli nie zgadzają się z moimi wnioskami, to muszą zaatakować je z pozycji własnych doświadczeń o wartości równej naszym. Lecz również mówić tak, by w mych słowach nie było zatajone, że ukazałem tylko jedną z możliwych dróg, że inne teorie, metody, badania mają też rację bytu, że to, cośmy uzyskali, jest tylko stopniem do badań dalszych, które w inny sposób zaatakują materię chaosu, aby zorganizować ją w nowy ład podporządkowany naszym ludzkim celom.

Już zbliżam się do końca. Mówiąc, patrzę swobodnie na pełną salę i widzę wszystkich: Malbran podparł brodę na dłoni, od czasu do czasu spotykam jego aprobujące spojrzenie. Gdzieś w ostatnich rzędach siedzi Łotocki, nieruchomy, wyprostowany, chłonący oczywiście sytuację, a nie treść wykładu. Właściwie tylko ze względu na niego chciałbym podkreślić polskość, a nawet wrocławskość badań, które przedstawiam. Tuż przede mną, w pierwszym rzędzie — Niemiec, założył nogę na nogę i śledzi mój wykład wzrokiem, ruchem głowy, pochyleniem ciała. Trochę bardziej w głębi, przy drzwiach na prawo widzę siwą, pochyloną głowę dr Galieniego. —

— Śpi pewnie — pomyślałem. — Nic go to nie obchodzi, przyszedł z grzeczności.

— Mignęła mi nawet uśmiechnięta twarz Chińczyka, znakomitego Wu-Czuna.

Zgaszono wszystkie światła. Rzucam na ekran wykresy, parametry, funkcyjne symbole, będące nie tylko matematycznym wyrazem prawidłowości, wywołanych eksperymentalnie biologicznych procesów, lecz również jakimś zadośćuczynieniem, które ciemne, zwyciężające nas procesy życia składają

harmonizującym je kategoriom ludzkiego umysłu. Przechodzę do andante maëstoso, gdzie raz jeszcze w perspektywicznym skrócie objawia się centralna oś krystalizacyjna, ażeby wraz z włączeniem światła dojść w paru syntetycznych zdaniach do końcowego finale.

Lecz zanim jeszcze całym napięciem świadomości zacząłem stylizować zakończenie wykładu, poczułem, jak wraz z powrotem jasności wlewa się w pole grawitacyjne mego obowiązku radosny świat zwykłego ludzkiego czasu — wolność, w której wskazówka zegarka będzie oznaczała umówione spotkanie z dr Galenim, pójdzie do kasy gry, nocny spacer nad brzegiem oceanu, czyli tym razem wolność wyjścia z sytuacji.

Witold Kapuściński

Dom pod Gryfami

Fot. Stefan Arczyński





Z cyklu „Drzewa”

Fot. Stefan Arczyński

Była już kiedyś w literaturze — a pewno i w życiu — zazdrość i medycyna (Michał Choromański), były słówka i medycyna (mędrzec Zeleński-Boy) — a tu nagle rzecz bez precedensu, casus dolnośląski: fleksja i medycyna. A wychowano mnie — między innymi — w przeświadczeniu, że są to dwa żywioły, które się nawzajem wykluczają i nieomal pożerają! Że żadna filologia nawet na odległość nie strawi nic od eskulapa i odwrotnie. Wiadomo także, że zwyczajni i nadzwyczajni profesorowie wszelkich polonistyk mają, niekiedy, zwyczaj mówić do studentów pierwszego roku:

— Jeszcze jest, proszę państwa, czas! Jeszcze się można przenieść na medycynę, która skądinąd zasługuje na najwyższy szacunek.

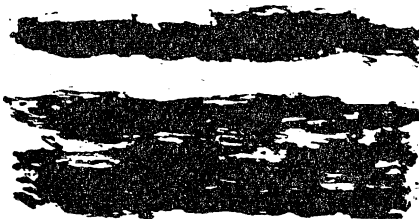
I z sardonicznym uśmiechem wracają do subtelności przyrostka i przedrostka, które — zgodnie z tym, co powiedziano na wstępie — od takiego na przykład wyrostka robaczkowego powinna dzielić przepaść. Być może, że powinna, ale jednak nie zawsze dzieli, co ambitnie ma udowodnić niniejszy felieton. Oczywiście na konkretnym przykładzie. Konkretny przykład nazywa się Władysław Martynowski i pędzi lekarski żywot w Łądku Zdroju. I nie tylko w Łądku. Lekarz-weterynarz — bo pan Martynowski to weterynarz — jest z natury rzeczy lekarzem wiejskim, dla którego dawno przestały być tajemnicą wszelkie ścieżki, dróżki, przysiółki i opłotki w łądeckim powiecie.

Lekarską wizytę pana doktora poprzedza z reguły imponujący tuman kurzu na którejś ze wzmiankowanych, niekonięcznie samochodowych drózek i warokot zżajanego samochodu, którego sprawność wysoko sobie muszą cenić wszelkie krasule i leghorny w powiecie. Automobilowy moment w biografii pana doktora jest bardzo ważny nie tylko ze względu na medycynę, ale także — na fleksję. A właściwie, ściślej, na całe jego językoznawcze zainteresowania, w których zresztą — mówiąc prawdę — chodzi nie o fleksję, lecz o onomastykę. O onomastykę w ogóle a onomastykę dolnośląską w szczególności, co w języku mniej seminaryjnym znaczy z grubsza, że pan doktor Martynowski interesuje się pochodzeniem nazw dolnośląskich miast, miasteczek, wsi, przysiółków, rzek, potoków, zagajników i w ogóle wszystkiego, co ma prawo się nazywać. Zresztą określenie „interesuje się” nie jest zupełnie ścisłe. Brzmi to za biernie, za statycznie, za niemrawo w odniesieniu do kogoś, kto potrafi przetrząsnąć cały powiat (tu ów biograficznie ważny moment samochodowy) w po-



F L E K S J A I M E D Y C Y N A

JADWIGA SKOTNICKA



goni za słowiańskim rdzeniem tego czy innego, starego jak świat, słowa (a nuż ktoś je gdzieś zapisał, bo tylko zapisa-
ne się liczy), które mogło dać początek
nazwie jakiegś małej Lipinki Polnej
czy Mokrych Łąk.

Oczywiście ani Lipince Dolnej, ani
Mokrym Łąkom nawet do głowy nie
przyjdzie — jeżeli w ogóle mają głowy,
co dotychczas jest nie zbadane — że ich
parantela może być przedmiotem zain-
teresowań „latającego doktora”, a co wię-
cej, że może sięgać w zamierzchnią prze-
szłość, na co doktor w każdej chwili go-
tów jest znaleźć jakiś językoznawczy do-
wód. Rzecz jasna, ktoś sceptyczny i nie
posiadający w rodzinie żadnego poloni-
sty, mógłby wyurotowo zauważyć, że
труд pana doktora, aczkolwiek niebanal-
ny, jest nieco spóźniony, ponieważ Aka-
demia Umiejętności była wcześniej. Ileż
to już lat? Czternaście chyba minęło od
czasu, kiedy specjalne i kompetentne
ciało zwane komisją z mnóstwem przy-
miotników, których już dziś najstarsi nie
pomną, sprawę nazw polskich na Dol-
nym Śląsku zbadało naukowo, ustaliło,
zamknęło i zatwierdziło do użytku, czy
raczej do nazywania. Rzeczywiście. Cóż
więc odpowiedzieć komuś sceptycznemu
i nie posiadającemu w rodzinie żadne-
go polonisty?

Myślę, że można by temu komuś przy-
pomnieć w odpowiedzi pewnego adwo-
kata, który kochał i hodował róże (patrz:
dramaty Szaniawskiego „Adwokat i ró-
że”), mimo że znacznie bardziej kompe-
tentny w tych różnych problemach był
ogrodnik w tym samym mieście, a je-
szcze bardziej od niego pewno chiński
ogrodnik cesarski, ponieważ wiadomo,
że Chińczycy celują w kwiaty. A jed-
nak pan mecenas niezależnie od chiń-
skiego ogrodnika hodował róże sam, nie
sypiał po nocach, kiedy miały kwitnąć,
i dobrze robił (że hodował, nie, że nie
sypiał). Tak i z panem doktorem z Łą-
dka Zdroju. Pan doktor niezależnie od
Akademii Umiejętności wertuje stare
kroniki, księgi parafialne, nagrobki
cmentarne, przeprowadza analizy języko-
we starych, słowiańskich nazw i też
chyba dobrze robi. Nie tylko dlatego,
że należy obcować z tym, co się kocha,
i nie tylko dlatego, że przy językoznaw-
czych urokach, można — tak sądzę —
zapomnieć o chorych i pewno bardzo
biednych zwierzętach.

Myślę, że chodzi tu przede wszystkim
o to, iż człowiek diabelnie lubi przeko-
nywać się o wszystkim sam. O wszyst-
kim dobrym, wszystkim złym i — że
tak powiem — o wszystkim dolnoślą-
skim, jeśli mu na tym Śląsku przyszło
żyć. Więc się pan doktor przekonuje na

własnej skórce. Że na przykład w starej
książce adresowej w triumfie i w odpo-
wiednim obłoku kurzu przywiezionej z
Lubania, jedna czwarta nazwisk jest po-
chodzenia słowiańskiego: polskiego, ł-
życkiego, czeskiego! Z dziwacznych za-
pisów i koszmarnych pisowni jak z ko-
konów wymotuje pan doktor nazwiska
różnych „Dziubalków”, „Gębusów”, „Ko-
waczaków”, „Wołków” i „Piszczaków”.

Skoroszyt z materiałami puchnie, licznik
w samochodzie idzie w górę, mu-
szyna do pisania stuka, kawa stygnie,
ale niech stygnie — pan doktor znalazł
właśnie to, czego szukał. Szukał jednego
słowa. Jest! W jakimś starym tekście
niemieckim podkreślone czerwonym o-
łówkiem — słowo nijakie, jakby „roz-
ciapkane”: „Die Nusche”. I jeszcze parę
innych równie nijakich i do niczego nie
podobnych. Ale nie dla wszystkich. Dla
doktora jest oczywiście, że to „Nusche”
to polski „nóż”, który go tak cieszy,
jakby był jego własny, w sprawie z ma-
sy perłowej i ofiarowany przez kogoś
milego na imieniny! Znaleźć w obcym
tekście rodzimy swojski dźwięk! Co za
fajda! Ale doktor zaraz się zastrzeża,
że nie porywa się na żadne wnioski
i uogólnienia, chociaż podejrzewa, iż pol-
ski nóż wypierał niekiedy niemiecki
„Messer” z użycia. A więc nie wnioski,
tylko zbieranie materiału, który może
się kiedyś jakimś specjalście przyda
do jakiejś syntezy. Przy okazji. Skoro
i tak życie rejonowego lekarza składa
się z peregrynacji po różnych, nie za-
wsze samochodowych drogach.

No tak. Kawa ciągle stygnie. Każdy
adwokat ma swoje ukochane róże. W
Lubańskim było mnóstwo „Dziubal-
ków”, „Gębusów” i „Wołków”. Ciekawe,
który z nich nie przyjął ostatecznie do
wiadomości, że nóż to „Messer”? Pewno
„Dziubalka”. Całkiem na to wygląda. Ale
przecież nie miało być żadnych wnio-
sków, nawet takich niepoważnych jak
ten. Ma być i jest tylko poważne i
skromne zbieranie materiałów języko-
wych w Lubańskim, Zgorzeleckiem
i częściowo Lwóweckiem. W powiatach,
przez które los (czasem taki los ma zły
humor, nazywa się Kowalski albo Ma-
linowski i podpisuje przeniesienia służ-
bowe) przegnał niebanalnego lekarza,
który z historycznej gramatyki języka
polskiego dostałby wszędzie piękną i chy-
ba wykaligrafowaną piątkę.

Doktor z Łądka jednak najwyraźniej
w świecie o piątkę nie stoi. Podobno
jedna w rodzinie wystarczy. Ta miano-
wicie, którą swego czasu, już dawno,
otrzymał brat doktora, Zbigniew, obec-
nie wykładowca polskiego w jednym
z liceów krakowskich — od samego wiel-

kiego profesora Nitscha. Ten brat to (oczywiście na grubo, grubo przed samochodem) drugi ważny moment biograficzny w życiu doktora Władysława. Od niego bowiem przejął swoje nietypowe zainteresowania, z powodu których permanentnie stygnie kawa i szaleje licznik w wozie.

Tylko, że — jak się już raz rzekło — określenie „zainteresowania” to słówko w odniesieniu do obydwu panów za mdłe, za małe i za niemrawe. Między Krakowem a Łądkiem krąży stale wybitnie specjalistyczna korespondencja, ściśle związana z parantelą i pochodzeniem nazw różnych Lipinek Dolnych i Mokrych Łąk, w której panowie rozpatrują różne subtelności wynikające z podejrzeń o łużyckie czy polskie pochodzenie nazwy. Ze coś w nazwie było dźwięczne, a coś odwrotnie — bezdźwięczne. Ze coś gdzieś z podstawowego brzmienia nazwy wypadło, a gdzieś indziej zostało wtrącone. Całe szczęście, że poczta nie ma momentów jasnowidzenia, gdyż żaden naczelnik poczty nie powierzyłby więcej panu doktorowi swoich leghornów, czemu nie należy się dziwić, jako że się nie zna na językoznawstwie.

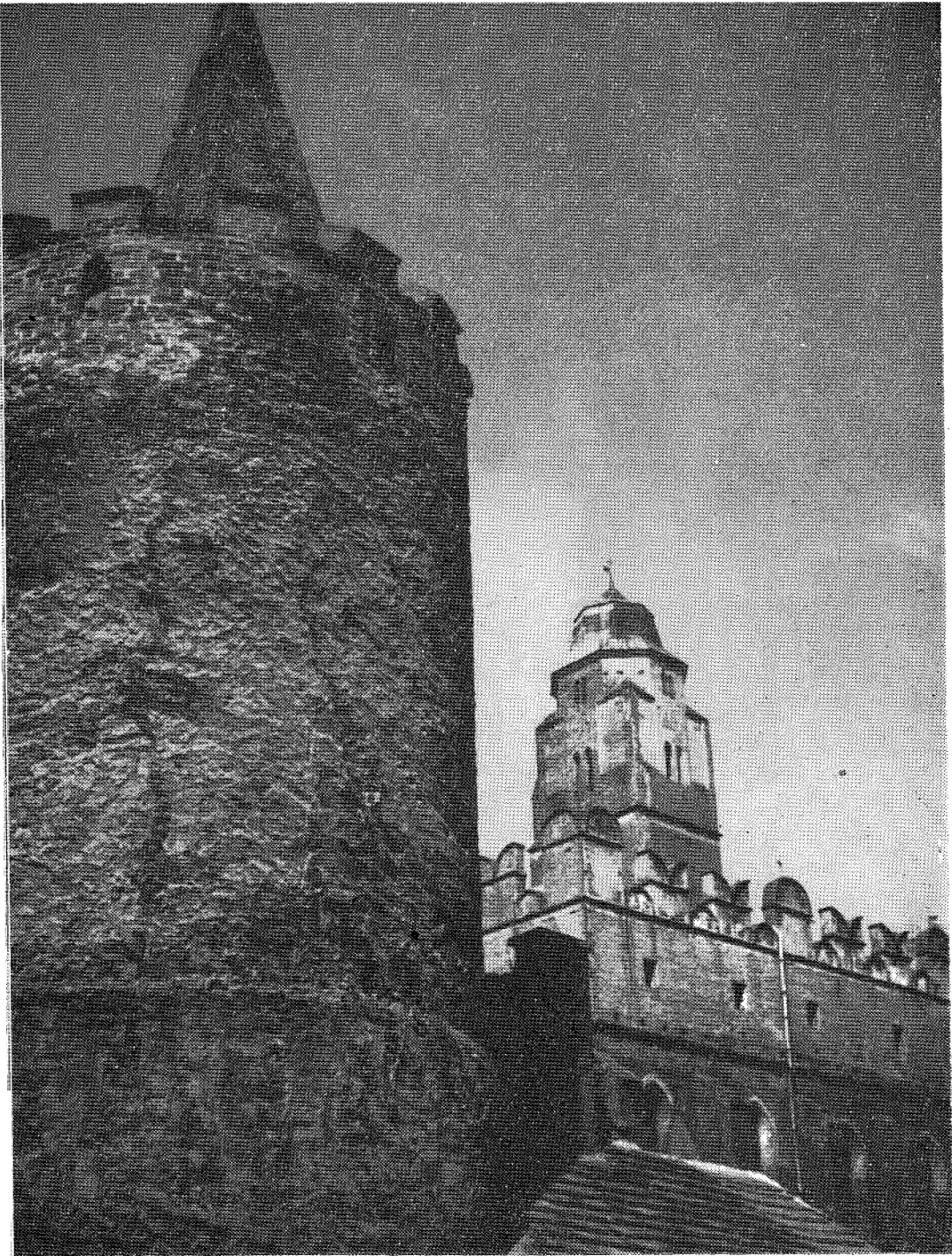
Pan doktor tymczasem przekonuje się dalej na własnej skórze, jak to jest z dolnośląskimi formami mowy ojczyściej i chociaż wstrzymuje się od wniosków, nie zawsze może się wstrzymać od nastrojów polemicznych. Doktor z Łądka nie zgadza się z nazwami wielu uś, miasteczek, potoków, rzek i tym podobnych, mających prawo się nazywać, obiektów. Doktor z Łądka proponuje inne, swoje nazwy. Skoroszty puchną, kawa nie wypita, maszyna stuka późno w noc. Bo według doktora nie powinno być żadnego Turoszowa. Nie Turoszów, ale „Tryków”, zgodnie z najstarszym zapisem z lat 1312 — 1331. Nie żadna Bogatynia, ale panowie, „Rychnów”, z którego powstało niemieckie „Reichenau”. W żadnym wypadku nie Świerad-

dów, ale „Lwiniec” poprzez formę taką jak „wlinz”, która wywodzi się od nazwy bożka łużyckiego imieniem „Flins”(?)

Na poparcie literatura, jakiś tom Brokhausa, z którego można wyczytać, że był to bożek smutny, symbolizujący zimę i śmierć. Z pochodnią w ręce i łapą lwa opartą na lewym własnym ramieniu. I jeszcze to, że prześladowani za pogaństwo Łużycanie schronili się ze swym bożkiem w te właśnie Świeradowskie strony, w które i my dzisiaj uciekamy, ale nie z powodu pogaństwa, tylko — reumatyzmu. Tak więc Świeradów Zdrój to według pewnego dolnośląskiego lekarza nie Świeradów, ale „Lwiniec”. Kawa nie wypita, adwokat z drżeniem czeka na rano, kiedy zakwitnie najukochańsza róża. Łądeckiemu lekarzowi nie pozwala spać starołużycki smutny bożek z lwią łapą na ramieniu i Świeradów, który nie powinien być Świeradowem.

No bo co? Kompetentne i specjalne ciało komisyjne sprawę nazw na Dolnym Śląsku zhadzało, ustaliło, zamknęło i zatwierdziło do użytku, a raczej do nazywania. I najprawdopodobniej nie weźmie pod uwagę propozycji doktora z Łądka, którego w czasie wakacji wspiera brat, ten sam, który wniósł swego czasu do rodziny piątkę od samego wielkiego Nitscha. Ale czy od tego, że ktoś czegoś nie weźmie pod uwagę, może przejść człowiekowi jakaś jego szlachetna pasja? Pasja przekonywania się o wszystkim na własnej skórze? Czy tuż kurzu na powiatowych, niekoniecznie automobilowych drogach wzniecać przez niezmordowany samochód doktora z Łądka trzeba będzie wiązać już tylko z chorymi leghornami? Nie wiem. Wiem tylko, że dolnośląski casus: „fleksja i medycyna”, a dokładniej „onomastyka i medycyna”, zasługuje na uwagę nie mniejszą, niż ten choćby Michał Choromański. Bo ostatecznie co komu po zazdrości?

Jadwiga Skotnicka



Paczków

Fot. Zdzisław Zieliński

„Poczwara”

**ROMAN
KALETA**

Taki tytuł nosiła gazetka wydawana przez Towarzystwo Polskich (Studentów) Górnoślązaków we Wrocławiu w drugiej połowie ubiegłego stulecia. Było to czasopismo przekazywane odbiorcom w wersji rękopiśmiennej.

Gazety pisane ręcznie znane już były w Europie, zanim przedsiębiorcy „nowinkarze” wpadli na pomysł, aby atrakcyjne wiadomości wydawać drukiem w pewnych regularnych odstępach czasu. Ale i potem, już w okresie rozwoju prasy w dzisiejszym tego słowa znaczeniu, informacje przekazywane odręcznie długo jeszcze cieszyły się niesłabnącym powodzeniem.

Czasopiśmiennictwo rękopiśmienne nie podlegało cenzurze rządowej i trudniący się jego wydawaniem kopiści mogli sobie pozwolić na umieszczanie na łamach listownych karteluszków wiadomości tajnych i poufnych, bardziej sensacyjnych niż redaktorzy dzienników drukowanych. Gazetki pisane były z tego względu towarem pilnie poszukiwanym na rynku czytelniczym i drożej opłacanym niż wieści kontrolowane przez urzędników państwowych czy duchownych.

Mogły jednakowoż zaistnieć również inne przyczyny warunkujące rękopiśmienny charakter niektórych gazetek, np. mała liczba odbiorców. Jeśli założony periodyk przeznaczony był dla elitarnego kręgu czytelników, po prostu nie opłacało się go tłoczyć w kosztownej drukarni. W warunkach polskich XIX wieku mogły tu oddziaływać również względy polityczne. Gazetek o treści sprzecznej z interesami państw zaborczych nie podjęłaby się drukować żadna oficyna, zaś stowarzyszenia spiskowe nie zawsze mogły się zdobyć na własną drukarnię.

W wieku XX kopistów zastąpiła doskonale maszyna do pisania, a nakład ułatwiło użycie powielacza. Wystarczy przypomnieć, jak ogromne zastosowanie znalazła u nas ta udoskonalona wersja gazetek w latach okupacji hitlerowskiej.

Rękopiśmienny wygląd „Poczwały” trudno tłumaczyć względami politycznymi, jakkolwiek wydawano ją w okresie potęgującego się na Śląsku antagonizmu narodowościowego. Na druk nie pozwalali studentom zapewne mały nakład pisma i jego przeznaczenie na ściśle wewnętrzny użytek Towarzystwa.

Wierzytelną notatkę o istnieniu tej gazetki, pozwalającą także określić datę jej założenia, znajdujemy we wspomnieniu polskiego życia studenckiego we Wrocławiu, pióra ks. P. Raczka.

„W styczniu 1872 — pisze wzmiankowany autor — postanowili członkowie (Towarzystwa) wydać „gazetkę piwną“, do której każdy zobowiązany był coś napisać“.

Od czasu do czasu zbierali się członkowie na wspólne biesiady.

„Na biesiadę piwną — pisze dalej ks. Raczek — obierali bibułowie „gambrinusa“, tj. przewodniczącego (magister bibendi), któremu do asysty przydani byli paziowie“¹.

Aktywnym współpracownikiem, a może i współzałożycielem pisma był zasłużony w latach późniejszych działacz narodowościowy na Śląsku i w Poznańskim, Antoni Bederski (1848—1930). Bederski studiował na Uniwersytecie Wrocławskim filologię klasyczną i słowiańską w latach 1871—1878, w międzyczasie spędzając rok czy dwa lata w Berlinie. Jego biograf informuje, że „pierwociny swojego pióra, rozprawki i wiersze umieszczał (Bederski) w piśmie studenckim „Poczwara“, pisanym ręcznie“².

Trzecia, najobszerniejsza i najciekawsza wiadomość o istnieniu gazetki pisanej, wydawanej przez polską młodzież uniwersytecką we Wrocławiu, znajduje się w artykule nieznanego lwowskiego korespondenta, ogłoszonym na łamach „Dziennika Polskiego“ w nr 171 z 28 lipca 1877 r. W publicznym liście datowanym w stolicy Dolnego Śląska 21 lipca tegoż roku, czytamy między innymi:

„Trzy dni pobytu pomiędzy młodzieżą uniwersytecką we Wrocławiu powodują mnie do wypowiedzenia wrażenia, jakiego tam doznałem... Będąc przypadkiem przed tygodniem na kółku towarzyskim akademików, nie mogłem milczeniem pominąć zadowolenia, jakiego doznałem. Przede wszystkim zaznaczyć muszę, iż w liczbie około 50 zebranych akademików poznałem 15, czegom pragnął, młodzież prawdziwie polską, naukową. Wybory nowego zarządu na posiedzeniu dały mi sposobność do usłyszenia kilku mów, bo według przyjętego programu, ustępujący i nowo obrani członkowie wypowiadają mówki, które pod każdym względem były dobre. Tak samo wygłoszone przez kilku członków wiersze jak i śpiewy narodowe prawdziwie zachwycić mogły. W końcu odczytanie pisma satyrycznego „Poczwary“, przez kilku członków opracowanego, mile kolegów usposabia, bo w arcydowcipny i przywoity sposób każdemu jakaś lekcyjka z kolei się dostaje. W satyrach tych, jakkolwiek przydomki są tylko podane, niewątpliwie każdy ojciec swojego syna pozna, bo trudno słabości wzajemne lepiej scharakteryzować jak to „Poczwara“ robi“.

Mimo wieloletnich poszukiwań archiwalnych nie udało mi się, niestety, dotrzeć bodaj do jednego egzemplarza „Poczwary“. Wyobrażenie o tym czasopiśmie musimy tedy z konieczności oprzeć na nielicznych i skromnych wiadomościach przyjętych z drugiej ręki.

Jak widać z przywołanych świadectw, gazetka posiadała uśmiech humorystyczno-satyryczny i była periodykiem na użytek wewnętrzny stowarzyszenia studenckiego, liczącego około 50 członków. Gdyby nie rozrywkowy charakter „Poczwary“, można by mniemać, że była ona pismem, najpoważniejszego i najzasłużeńszego na Śląsku w krzewieniu nauki i kultury ojczystej, Towa-

¹) Ks. Raczek, Towarzystwa polskich akademików we Wrocławiu, „Głosy znad Odry“, 1921, zesz. 1.

²) A. Wojtkowski, Antoni Bederski, „Polski Słownik Biograficzny“, t. I, Kraków 1934, s. 394.

rzystwa Literacko-Słowiańskiego. W latach 1872–1877, a więc w czasie, kiedy redagowano „Poczwary“, na listę tej organizacji wpisano 121 nowych nazwisk, m. in. Antoniego Bederskiego i głośnego w latach późniejszych bibliotekarza i historyka literatury, Bolesława Erzepkiego³. Jeśli zwrócimy uwagę na „przepustowość“ Towarzystwa uwarunkowaną okresem studiów młodzieży akademickiej, przekonamy się, że przeciętny jego stan ilościowy nie przekraczał 50 członków.

Wydedukowana pięćdziesiątka pokrywałaby się zatem z liczbą podaną przez korespondenta „Dziennika Polskiego“.

Ale w epoce dogorywającej już w państwie pruskim względnej wolności politycznej istniało we Wrocławiu kilka zrzeszeń akademickich polskich o charakterze wyłącznie młodzieżowym, a więc mniej dostojnych, bardziej rozrywkowych.

Redagowaniem „Poczwary“ zajmowano się właśnie w jednym z owych „kółek towarzyskich“.

W toku historycznego rozumowania musi tutaj odpaść Towarzystwo Polskich Górnoślązaków, z którym wiąże początki gazetki ks. Raczek, gdyż zaśluzona ta organizacja została zawieszona w maju 1876 r. „z powodu małej liczby członków“⁴.

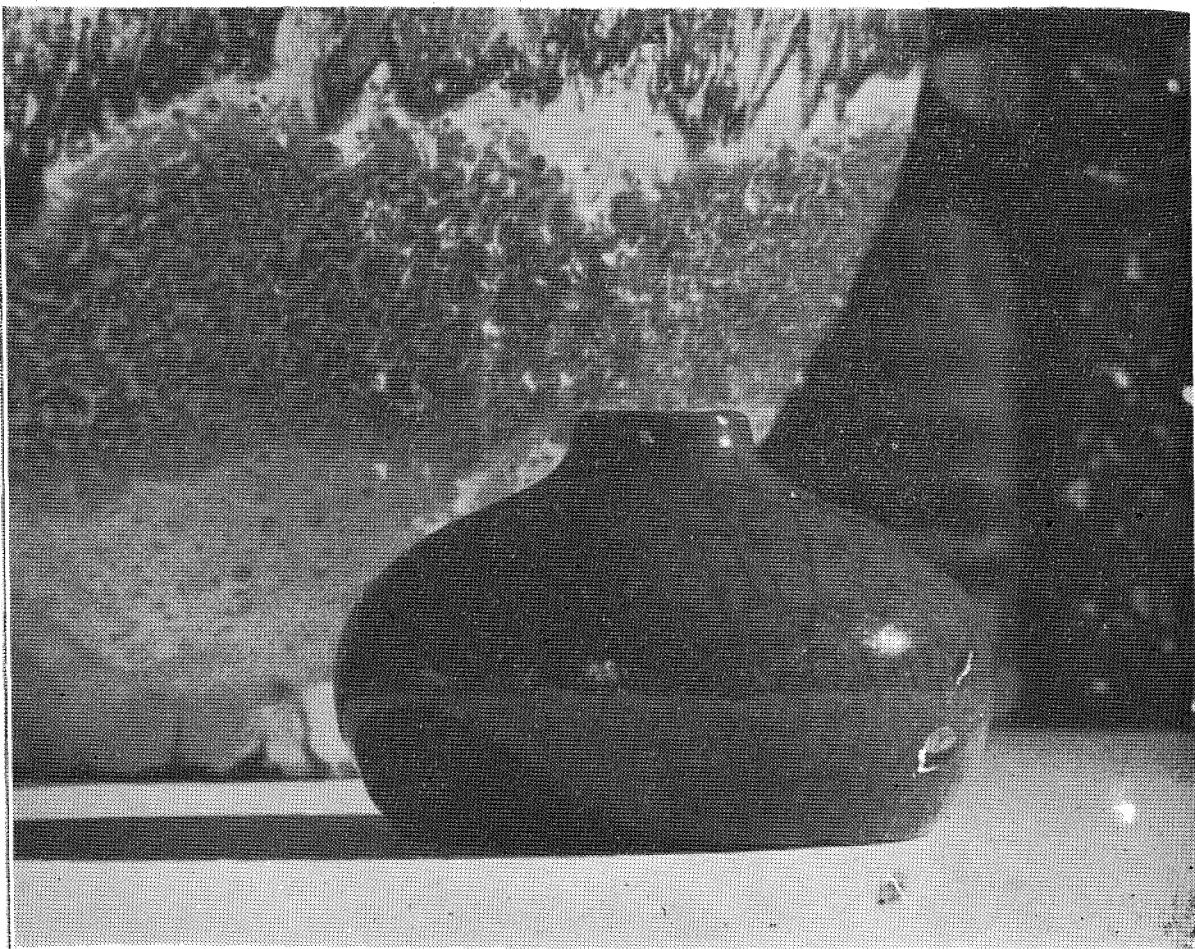
Kształcić się i doskonalić wewnętrznie na wesoło — oto cel, który przyświecał młodym redaktorom i współpracownikom „Poczwary“, pomnym na naukę wyłożoną już w pierwszej satyrze przez znakomitego starożytnego naprawcę obyczajów, Horacjusza: *Ridentem dicere verum quid vetat?* „Co stoi na przeszkodzie, aby śmiejąc się mówić prawdę?“

W najściślejszym powiązaniu z wyłożonym co tylko moralnym programem pisma pozostawał cel patriotyczny. W morzu niemczyzny zalewającej coraz większe obszary, przez wieki naszego pod względem etnicznym Śląska, gazetka stanowiła czupurną wysepkę polskości. Na kartach jej młodzi autorzy dokumentowali niezłomne przywiązanie do Macierzy przez miłość do ojczystej literatury i języka, ostrząc zarazem swoje pióra do bliskiej już, zacieklej walki o interesy narodowe pod zaborem pruskim. Jest to chyba najznaczniejszy powód, dla którego „Poczwara“ zasługuje dzisiaj na przypomnienie i notatkę nie tylko bibliograficzną.

Roman Kaleta

³) „Pamiętnik Towarzystwa Literacko-Słowiańskiego przy Uniwersytecie Wrocławskim“, wydany w roku złotego jubileuszu. Wrocław 1886, s. 80–81.

⁴) A. Karbowski, „Młodzież polska akademicka za granicą 1795–1910“, Kraków 1910, s. 26.



Jak już informowaliśmy, w redakcji „Odry” odbyła się utrwalona na taśmie magnetofonowej rozmowa, w której uczestniczyli: rektor Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych we Wrocławiu prof. Stanisław Dawski, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, prezes Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie Karol Estreicher, wicedyrektor Zjednoczenia Przemysłu Szklarskiego w Sosnowcu Władysław Żak, inspektor Zjednoczenia Przemysłu Ceramicznego w Warszawie Zbigniew Stadnicki, adiunkci wrocławskiej PWSSP Tadeusz Forowicz i Feliks Nawrocki, oraz redaktor „Odry” Tadeusz Lutogniewski. Obok drukujemy fragmenty tej rozmowy:

Wokół ceramiki i szkła czyli szkoła artystyczna a przemysł

Tadeusz Lutogniewski

Wrocławska Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych obchodzi w tym roku swoje piętnastolecie, mówiąc ściślej: piętnastolecie wydania pierwszego dyplomu. Wiemy, że szkoła ma ogromny dorobek, szczególnie w zakresie ceramiki i szkła artystycznego, czego wyrazem była m.

in. zeszłoroczna wystawa w „Zachęcie”, wystawa zatytułowana „Plastyk w przemyśle”. Jest rzeczą wyjątkowo cenną, że wrocławski ośrodek plastyczny specjalizuje się właśnie w dziedzinie tak bezpośrednio wiążącej twórcę poszukiwania artysty z ich praktycznym użytkowaniem w codziennym życiu społeczeństwa. Gdyśmy już uzyskali odpowiedziny tak kompetentnego grona, wykorzystajmy to do uświadomienia sobie w pełni — po pierwsze: jaka jest aktualnie pozycja wrocławskiego ośrodka plastyki użytkowej w kulturze i gospodarce kraju, i po drugie: jak kształtuje się współpraca tego ośrodka z przemysłem, w jakim stopniu z owoców pracy wrocławskiego ośrodka korzystają te gałęzie naszej gospodarki, które właśnie mają upowszechniać osiągnięcia artystów. Interesują nas przy tym oczywiście perspektywy dalszego rozwoju współpracy wrocławskiej szkoły z przemysłem.

Stanisław Dawski

Może najpierw parę słów o samej szkole.

Na naszej uczelni istnieje wydział ceramiki gospodarczej, dekoracyjnej i architektonicznej i drugi wydział — szkła: szkło gospodarcze, dekoracyjne i architektoniczne. Te kierunki uczelni gromadzą większość studentów. Organizacja nauczania jest taka, że właściwie wszyscy, cały zespół naukowy bierze udział w pracy dydaktycznej na poszczególnych wydziałach. Zasadnicze kształcenie artystyczne odbywa się w ciągu całego okresu studiów, to znaczy łącznie z dyplomem — 6 lat. Więc studia rysunku, malarstwa, rzeźby, grafiki, kompozycji. W oparciu o to przygotowuje ogólne student dojrzeć jako artysta, w końcowych zaś latach specjalizuje się na poszczególnych wydziałach. Specjalizacja nie jest wąska, ma raczej charakter problemowy. Pracujemy nad tym, by nie kształcić młodych artystów bezpośrednio w tak zwanym zdobnictwie czy wzornictwie, tylko raczej w problematyce artystycznej ogólnej, która daje młodemu twórcy obiektywne zawodowe podstawy do tego, by podjąć pracę w przemyśle. Jeśli idzie o rezultaty nauczania, mamy wielu wychowanków, którzy legitymują się interesującymi osiągnięciami w tych dyscyplinach zarówno jako samodzielnej pracy artystycznej, jak i w ramach współpracy z przemysłem. W tym roku np. na wystawie sztuki użytkowej we Włoszech jeden z absolwentów a zarazem obecnie pracowników naukowych uczelni uzyskał srebrny medal w dziale ceramiki.

Szkoła wrocławska to jakby swoisty instytut wzornictwa artystycznego. Zgodzi się może pan rektor na taki „awans” naszej szkoły. To jest kombinat naukowy. Patrzyłem od roku 1953, jak profesor Dawski wziął w ręce szkło i właściwie z niczego zaczął kształcić kadry ludzi, którzy do zupełnie zamarłych w szablonie technik wprowadzali indywidualność. Dzięki działalności szkoły sztuk plastycznych Wrocław staje się w tej chwili pod względem artystycznym niosącym środowiskiem o dużym w Polsce znaczeniu.

Nie mogą kierownicy produkcji twierdzić, że ukształtowane w środowisku wrocławskim a także i w innych środowiskach polskich nowe formy ceramiki nie są przez publiczność przyjmowane. To jest bardzo względna historia. Zawsze po uporczywych próbach okazuje się, że można wprowadzić do przemysłu nowe formy. Konkretnie — myślę, że trzeba koniecznie zmodernizować porcelanę. Kalkomania, jaką tu i ówdzie się widuje, nie prowadzi do niczego, mimo że kierownicy produkcji mówią, iż to jest towar eksportowy. Może trzeba taki towar eksportować, ale trzeba również myśleć o pewnych rzeczach na przyszłość. Porcelanę trzeba modernizować. Oczywiście nie może być szara i nie może być krucha jak bańki szklane. Żeby miała większe szanse za granicą, trzeba wprowadzać do niej nowe formy. Wystawy szkoły wrocławskiej ukazują takie wzory. Zeszłego roku widzieliśmy je w Warszawie. Teraz krakowskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych w salonie w Nowej Hucie przygotowuje wystawę wrocławskiej ceramiki i szkła. To fakt nieprzypadkowy, bo Nowa Huta okazała się bardzo chłonna artystycznie, chłonna niż Kraków. Ludzie chcą mieć w nowych domach nowoczesne rzeczy.

Dzieje się u nas nierzaz świetnie pod względem form na polu przemysłu artystycznego. Polski przemysł artystyczny, polska grafika wielokrotnie pokazują, że są na wysokim poziomie. Trzeba jednak walczyć o to, by ta — używając tego nieco przestarzałego wyrażenia — sztuka stosowana wchodziła w życie. Kierownicy produkcji powinni zrozumieć, że wzornictwo artystyczne służy podniesieniu przemysłu polskiego. Nie dlatego mody paryskie są dobre, że wykonawcy mód paryskich są dobrzy, lecz dlatego że „góra” sztuki w Paryżu jest bardzo dobra. Że tam jest Picasso i działają tam inni artyści. Od tego się zaczyna i o tym trzeba pamiętać.

Pan profesor tak bezpośrednio nawiązuje do spraw przemysłu i wykorzystania twórczych projektów artystycznych przez przemysł... Czy wobec tego panowie reprezentujący gospodarkę w tym zakresie zechcieliby — może i polemicznie — zabrać głos?

Władysław Żak

Ja nie tyle polemicznie, ile obiektywnie. U nas, w przemyśle szklarskim, wzornictwo nabrało szczególnej wagi w momencie, kiedy zaczęły się trudności w zbycie. Jeszcze w roku 1949 ze szkłem kryształowym, a raczej z jego sprzedażą były poważne trudności. Ożywiło się wszystko dopiero wtedy, gdy przyszli do nas absolwenci Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych z Wrocławia. Trzeba stwierdzić, że przemysł szklarski jest silnie z uczelnią związany. Na jedenastu artystów plastyków zatrudnionych w przemyśle szklarskim — dziewięciu jest z wrocławskiej szkoły.

Mamy 8 ośrodków wzorcujących szkło gospodarcze i kryształowe. W roku 1980 ośrodki te opracowały ponad 600 różnych wzorów, z czego przez komisję kwalifikacyjną, która w Zjednoczeniu ocenia przydatność poszczególnych wzorów, zostało przyjętych ponad 400, więc jakieś 2/3. Z 400 projektów do produkcji weszło już konkretnie około 50 procent. Teraz dużo zależy od nabywców. Mam tutaj na myśli przede wszystkim zagranicę. Sporo już wyrobów opartych na nowych wzorach zostało tam sprzedanych.

Ośrodki wzorcujące są organizowane przy hutach szkła gospodarczego, a także przy pracujących na eksport hutach kryształów. Zachodzi konieczność rozszerzenia ich na huty, które produkują dla kraju. W planie 5-letnim przewidujemy powiększenie ilości zaangażowanych u nas artystów plastyków do 25, a nawet do 30. Będzie ich więc dwa i pół do trzech razy więcej niż dotąd.

Wychodząc na eksport, musimy sami proponować odbiorcom nowe kształty opakowań szklanych. I stąd rysuje się konieczność zorganizowania ośrodka wzorcującego szkło opakowaniowe — butelki, etykiety itp. Poza tym wylania się potrzeba zorganizowania ośrodka wzorcującego szkło architektoniczne. Będziemy mogli zorganizować taki ośrodek w Hucie Wałbrzych, która eksportuje dużo szkła ornamentowego.

Tadeusz Lutogńiewski

Czy dostrzega pan aktualnie jakieś trudności we współpracy z plastykami?

Władysław Żak

Przeciwnie, nie tylko żadnych trudności, ale dużą pomoc. Szczególnie właśnie z uczelni wrocławskiej, czego dowodem jest wspomniany już nasz ścisły kontakt.

Tadeusz Lutogniewski

Może by z kolei pan, panie inspektorze, zechciał się wypowiedzieć na temat współpracy plastyków z przemysłem ceramicznym?

Zbigniew Stadnicki

Jak państwo się zapewne orientują, przemysł ceramiczny przed wojną w zasadzie u nas nie istniał, były tylko poszczególnie fabryki, które zresztą miały dosyć niski tonaż produkcyjny. Przemysł ten tak naprawdę powstał dopiero po wojnie, a po roku 1956 zaczęliśmy weń inwestować — modernizacja, automatyzacja, szkolenie kadr. Wówczas dopiero przemysł ceramiczny na szerszą skalę chwycił ten „haczyk” wzornictwa przemysłowego. Muszę powiedzieć, że studia ceramiki gospodarczej w Warszawie nie przygotowywały w pełnym sensie plastyków przemysłowych. Owszem, byli oni przygotowani artystycznie, natomiast jeszcze nie mieli opanowanej technologii i w zasadzie sami w tworzywie nie bardzo umieli się ruszać. Już jednak w roku 1953 nastąpił pewien zwrot w przygotowaniu plastyków. Od tego czasu bowiem zaczynają powoli napływać do przemysłu plastycy wrocławscy. Obecnie mamy bardzo wiele nowoczesnych wzorów opracowanych przez absolwentów wrocławskich właśnie.

Chciałbym zwrócić uwagę na bardzo poważne zjawisko: zagranica jeszcze nie chłonie naszych wzorów nowoczesnych tak, jak byśmy tego chcieli. Stąd u nas pokutują — i na pewno będą długo pokutować — wzory „meissenowskie”. Tradycja naszego przemysłu ceramicznego jest bardzo świeża, a w zagadnieniach handlowych nie mamy prawie żadnej propagandy i żadnej reklamy.

Cóż jeszcze chciałbym dodać ze spraw bardziej ogólnych? Chodzi mi o zjawisko, które spotykamy nieraz wśród plastyków starszego pokolenia: niezrozumienie ludzi przemysłu i samego przemysłu a natomiast ogromne zaciekawienie rękodziełem. Do powielania seryjnego plastycy nasi na ogół są nastawieni z pewną rezerwą. W tej chwili już to się na szczęście przełamuje. Przypuszczam, że to nastawienie plastyków starszych przekazywane było młodszemu pokoleniu. I dlatego młodzi, przechodząc do przemysłu, od razu nastawiali się kontrowersyjnie. Bodajże w

roku 1953, kiedy plastyk podejmował funkcję projektanta form, przychodził do modelarni i mówił: — Tego nie będę robił, od tego są modelarze, ja umiem tylko rysować. — To oczywiście u staro majstra, który miał taką czy inną szkołę techniczną i kilkunastoletnią praktykę, wywoływało nastawienie negatywne, z którym znowu myśmy z kolei musieli walczyć. I to przełamywanie dwustronnej niechęci dużo nas kosztowało. Trzeba było niemałego wysiłku, żeby obydwie strony pogodzić.

Władysław Żak

Zdajemy sobie doskonale sprawę z tego, że 8-godzinny dzień pracy dla plastyka jest wyczerpujący. Dlatego uzyskaliśmy u naszego ministra zgodę również na to, żeby nie łamać dyscypliny, dać plastynom pewne ulgi. Nie wprowadziliśmy dla nich żadnego planowania, w sensie takiego planowania, jakie istnieje w przemyśle. Nie są oni absolutnie krępowani formalnymi rygorami. Mogą wyjeżdżać i na wystawy, i do teatru czy kina; kwestia tylko uzgodnienia i nienaruszania podstawowych zasad dyscypliny pracy. Postaraliśmy się i o to, żeby w miarę możliwości wysyłać zatrudnionych u nas plastyków za granicę, na międzynarodowe targi i wystawy.

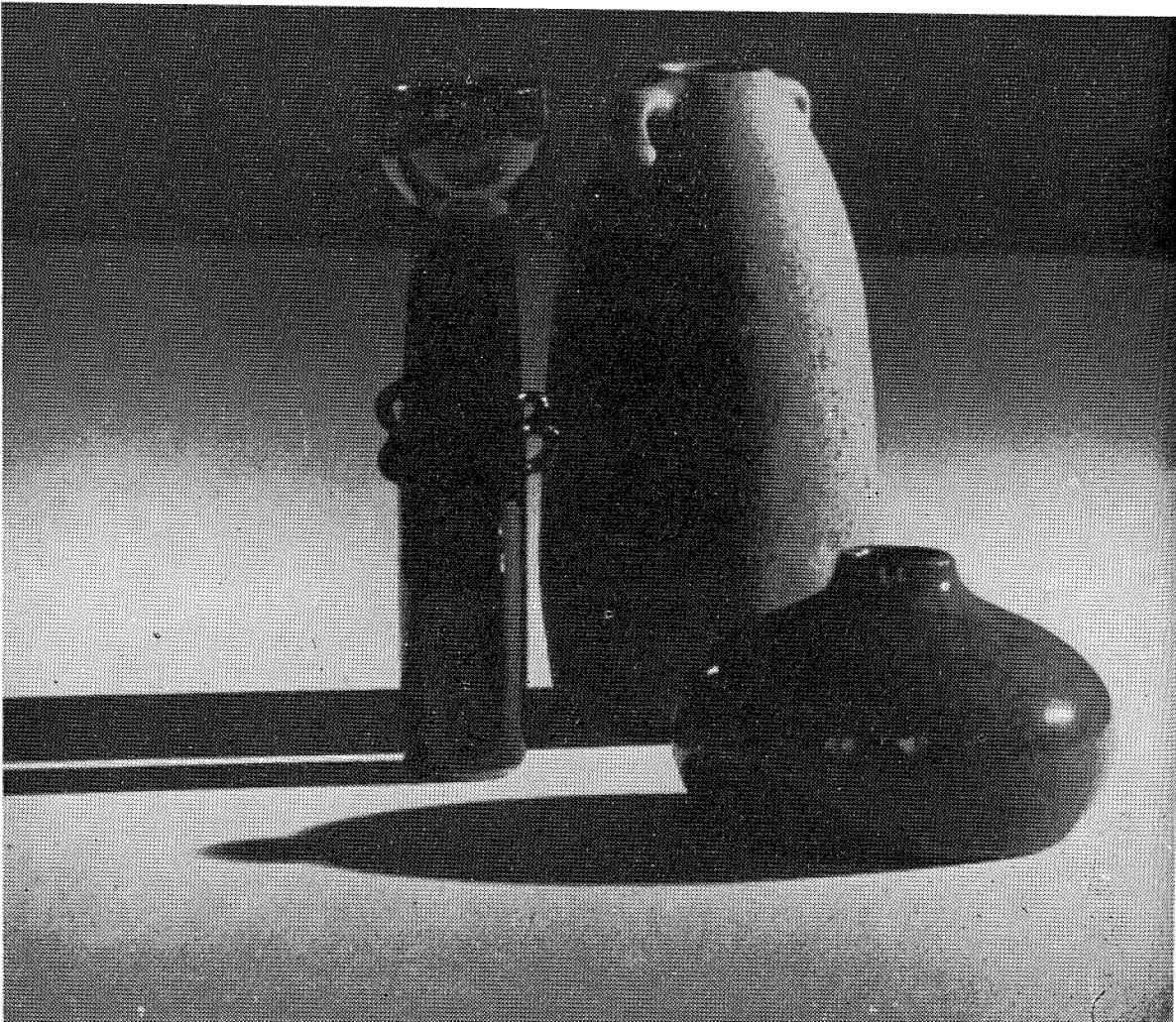
Żeby plastynom pomóc, żeby wiedzieli, że ich wzory nie stoją tylko na półkach, przy ośrodkach wzorujących urządziliśmy tzw. pracownię galanterii artystycznej, w których powiela się ustalone przez plastyków wzory. Ten eksperyment też się nam udał. Wracając „na miejsce”, chciałbym powiedzieć, że wyniki pracy studentów szkoły wrocławskiej są na ogół dobre, o czym mogliśmy się przekonać m. in. wtedy, gdy na przeglądzie prac zorganizowanym przez resorty Rady Wzornictwa zostali nagrodzeni m. in. absolwenci Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych we Wrocławiu.

Tadeusz Lutogniewski

Czy zechcieliby nam panowie przedstawić jakieś konkretne, aktualnie ważne postulaty wobec szkoły, wobec plastyków, którzy chcą współpracować z przemysłem ceramicznym? Czy mogliby panowie nakreślić perspektywę większego niż dotychczas zaangażowania plastyków także w tym zakresie?

Zbigniew Stadnicki

Jeżeli chodzi o nasz przemysł, przemysł ceramiczny, mamy zamiar wykorzystać wszystkich plastyków ze szkoły wrocławskiej, którzy tylko zechcą w przemyśle pracować. Widzimy dla nich dość duże zadania. Chcielibyśmy,



żeby Rektorat specjalną uwagę zwrócił na zagadnienie zdobnictwa, to znaczy technik zdobniczych. Absolwenci, którzy przychodzą do przemysłu, w zasadzie dobrze się czują tylko w malarstwie odręcznym. Za słabo znają jeszcze technologię farb i zagadnienie różnorodnych technik zdobniczych, jakie są potrzebne w produkcji przemysłowej. To jest sprawa dla nas zasadnicza. Bo jeśli chodzi o kształtowanie form ceramiki, pod tym względem jesteśmy z absolwentów zadowoleni.

Tadeusz Forowicz

Chciałbym powiedzieć o pewnych zagadnieniach organizacyjnych, które to-

warzyszą procesowi kształcenia, wychowania plastyka i potem przejścia do pracy zawodowej w przemyśle. Otóż w tej chwili obserwujemy duży chaos form zatrudnienia plastyków w przemyśle. Nie jestem wcale zwolennikiem jakiegos ujednolicenia form zatrudniania. Wprost przeciwnie. Ale są wypadki wtłaczania plastyka na siłę w uniform urzędnika, który musi na którąś tam godzinę rano przychodzić i tych osiem godzin „odbębnić”, musi pracować takimi samymi metodami jak robotnik lub inżynier, bo w przeciwnym wypadku tamci go inaczej traktują, a mnie się wydaje, że plastyk pracuje dla zakładu metodami zupełnie innymi i dlatego po-

winien być włączony w kolektyw tworzący czy produkcyjny w swoisty sposób. I tutaj są bardzo ciekawe rzeczy. Bo z jednej strony jest wielu, może większość naszych absolwentów, którzy jednak pracują na tych zasadach 7-8-godzinnego dnia pracy, a z drugiej strony są plastycy, którzy pracują w zakładzie trzy dni w tygodniu, nawet dzień w tygodniu, niemniej rezultaty pracy artystycznie i ekonomicznie są zadowalające. A jednocześnie wiem, że ci koledzy, których obowiązują sztywne, urzędnicze formy, czują się przygnębieni, jakby w nieswoim ubraniu.

Mówimy wciąż właściwie tylko o przemyśle państwowym, tzw. kluczowym. Pozostaje jeszcze przemysł terenowy, przemysł spółdzielczy. Tutaj są jeszcze większe komplikacje i samego produkowania, i struktury organizacyjnej. Moim zdaniem, powinno się przebadać wszystkie możliwości i opracować cały system zatrudniania plastyków na różnych zasadach: czy to do stałej współpracy, czy współpracy jakiejś niestałej, na zasadach konsultacji, na zasadach doradzania; tak żeby objąć wszystko czy może przynajmniej większość tego, co się u nas w kraju robi na użytek codzienny.

Drugie zagadnienie, o którym chciałbym wspomnieć, to zagadnienie handlu. Jest to bardzo ważny i istotny partner w całym procesie unowocześniania życia codziennego, partner, który w wielu wypadkach może dużo pomóc, w niektórych wypadkach jeszcze dzisiaj przeszkadza.

Stanisław Dawski

Niepokoi nas, że Wrocław, który jest właściwie jakby stolicą zaplecza przemysłowego ceramiki i szkła, nie ma reprezentacji w handlu. Występowaliśmy już z taką propozycją pod adresem przemysłu i oferowaliśmy swoją współpracę w tym kierunku, żeby we Wrocławiu zorganizować sklep wzorcowy najnowszej produkcji ceramicznej i szkła. Zaproponowaliśmy, by to wyglądało w ten sposób, że my będziemy sprawować opiekę artystyczną a przemysł da obsługę i lokal. Na podstawie obserwacji z życia szkoły i w oparciu o znajomość pracy w dyrekcjach zakładów przemysłowych sądzę, że za mało jest odwagi twórczej w zakresie organizacji i reorganizacji handlu i pracy w przemyśle. Mam tu na myśli np. dziedzinę szkła, hut. Dotychczas nie udało nam się od przemysłu szklarskiego uzyskać, żeby w hutach był choć jeden hutnik do dyspozycji projektującego plastyka.

Ktoś tu wspomniał o warunkach pracy plastyków. Oczywiście te warunki to

jedna z podstawowych dziedzin, które uczuciowo wiąże projektanta-plastyka z zakładem. Plastyk musi się czuć współgospodarzem zakładu w sensie efektu nie tylko artystycznego, ale i ekonomicznego. Musi czuć, że dźwiga ciężar efektów gospodarczych tego zakładu. Wtedy będzie dobrze.

Zbigniew Stadnicki

Dzisiaj atmosfera w przemyśle ceramicznym jest taka, że plastyk już po roku pracy jest uważany za członka fabrycznej rodziny.

Władysław Żak

Mówicie panowie, o ceramice, ja jednak wrócę jeszcze do swego szkła. Do roku 1959 mieliśmy zaledwie trzy ośrodki wzorujące. W dodatku artysta nie miał takich warunków jak obecnie. W tej chwili mamy osiem ośrodków, liczba projektantów się potroiła. Wybitnie pomógł nam w tym kol. Stadnicki z ceramiki i właśnie Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych we Wrocławiu. Muszę też dodać, że jeśli chodzi o warunki, to wynagrodzenie plastyków zostało zrównane z wynagrodzeniem inżynierów w produkcji. Kierownik ośrodka wzorującego może otrzymać 3200 zł, tak jak inżynier.

Jeśli chodzi o handlowy punkt reprezentacji szkła we Wrocławiu – siedzibie uczelni, popieram ten projekt jak najbardziej. My – mówię o przemyśle szklarskim – nie widzimy specjalnych trudności. Szczególnie kryształ – możemy do tego punktu skierować pewną część produkcji, tym bardziej, że z Argedem, który rozprowadza nasze wyroby na kraj, jesteśmy w ścisłym kontakcie.

Muszę przyznać, że absolwenci wrocławskiej uczelni są do pracy w naszym przemyśle odpowiednio przygotowani, gdyż w czasie studiów zapoznają się z tworzywem i technologią szkła i zdają sobie sprawę, jak do tego podejść. W poprzednim okresie nie mogliśmy utrzymać niektórych plastyków, bo co zaprojektowali, tego nie dało się uformować. W Warszawie „głosy z boku” urabiają nam opinię, że w przemyśle szklarskim panuje zacofanie. Słyszałem, że ma być uruchomiony branżowy Instytut Wzornictwa Przemysłowego. I po cóż tworzyć tam jakąś namiastkę, kiedy uczelnia wrocławska całkowicie opanowała sytuację i ma dobrze zorganizowany oddział zdobnictwa szkła?

Staramy się stworzyć takie warunki, by „nasi” plastycy mogli podejmować

także prace indywidualne, poza fabrycznymi obowiązkami. W roku 1960 zorganizowaliśmy konkurs, nie bardzo on wypadł, ale sądzę, że w roku 1961 podobny konkurs się uda i będzie przeglądem indywidualnej pracy wszystkich artystów plastyków zatrudnionych w przemyśle szklarskim.

Feliks Nawrocki

Wspomniany przez pana konkurs, który umożliwiłby dokonanie m. in. oceny indywidualnej działalności i rozwoju artystycznego plastyków zatrudnionych w przemyśle, jest u nas, w uczelni traktowany jako jeden z elementów naszej działalności na wydziale szkła, jako próba nawiązania ścisłego kontaktu z absolwentami, którzy opuszczają mury naszej uczelni. Dlatego również organizujemy w Krakowie wspólnie z Towarzystwem Przyjaciół Sztuk Pięknych wystawę prac grupy absolwentów, którzy wyszli z naszych wydziałów ceramiki i szkła.

Należy podkreślić, że przemysł, szczególnie szklarski, bardzo przychylnie ustosunkował się do naszych projektów przede wszystkim w tym sensie, że wszystkim absolwentom zatrudnionym w przemyśle umożliwił wykonanie eksponatów i wysłanie ich na wystawę.

Wystawa taka pozwoli nam, jako opiekunom, zorientować się, jakie nasi absolwenci poczynili postępy, będzie okazją do przeprowadzenia szerokiej rozmowy z nimi na ten temat. Przemysłowi zaś ułatwi orientację w opinii zwiedzających, opinii społeczeństwa o tym, czego dokonali zatrudnieni w przemyśle artyści.

Z całej rozmowy dzisiejszej wynika, że plastycy w przemyśle szklarskim są użyteczni, że wzornictwo w tym przemyśle rozwija się w zasadzie prawidłowo. Chcę zwrócić uwagę na to, że plastyk, który nosi się z zamiarem współpracy z przemysłem, powinien być wszechstronnie do podjęcia tej współpracy przygotowany. Nasz wydział szkła tak zorganizowaliśmy, by popełnić jak najmniej pomyłek pedagogicznych. Może to uszło uwagi Zjednoczenia Przemysłu Szklarskiego, Ministerstwa Materiałów Budowlanych, ale zanim sprawy te zostały w roku ubiegłym definitywnie ukształtowane normami przepisów, myśmy w poprzedzających latach na własną rękę dokonywali z rektorem Dawskim gruntownej analizy środowiska, które miało przyjąć w przyszłości naszych absolwentów. Zaczęliśmy od środowiska dolnośląskiego. Na czym ta analiza polegała? Po prostu na pozna-

niu kierownictwa zakładu, na zorientowaniu się w nastrojach panujących w zakładzie, w całym kolektywie. Wchodziliśmy w to grono ludzi, rozmawialiśmy z nimi i bardzo często tak bywało, że jeżeli nawet gdzieś kierownictwo zakładu jeszcze okazywało pewną nieufność, to robotnicy od początku odnosili się do nas bardzo przychylnie. I właśnie im bardzo wiele zawdzięczamy. Bo oni nam udostępnili swoją wieloletnią wiedzę, wiedzę majstrów, którzy pracują po 20, 30 lat, a myśmy tę wiedzę przenosili do naszego zakładu artystyczno-badawczego.

Zbigniew Stadnicki

Wróćmy jeszcze do ogólnospołecznej roli uczelni. Mnie się wydaje, że uczelnia dyktuje już modę, rozprzestrzenia współczesny gust wśród mieszkańców Wrocławia, ale powinna ją dyktować w szerszym zakresie. Niestety, jest jeden szkopuł, na który nie zwraca uwagi ani Ministerstwo Kultury, ani inne czynniki. Profesorowie i adiunkci za mało wyjeżdżają za granicę. Absolutnie za mało. Nie obserwują. Jaki jest tego skutek? Absolwenci w swych pracach, jak się okazało na wystawie w Warszawie, trzymają się mody roku 1954. Wynika to prawdopodobnie stąd, że dochodzą do nas tylko stare miesięczniki zagraniczne. W zasadzie pedagodzy zagranicy prawie nie oglądają. Nie oglądają szkół zagranicznych, właśnie tych, które są dyktatorami wzornictwa. To jest bardzo ważny moment.

Stanisław Dawski

Nie mogę się z panem zgodzić. To jest moment bardzo ważny, jednak miejmy ambicje nie kopiowania wzorów zagranicznych, lecz stworzenia — w oparciu o dobrą znajomość tradycji naszej sztuki użytkowej — własnego stylu, miejmy ambicję dorobienia się własnej „twarzy” w tej dziedzinie. W związku z tym miałbym pewne postulaty pod adresem przemysłu. Otóż poszczególne zakłady, w których pracują artyści — nie wszyscy o jednakowych uzdolnieniach, o jednakowym ładunku twórczym — powinny dążyć do tego, żeby dorobić się własnego oblicza artystycznego. Znajomość tego, co się w świecie dzieje, jest konieczna. Ale trzeba mieć własne ambicje i stać nas chyba na to, żebyśmy się zaprezentowali odmiennie.

Zbigniew Stadnicki

Owszem, dążymy już do tego, żeby każdy zakład w kraju miał swój odręb-

ny styl. Omawialiśmy te zagadnienia z plastykami, zachęcaliśmy ich do dążenia, by każdy zakład mógł wykształcić oryginalne, charakterystyczne cechy swych wyrobów.

Feliks Nawrocki

Opowiadałem przed chwilą o tym, jak dokonywaliśmy analizy środowiska, w które mieli wejść nasi absolwenci. Z drugiej strony pragnąłem podkreślić tutaj moment, który jest również bardzo istotny, moment wychowania studenta. Założyliśmy sobie, że studentów, którzy po raz pierwszy na roku specjalizacyjnym będą mieli się zetknąć z zakładem, odpowiednio przygotowujemy. Taki pierwszy wyjazd do huty poprzedzony zostanie rozmowami z nimi, rozmowami, które mają im zasugerować sposób bycia, zachowania się, wreszcie sposób zdobywania tej wiedzy, po którą do zakładu jadą. Prócz zaś zdobywania samej wiedzy, studenci powinni dążyć do pozyskania sobie jak najbardziej przychylniej opinii środowiska. Zalecaliśmy, żeby student był inicjatorem dyskusji, by dyskusje te ułatwiały zrozumienie różnicy między projektowaniem i realizacją opartą o współczesną wiedzę a jakąś starą konwencjonalną formą głęboko zakorzoną w przemyśle szklarskim. Następny moment to okazanie głębokiego szacunku dla wiedzy warsztatowej ludzi produkcji. Kiedy poddawaliśmy analizie wypowiedzi załóg fabrycznych na temat pracy czy to naszych praktykantów, czy też świeżo obejmujących pracę dyplomatów, prawie nigdzie nie spotykaliśmy się z jakimiś ujemnymi opiniami o naszych wychowankach. A częstokroć sami robotnicy przekonywali kierownictwo zakładu o dużych walorach współpracy z naszymi absolwentami i często stawali się rzecznikami wprowadzenia tych ludzi na stałe do fabryki.

Nawiązując do handlu, który tutaj w dyskusji tak mocno był atakowany: my, jako uczelnia, wystąpiliśmy już z konkretnymi propozycjami pod adresem wrocławskiego handlu i jesteśmy skłonni udzielić mu pomocy w formie konsulta-

cji, w formie jakiegoś przeszkolenia personelu, który sprzedaje.

Stanisław Dawski

Stwierdzić można, że życie dopinguje nas, jeśli chodzi o estetykę produkcji. Zmusza nas do tego, byśmy się zastanowili nad metodami naukowymi i pedagogicznymi, które by podołały tym zadaniom. W związku z tym myślimy (już nawet występowaliśmy z propozycjami do naszego resortu) o stworzeniu na naszej uczelni katedry czy studium form przemysłowych.

Tadeusz Lutogniewski

Mimo ostatnich zmian na korzyść i pod tym względem, ciągle jeszcze zbyt rzadko spotykamy się z wystawami sztuki użytkowej. To powinno być wzięte pod uwagę zarówno przez przemysł, jak i przez CBWA. Powinny się odbywać często wystawy, które by propagowały tę sztukę — dawały artystom możliwość ukazania twórczości powstającej z myślą o powielaniu i upowszechnianiu przez przemysł.

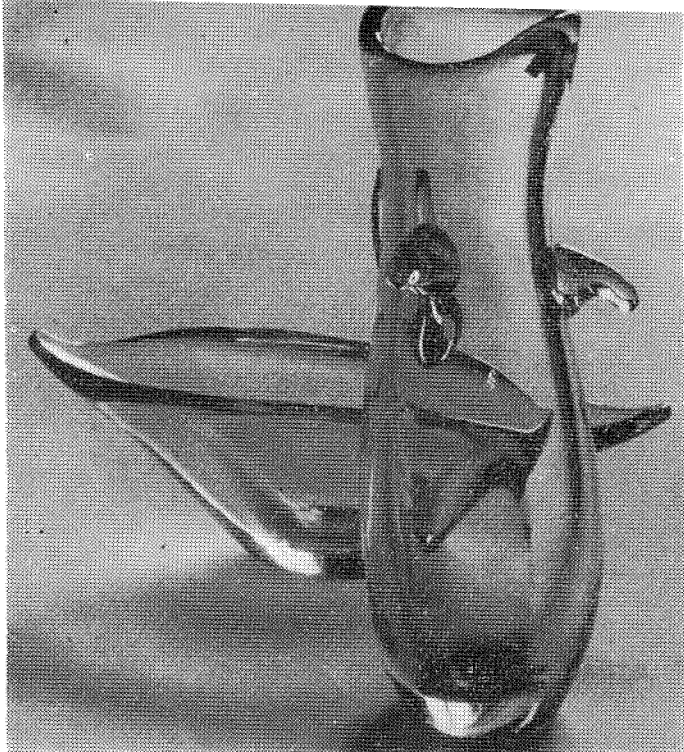
Karol Estreicher

A redakcje powinny częściej organizować dyskusje takie jak ta i częściej pisać o sprawach plastyki użytkowej na łamach swoich czasopism.

Tadeusz Lutogniewski

Jak najbardziej się z panem, panie profesorze, zgadzamy. Będziemy do tych spraw nieraz wracali. I serdecznie dziękując państwu za łaskawy udział w tej rozmowie, chciałbym na zakończenie powiedzieć tylko jedno: poszczególne czasopisma prowadzą swoje salony plastyki, są to salony plastyki w ogóle. Jeśli się nam uda zorganizować we Wrocławiu salon „Odry”, będzie to salon plastyki użytkowej.

*Fragmety rozmowy wybrał
i do druku przygotował
Paweł Soszyński*



Zdjęcia na stronach 76 i 80 przedstawiają przykłady wrocławskiej ceramiki, a zamieszczone obok – wrocławskiego szkła artystycznego.

Fot. H. Wilkowski

Przeciętny czytelnik prasy polskiej wie, że Jelenia Góra to miasto uparte, uparte twórczo. Słyszał o „Tezach Jeleniogórskich”, o „Klubie Spółdzielczym” i kawiarni „Kongo”, o wyciągu na Małą Kopę i o „Orlinku”. Może nie zawsze jednak zastanawia się, jak doszło do tego, że średniej wielkości miasto rozslawiło się nie tylko w swoim województwie, ale w całym kraju. Nie zawsze dostrzega, że mieszkańcy tego miasta mają w znacznie większym stopniu rozwinięty „zmysł społeczny”, niż to się spotyka gdzie indziej.

Nie wiem, czy taki właśnie podział ról założono na samym początku, czy też wynikł on samoistnie — gdy w roku 1957 zaczęły się w Jeleniej Górze wielkie przemiany. Faktem jest, że w trakcie pracy ustalili się on następująco: inicjatywa wypłynęła z KP PZPR, od I sekretarza tow. Stanisława Panka, czynnik partyjny też spełnia funkcje kierownicze; popularyzacją tej inicjatywy i mobilizacją społeczeństwa zajęło się Towarzystwo Rozwoju Ziemi Zachodnich, zaś wykonaniem i kontrolą — rady narodowe: miejska i powiatowa.

Rezultaty? W Jeleniej Górze potrafiło nadać odpowiedni kierunek aktywności społeczeństwa, której ogromny wzrost dał się zauważyć po przemianach 1956 roku. Zabrano się do opracowania „Tez” i z miejsca wskazano ludziom konkretną robotę. Co więcej — stworzono możliwość doraźnej kontroli społecznej. Każdy mieszkaniec powiatu spojrzawszy w tekst „Tez Jeleniogórskich” może bez trudu skonfrontować projektowane zamierzenia z ich realizacją.



Jeleniogórskie to jeden z silniejszych ośrodków przemysłowych. Ale nie tylko. Jednocześnie jest to jeden z największych w kraju regionów posiadających wspaniałe warunki dla turystyki i wypoczynku. Ta właśnie specyfika wymaga specyficznego programu. Nie wolno tu rezygnować z rozwoju przemysłu na rzecz turystyki — ani odwrotnie.

Pierwsze założenie: przemysł nie może stanowić przeszkody dla rozwoju ośrodków wczasowych i turystycznych. Nowe zakłady przemysłowe trzeba jednak budować, a istniejące rozszerzać. Jest to konieczność wynikająca chociażby tylko z ogromnego przyrostu siły roboczej w okresie wchodzenia w wiek produkcyjny roczników z tzw. szczytu demograficznego. Musi to być więc produkcja taka, by dała zatrudnienie możliwie maksymalnej ilości osób. Takie warunki spełnia przemysł precyzyjny.

INICJATYWA ZORGANIZOWANA

EDWARDA OPOCZYŃSKA

Postuluje się więc w Jeleniej Górze uruchomienie fabryki maszyn do pisania, rozszerzenie produkcji Fabryki Narzędzi im. Wróblewskiego, Fabryki Maszyn Papierniczych w Cieplicach, fabryki maszyn „Kowary”. Oczywiście to jeszcze nie wszystko. Owo naczelne założenie pociąga za sobą wiele szczególnie nieodczuwanych tutaj inwestycji: m. in. jeleniogórska „Celwiskoza” otrzymuje specjalny komin filtracyjny, który uchroni miasto i okolicę od przykrych wyziewów, w tejsze „Celwiskozie” zbuduje się także oczyszczalnik ścieków — podobnie zresztą jak w Zakładach Farmaceutycznych i Fabryce WYROBÓW Gumowych w Podgórzynie.

Gdybyśmy chcieli wyliczyć wszystko, co zrobiono w Jeleniej Górze dla przywrócenia temu regionowi pełnych walorów turystyczno-wypoczynkowych, zajęłoby to zbyt wiele miejsca. Ograniczmy się więc do najważniejszych: zbudowano wyciąg krzesełkowy w Karpaczu — zmienia on trudną, połączoną ze wspinaczką wycieczkę w przyjemny spacer; oddano do użytku hotel górski „Orlinek” — największy obiekt turystyczny na Dolnym Śląsku; oświetlono jarzeńcówkami Karpacz; odremontowano położone na skrzyżowaniu szlaków turystycznych schronisko „Odrodzenie”; wreszcie uruchomiono nowoczesną przekątnikową stację telewizyjną w schronisku „Nad Śnieżnymi Kotłami” (to wprawdzie nie obiekt turystyczny, ale za to podstawowe ogniwo łączące telewizję polską z telewizją zachodnioeuropejską).

Nie bez udziału członków regionalnych towarzystw miłośników Szklarskiej Poręby, Karpacza czy Jeleniej Góry buduje się wyciąg krzesełkowy na Szrenicę, remontuje schronisko na Hali Szrenickiej, zaplanowano na rok 1961 budowę nowego schroniska i obserwatorium PIHM na Śnieżce, wyremontowano i oddano do użytku liczne obiekty sportowe — nartostady, tory bobslejowe i saneczkowe, skocznie.

Są jednak sprawy wymagające takich nakładów pieniężnych, że inicjatywa społeczna niewiele może tu działać. Problem numer jeden — to drogi górskie. Stan ich w tym rejonie jest, niestety, daleki od doskonałości. A przecież dobre drogi to nieodzowny warunek szybkiego rozwoju turystyki.

Problem numer dwa — opieka zdrowotna. Ilość miejsc w szpitalach, ilość lekarzy, nakłady finansowe, tabor samochodowy — obliczone są tak jak na obszarze całego kraju, tzn. w stosunku do stałej ilości mieszkańców. Tymczasem przez okrągły prawie rok z usług i świadczeń jeleniogórskiej służby zdrowia korzysta tysiące wczasowiczów, kurasjuszy, dzieci przybywających na kolonie letnie. Dopłaty do lekarstw zakupywanych przez przybyszów obciążają budżet powiatu jeleniogórskiego (wynoszą one około 7,5 mln zł rocznie — suma ta pozwoliłaby na utrzymanie szpitala o 350 łózkach).

Rozwiązanie tych problemów wymaga już pomocy Prezydium WRN, ale nie przewiduję tu jakichś wielkich trudności. Przykładem może być chociażby jeleniogórski handel. Wskaźniki rozdzielników uwzględniają tu zarówno usługi na rzecz ludności miejscowej, jak i przyjezdnych.

Zajmijmy się jednak nie wymienionymi jeszcze dziedzinami pracy grona działaczy społecznych TRZZ. Więc — organizacja życia kulturalnego regionu. Oryginalnym, wyłącznie jeleniogórskim pomysłem jest Towarzystwo Klubów Robotniczych i Chłopskich. TKRiCh skupia 11 klubów i jest jednym z najpoważniejszych regionalnych towarzystw kulturalnych w kraju. Jeleniogórskie zakłady pracy przekazały Towarzystwu świetlice, sprzęt, fundusze z akcji społecznej. Jest więc tzw. baza materialna. Znając zaś energię i umiejętności jeleniogórskich działaczy — o wyniki pracy TKRiCh nie musimy się kłopotać.

Najświeższa inicjatywa jeleniogórskiego TRZZ, a ściślej tow. Stanisława Panka (który — poza sprawowanymi przez siebie funkcjami na miejscu — jest także członkiem Rady Naczelnej TRZZ) — to postulat współpracy południowych powiatów województwa wrocławskiego. Chodzi tu o powiat i miasto Jelenią Górę, Bystrzycę, Kłodzko, Nową Rudę, Kamienną Górę, Lwówek i powiat walbrzyski. Te powiązane pasmem Sudetów powiaty tworzą określoną całość geograficzną, co więcej — mają wiele wspólnych cech gospodarczych. Zrozumiałe, że takie zagadnienia, jak rozbudowa dróg i przystosowanie ich do turystyki motorowej, reklama i propaganda ruchu turystycznego, uprzemysłowienie nie kolidujące z rozwojem turystyki i wypoczynku, poza tym problemy oświaty, ochrony zabytków, kultury, czy sprawy rolnictwa i przemysłu — lepiej i łatwiej rozwiązywać wspólnie.

Toteż ten najświeższy pomysł jeleniogórskich działaczy przewiduje kompleksowe rozpatrywanie zagadnień bez uprzywilejowania którego z regionów. W rezultacie przyniesie to spore korzyści ekonomiczne. Nie mówię już o innych aspektach tego projektu. Nie ulega bowiem wątpliwości, że podobna współpraca zespala społeczeństwo, wytwarza poczucie solidarności i tak cenny patriotyzm lokalny.

★

„Tezy Jeleniogórskie” z roku 1958 przewidywały usunięcie dysproporcji i zaniedbań: wiele z nich miało charakter postulatów pod adresem władz centralnych. Nowe „Tezy”, które w Jeleniej Górze opracowuje się obecnie, podyktowane są chęcią wykonania wielu istotnych prac własnymi siłami — poprzez mobilizację społeczeństwa. Będzie w nich mowa o przemyśle, rolnictwie, hotelarstwie i gastronomii, o rozwoju usług i handlu, o komunikacji i służbie zdro-

wia, wreszcie o estetyce i kulturze współżycia ludności.

Na Ziemię Jeleniogórską przybywają turyści i wczasowicze z całej Polski, a nierzadko i z zagranicy. To zobowiązuje. Toteż kultura zachowania się biletera w autobusie, umiejętność udzielenia przezeń informacji historycznej czy krajoznawczej o mijanej miejscowości — jest sprawą nie mniej ważną niż czysty pokój hotelowy i apetycznie podany obiad.

Praktyka pracy TRZZ wykazała, że regionalne Koło Miłośników Kowar czy Piechowic jest jednostką znacznie bardziej operatywną od kół zakładowych lub terenowych. Tutaj inicjatywa, programy i pomysły wypływają „z dołu”. Koło Miłośników Szklarskiej Poręby na przykład chce dla wczasowiczów, którzy

przewijają się przez Szklarską w ilości 150.000 rocznie, stworzyć ośrodek propagandowy. Jest już lokal i urządzenie, brak tylko niewielkiej sumy na zaprenumerowanie odpowiedniej ilości czasopism.

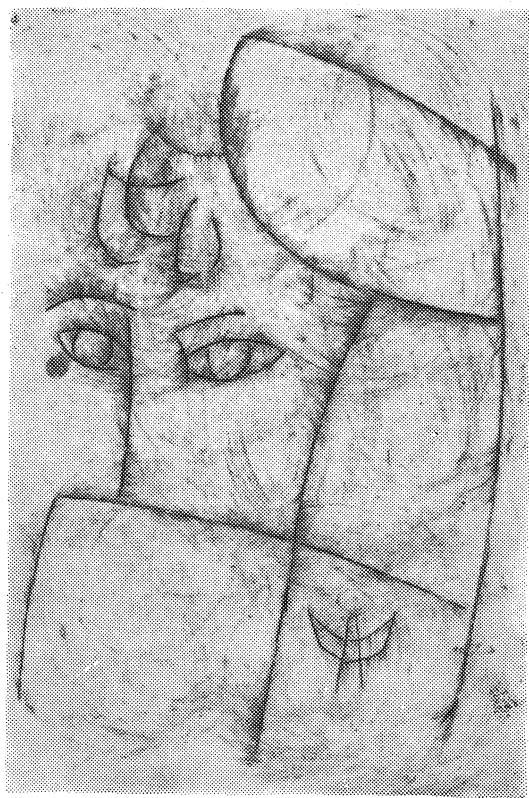
Nie brak natomiast dobrej woli, chęci i wcale niesłomianego zapału. Tacy ludzie, jak Stanisław Panek, mgr Lucjan Niemczewski, adw. Franciszek Cwikowski i wielu innych aktywistów, których nie sposób wymienić tu z nazwiska, dostarczają argumentów mających na forum międzynarodowym większe niejednokrotnie znaczenie od wszystkich racji historycznych. Najdobitniejszym bowiem argumentem jest nasza współczesna praca i współczesne dokonania na ziemiach Nadodrza.

Edwarda Opoczyńska

MIECZYŚŁAW ZDANOWICZ

Tworzywo. To określenie się ciągle powtarza. Sztuka współczesna wprzęga w swoją służbę coraz to nowe materiały i wraz z nimi nowe techniki — ukazuje siłę i urodę różnych tworzyw, odkrywa nowe możliwości koloru, poddaje działaniu wyobraźni coraz nowe obszary „ziemskiej” rzeczywistości — od „naturalnych” korzeni drzew po wulkaniczną lawę. Wchodzi w życie codzienne: organizuje przestrzeń (architektura), podsuwa się pod rękę przedmiotami codziennego użytku.

W pracach Mieczysława Zdanowicza najwięcej miejsca — tak w sensie badawczym, eksperymentalnym, jak i w sensie wyrazu artystycznego dla „wewnętrznych” treści, zajmuje tworzywo ceramiczne, zresztą bardzo szeroko rozumiane. Próbuje on stworzyć sobie wāt-



Portret

(sucha igła)

sztat „nowoczesnego”, wszechstronnego plastyka, gdzie problemy technologiczne spotykają się z najbardziej intymnymi: sam buduje piec mikrohutniczy, przeprowadza dziesiątki prób, by stworzyć najlepsze warunki dla uzyskania niezwykłych, rzadkich, kolorowych szkliw, by w wysokich „wulkanicznych” temperaturach otrzymywać kapitalne spęknięcia i powierzchnie na stynnych swych paterach, by tworzyć w tym sensie rzeczy niepowtarzalne i nowe. Jest nowoczesnym alchemikiem, który podpatruje „kuchnię Pana Boga”, jeszcze raz niejako powtarzając genezyjskie sztuczki z ogniem i kamieniem. W rozmowie sypie fachowymi terminami, przeistacza się nam w oczach w fizyka, to znów chemika, to archeologa, to technika, ale bez cienia jakiegokolwiek pedanterii, zawsze na pierwszym miejscu stawiając impuls, zawsze idąc za głosem intuicji. Nie zapomina nigdy o praktycznym przeznaczeniu swoich prac: podkreśla użytkową wartość ceramiki architektonicznej, widzi przyszłość w mozaice wielkopłytkowej — jest ona tańsza od tynku, odporniejsza od metalu, posiada nieograniczone możliwości kolorystyczne i fakturalne. Zdanowicz uważa się za malarza, posługującego się tworzywem ceramicznym właśnie ze względu na nowe efekty barw i powierzchni. Pozostając z całym szacunkiem dla olejnego malarstwa sztalugowego, podziela jednak zdanie o jego wyeksploatowaniu. Przywiązany jest do faktur chropawych, znajdując w nich odtrutkę na nadmiar obłości współczesnej techniki. Ceni ciężar i trwałość tworzywa. W tym dążeniu do „geodezyjnej” niemal trwałości swoich prac spotyka się z marzeniami wszystkich, nie tylko współczesnych artystów.

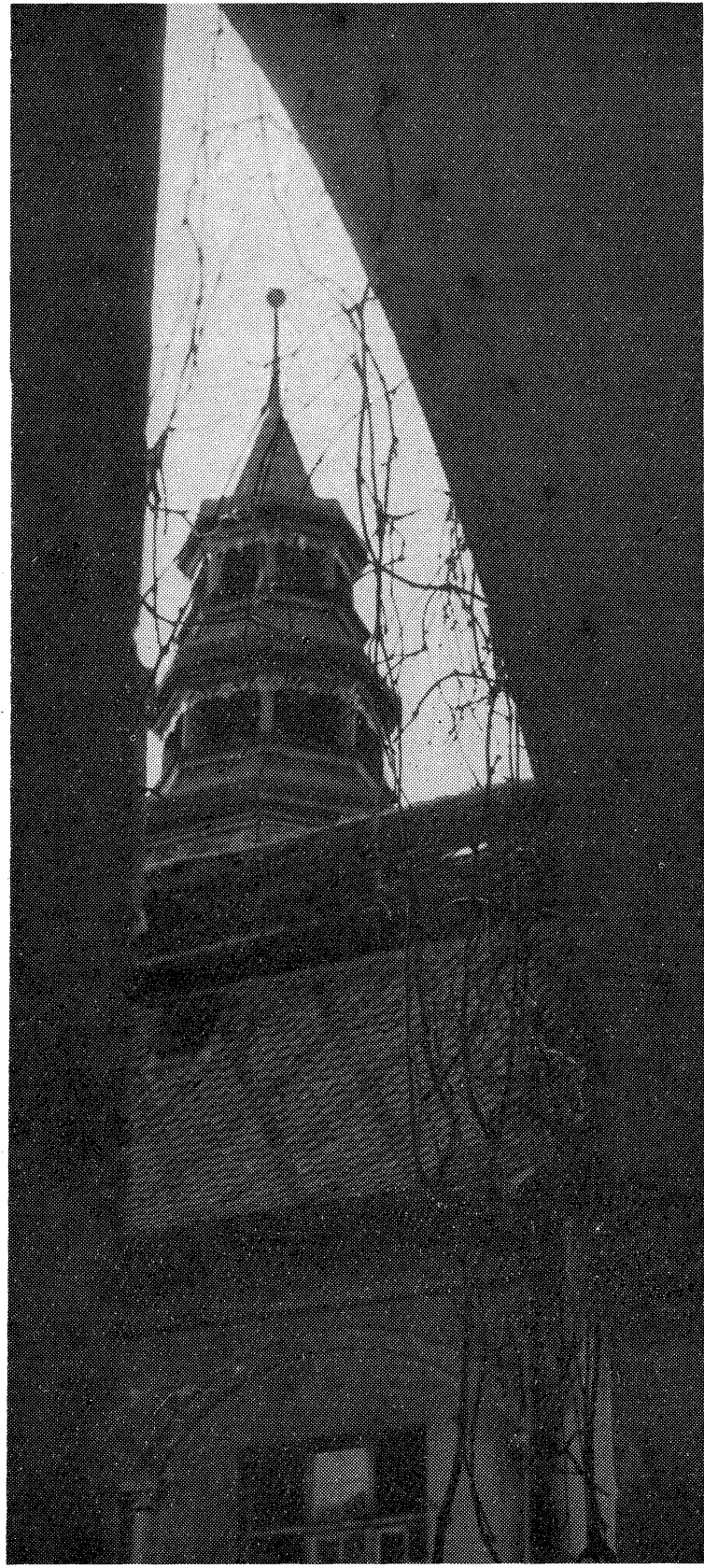
Nie bez znaczenia jest wszechstronność jego warsztatu: to nie rozstrzeżenie zainteresowań, to pasja, by możliwie wszelkimi sposobami ingerować w życie codzienne. Uprawia więc grafikę, głównie suchą igłę, wypowiada się w rzeźbie przestrzennej (metal), projektuje wnętrza; obok ceramiki najwięcej eksperymentuje w szkłe (witraże), opracowując własny system wytapiania; nadal tworzy (właśnie tworzy) obrazy „sztalugowe”, ale oczywiście na swój sposób — przestrzenne z różnorakim pod-

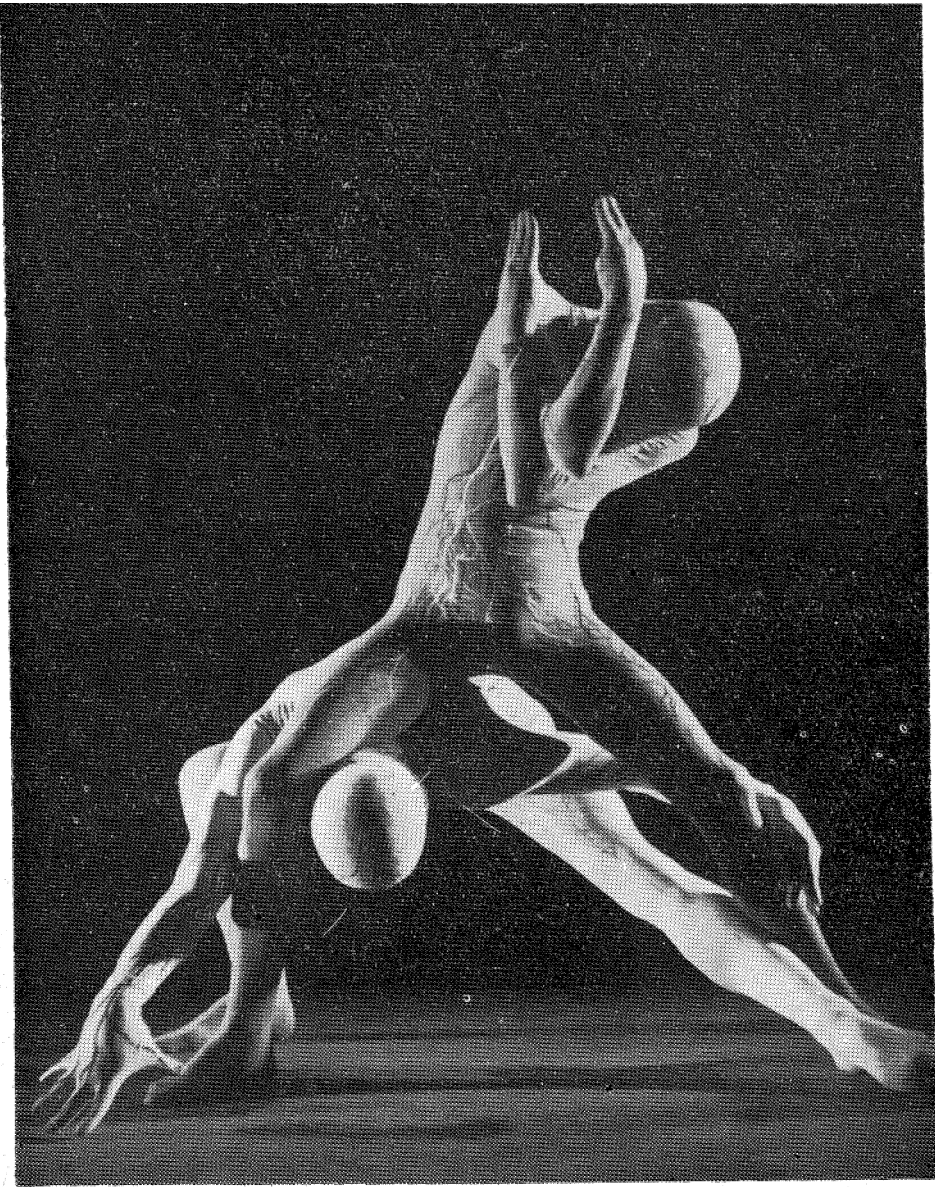
Mieczysław Zdanowicz, ur. w r. 1928, ukończył Liceum Pedagogiczne w Oleśnie k. Kluczborka w r. 1948. Studia w Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych we Wrocławiu — 1949—1955. Od roku 1950 jest asystentem w tejże szkole, obecnie prowadzi szczególnie eksperymentalnych technik malarских i ceramicznych. Od r. 1953 bierze udział w okręgowych wystawach we Wrocławiu, wystawia w Sopocie, Krakowie, Warszawie. Na XII Triennale w Mediolanie w r. 1960 otrzymał srebrny medal za ceramikę artystyczną.

kładem (np. beton). We wszystkich tych pracach uderza rys wspólny — wynalazczość fakturalna, wynalazczość tworzywa — poprzez nie, przez współdziałanie wielu czynników grających na powierzchniach osiąga nowe efekty barwy i światła — podstawowych żywiołów wizualnych.

Piotr Kajewski

Fotografował
Zdzisław
Zieliński





Z ostatniego programu Wrocławskiego Teatru Pantomimy: obraz pt. „Ziarno i skorupa”.

(fot. Stefan Arczyński)



Cztery lata temu Instytut Zachodni wydał „Odbudowę Ziemi Odzyskanych”, w dwa lata później pod tą samą firmą ukazała się zbiorowa monografia „Polskie Ziemie Zachodnie”, a ostatnio — dzięki Polskim Wydawnictwom Gospodarczym — otrzymaliśmy publikację zatytułowaną „Rozwój gospodarczy ziem zachodnich i północnych Polski”.*) Te trzy tytuły w takiej właśnie kolejności są świadectwem niezmiernie wymownym. A więc najpierw tylko o odbudowie, dzisiaj już o rozwoju. Logika procesu nieodparta, tak jak nieodparta jest jego wymowa.

Innymi słowy: nasza działalność gospodarcza na odzyskanych w roku 1945 terytoriach nad Odrą i Bałtykiem nie jest po prostu odbudową, przynajmniej w podstawowym sensie tego słowa — odtwarzaniem tego, co zniszczyła wojna. W pewnym stopniu oczywiście tak było, ale po latach piętnastu czy raczej sześćnastu akcent pada już gdzie indziej, na plan pierwszy wysuwają się inne zagadnienia, właśnie już nie odbudowa i przebudowa, ale po prostu rozwój.

Rzecz zaprezentowana nam przez Polskie Wydawnictwa Gospodarcze dzieli się na 6 rozdziałów. Pierwszy z nich stanowi wprowadzenie w problemy powrotu Polski na Zachód, drugi poświęcony jest demografii i — w swej części historycznej — sprawom narodowościowym, trzy następne — kolejno przemysłowi, rolnictwu, transportowi i gospodarce morskiej, wreszcie ostatni zajmuje się zagadnieniami bytowymi i socjalnymi ludności oraz rozwojem kultury. Całość uzupełniają liczne tablice statystyczne i wykresy na kolorowych wkładkach. Powiedzmy od razu, że do-

Odbudowa i rozwój

kumentacja jest jedną z najmocniejszych stron tej książki, ale o tym osobno.

Mając w pamięci pewien tradycyjny już schemat kompozycyjny wydawnictw książkowych czy skryptów o podobnym założeniu, tj. mających dać czytelnikowi pogląd na całość polskich spraw zachodnich, tej książce zdaje się brakować jednego rozdziału, na ogół uznawanego za jeden z kardynalnych. Mam na myśli interpretację postanowień poczdamskich, wyjaśnienie podstaw prawnych granicy na Odrze i Nysie. Nie ma powodów przypuszczać, że ta luka wynika z przeoczenia czy z powodu literalnej wierności wobec tytułu. Po prostu, jak wolno sądzić, zespół autorski zrezygnował z szerszego omawiania problemów, które należą do kręgu spraw zamkniętych raz na zawsze. Inaczej niż ze sprawami gospodarki, gdzie każdy rok przynosi jakieś przesunięcie proporcji, akcentów, przynajmniej — wskaźników.

Rdzeń merytoryczny książki stanowi sto jedenastie tablic statystycznych w różnych układach dla różnych zagadnień czy grup zagadnień prezentujących problematykę gospodarczą ziem zachodnich i północnych kraju w charakterystycznym tryptyku: stan przedwojenny — bilans objęcia w roku 1945 — bilans osiągnięć powojennych według stanu z roku 1958.

Z pozoru rzecz najbardziej prosta i niczym szczególnym się nie wyróżniająca: gdy książka dotyczy problematyki gospodarczej, musi operować statystyką, tablicami i zestawieniami liczbowymi. Oczywiście, z tym jednak, że w tym wypadku nie są to tablice zwyczajnie przeniesione z rocznika statystycznego czy źródłowej monografii. Wystarczy przerzucić je najbardziej pobieżnie, by się przekonać, jak ogromnego i oryginalnego

*) „Rozwój gospodarczy ziem zachodnich i północnych Polski”, praca zbiorowa (Jan Iszkowski, Kazimierz Kozieradzki, Stanisław Markowski, Edmund Męclewski). Polskie Wydawnictwa Gospodarcze, Warszawa 1960, s. 342.

nalnego wkładu pracy wymagały one od zespołu autorskiego. Charakterystyczny aneks „Uwagi o sposobie opracowania tablic” wypełnia bitych 8 stron tekstu, mieści się w nim nie tylko ogromna lista źródłowej bibliografii (zresztą bibliografia podana jest osobno), ale przede wszystkim objaśnienie metodologii opracowania tablic, które są wynikiem bardziej skomplikowanych obliczeń. Dotyczy to zwłaszcza większości tablic przedstawiających stan rzeczy z czasów niemieckich.

Ten dość gruby tom nie jest, rzecz prosta, jedynie rozbudowanym komentarzem do tych tablic, które spełniają w nim funkcję dokumentacyjną, wspierając co chwilę zasadniczy wywód szczegółową ilustracją statystyczną. W sumie jest to z pewnością pierwsza i udana próba zwartego wewnętrznio, przejrzystego i zarazem niezwykle esencjonalnego ujęcia problemu o wadze dziś największej: czym są z gospodarczego punktu widzenia nasze ziemie zachodnie i północne obecnie, czym były przed wojną za czasów niemieckich. To porównanie, mające jeszcze jeden punkt odniesienia, mianowicie rok 1945, świadczy zdecydowanie za nami, za wyższością związku tych terytoriów z organizmem gospodarczym Polski w stosunku do ich związania z Rzeszą.

W dwóch rozdziałach, poświęconych przemysłowi i rolnictwu, autorzy zajęli się ukazaniem miejsca odzyskanych przed szesnastu laty obszarów w gospo-

darce polskiej. Rzecz prosta, i tym razem wywód wsparty został serią tablic i diagramów, przy czym — jak w całej zresztą książce — akcent padł na dynamikę rozwojową, a nie na sam tylko statystyczny przekrój odpowiadający stanowi aktualnemu.

Jeśli wierność tytułowi była jedną racją więcej za tym, by zrezygnować z zagadnień prawno-międzynarodowych, sądzę, że na odwrót — pewna niewierność w innym punkcie wyszła książce na dobre. To zaopatrzenie jej w rozdział omawiający sprawy bytowe, socjalne i kulturalne ziem zachodnich i północnych. Mówiąc nawiasem, zawsze się zżymam na to zadomowione już u nas łączne traktowanie spraw tak różnych, jak budownictwo mieszkaniowe i działalność naukowa czy artystyczna, ale ponoć dla ekonomisty te zagadnienia są pokrewnego gatunku. Tak czy inaczej — prezentacja rozwoju kultury na tych terytoriach stanowi stałe dopełnienie rozdziałów ściśle ekonomicznych, a przy tym w tej dziedzinie mamy osiągnięcia ogromne.

Książka jest więc ze wszech miar godna polecenia: na pewno wszystkim bibliotekom publicznym i prywatnym, a także chyba i instytucjom, które kwalifikują krajowe publikacje o wybitnych czy szczególnych walorach do wydania w obcym języku. Książka tej wartości powinna być kolportowana przecież jak najszerzej.

Jan Kaczmarek

Malsupra Silezio hierau kaj hodiau

Pod tym obcojęzycznym, ale dla wielu Polaków zrozumiałym tytułem ukazała się na początku bieżącego roku niewielka książeczka firmowana wydawnictwem przez „Ossolineum”. Ta skromna pod względem objętości publikacja stanowi ciekawy i z całą pewnością pożyteczny i udany eksperyment. Jego pomysłu zrodził się w środowisku wrocławskich esperantystów, którzy wystąpili z inicjatywą wydania w języku esperanckim książki o polskim D. Śląsku. Propozycję podjęła bez dłuższych wahań Wojewódzka Rada Narodowa, i to w sposób jak najbardziej konkretny — asygnując fundusze. Zainteresowano pomysłem kilku wrocławskich ludzi pióra: literata, historyka i dziennikarza — aktywnie związanych z problematyką

regionu, którzy napisali, każdy w zakresie sobie najbliższym, trzy dość obszernie rozprawki przedstawiające „wczoraj i dziś” Dolnego Śląska. Przetłumaczone na esperanto i uzupełnione dodatkowymi informacjami źródłowymi, złożyły się one na omawianą książeczkę. Tak więc książka została napisana najpierw po polsku, ale z założeniem z góry, by mogła się dostać w ręce zagranicznego czytelnika władającego esperantem.

„Dolny Śląsk wczoraj i dziś” — bo tak brzmi tytuł w polskim tłumaczeniu — składa się, jak powiedziałem, z trzech części. Pierwsza, pióra Romualda Cabaja, ukazuje w sposób żywy i barwny historię tego regionu od czasów najdawniejszych do końca XVII w. W sobie potraktowania materiału historycznego znać tu rękę literata rozmiłowanego w temacie. Część druga, napisana przez historyka Franciszka Ryszkę, obrazuje okres od początku wieku XVIII do wybuchu II wojny światowej. Część

trzecia, której autorem jest Ignacy Rutkiewicz, zapoznaje czytelnika z najnowszą historią Śląska, jego stanem obecnym i perspektywami rozwojowymi. Momentem spajającym poszczególne części, różniące się między sobą zarówno problematyką, jak stylem i sposobem ujęcia tematu przez autorów — jest motyw nieustającej walki Ślązaków z napierającą od najdawniejszych czasów falą germanizacji. Bogato udokumentowana argumentacja historyczna doskonale radzi sobie z zastarzającymi się fałszami, uparcie podtrzymywanymi dziś przez historiografię zachodnioniemiecką. Relacja spokojna, pozbawiona afektacji — może z małym wyjątkiem niektórych partii w części pierwszej — powinna ułatwić przetrwanie bardzo bogatego materiału faktograficznego.

Tu budzi się jednak pierwsza wątpliwość: czy czytelnik, do którego książka jest adresowana, raczej pozbawiony obszerniejszej wiedzy historycznej o przedmiocie, da sobie radę z bogactwem nagromadzonych postaci i faktów? Czy ten nadmiar nie odstraszy go od gruntownej lektury? Mam wrażenie, że większa selekcja materiału czysto faktograficznego, skupienie się na momentach węzłowych, z pewnym wzbogaceniem narracji — wyszłoby książce na korzyść.

W części drugiej szczególnie plastycznie zarysowany został obraz końcowych etapów germanizacji i całkowitego wcielenia Śląska do imperium pruskiego. Trafnym zabiegiem jest tu wmontowanie w tekst autorski fragmentów wypowiedzi Niemców o polskości Śląska.

Wreszcie część trzecia — opis straszliwych zniszczeń wojennych, a dalej szczegółowy obraz odbudowy i rozbudowy potencjału gospodarczego Dolnego Śląska — obecnie jednego z przodujących regionów Polski. Obraz ten rzucony jest na tło trudności gospodarczych w czasach republiki weimarskiej i prze-reklamowanej, pozornej koniunktury w czasach III Rzeszy. Nasze osiągnięcia, ilustrowane szeregiem liczb, wskaźników

i zestawień statystycznych, mają nieodparty walor argumentacyjny. Ale tu znów ta sama wątpliwość: tych liczb i wskaźników jest chyba za dużo. Za mało zaś przykładów bardziej przemawiających do wyobraźni, jak np. chociażby zestawienie obrazujące wielki wzrost wkładów oszczędnościowych ludności. Natomiast przytoczone informacje o rozwoju kulturalnym regionu z pewnością trafią do każdego.

Książkę zamykają, w formie bardzo zresztą trafnego uzupełnienia, fragmenty wypowiedzi wybitnych polityków — m. in. Churchilla, Trumana, de Gaulle'a, Struyego — o trwałości i nienaruszalności granicy na Odrze i Nysie oraz głosy prasy zachodniej na ten sam temat. Jeśli się zważy, że cały ten materiał (wraz z dwoma dziesiątkami ilustracji) zawarty został na 128 stronach, można by z entuzjazmem pogratulować wydawcy bardzo dobrej publikacji informacyjno-propagandowej. Gdyby nie jedno „ale”. Jestem przekonany, że zamieszczone w książce zdjecia — mówiąc delikatnie — nie przyniosą chluby ani wydawcy, ani polskiemu drukarstwu.

Ale nawet przy innych zastrzeżeniach jedno jest pewne: książka dostarczy esperantystom na całym świecie rzetelnej i bogatej informacji o Dolnym Śląsku.

Bardzo istotnym przy tym momentem podnoszącym atrakcyjność książki będzie niewątpliwie wysoka jakość przekładu Jerzego Gruma.

„Malsupra Silezio hierau kaj hodiau” jest już obok wydanej w 1959 roku broszury „Polaj Okcidentaj Teritorioj” (Polskie Ziemie Zachodnie) drugą esperancką pozycją wydawniczą poświęconą naszym ziemiom nad Odrą i Bałtykiem. Jestem pewien, że nie będzie to pozycja ostatnia.

Jerzy Uściński

Romuald Cabaj, Franciszek Ryszka, Ignacy Rutkiewicz: Malsupra Silezio hierau kaj hodiau. Tradukis Jerzy Grum. Redaktor: Zbigniew Kubikowski. Ossolineum, Wrocław, 1960, s. 128.

Dzieje teatru na Śląsku wiążą się nierozzerwalnie z walką o polskość tych ziem. Scena była trybuną, z której rozbrzmiewał język polski, żywe polskie słowo, tak ważne wtedy, gdy zaborca usilnie się starał, by zapomniano o narodowej przeszłości tej ziemi.

W tej sytuacji mniej istotny był czyisto artystyczny aspekt działalności teatru. Ważniejsze były obiektywne funk-

Śląskie dzieje Melpomeny

cje społeczno-polityczne sceny teatralnej, nieraz z całą świadomością pełnione przez zespoły dramatyczne przyjeżdżające z innych dzielnic.

Tę koncepcję przyjął też w wydanej ostatnio książce Kazimierz Olszewski *).

„Pisząc książkę — zaznacza autor we wstępie — uważam, że ten właśnie szczegółowo — po kronikarsku — nagromadzony materiał stworzy czytelnikowi jak najbardziej zbliżony do autentycznego obraz walki Ślązaków i zagłębian o polski teatr, o polskość w ogóle“.

Swoją kronikę rozpoczyna autor od czasów, gdy na Śląsku nie było jeszcze stałych placówek teatralnych, a żywe słowo śląscy widzowie otrzymywali z Krakowa; tak np. już w r. 1855 przybyła na Śląsk trupa J. Pfeiffera, która miała zamiar grać w Szczawnie, ale dotarła tylko do Wrocławia.

Śląsko-krakowskie związki teatralne nie były jednostronne. Również śląskie zespoły amatorskie, których historia rozpoczyna się od 15 listopada 1868, tj. od pierwszego polskiego przedstawienia amatorskiego w Mysłowicach, wyjeżdżały do Krakowa. Takie wyjazdy były nie tylko występami gościnnymi. Były one nauką historii i formą walki o przetrwanie polskiej kultury narodowej na Śląsku. Wiedzieli o tym Niemcy i starali się przeszkadzać. Ślązacy uciekali się do różnych wybiegów; np. 26 i 27 maja 1893 r. Jerzy Kopp, kardynał niemiecki, był gościem kardynała Albina Sas-Dunajewskiego; niemieckiemu gościowi bardzo podobały się pamiątki historyczne Krakowa; teraz wszystkie wyjeżdżające do tego miasta grupy Ślązaków powoływały się na opinię kardynała Koppa.

Autor chyba niesłusznie ogranicza swój obraz związków kultury śląskiej z zasobniejszymi dzielnicami Polski do wpływów środowiska krakowskiego. Obraz ten będzie poważnie skrzywiony,

*) Kazimierz Olszewski: Z kronik teatralnych Zagłębia i Śląska. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1960, s. 514.

jeśli nie uwzględnimy wpływu Wielkopolski: z Poznania do Wrocławia prowadził jeden z najbardziej uczęszczanych szlaków, który łączył Śląsk z pozostałymi ziemiami polskimi. Tym szlakiem już w roku 1797 przybyła do Wrocławia polska trupa Józefa Nowickiego, z Poznania też w r. 1826 przybył ze swym zespołem Skibiński, a w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia już regularnie przyjeżdżał do Wrocławia teatr poznański. Nawet wymieniana już trupa J. Pfeiffera przybyła do Wrocławia przez Poznań.

Powstanie każdego ośrodka teatralnego łączy się zwykle z problemami lokalowymi. Autor stara się pokazać te wszystkie trudności na przykładzie starań o otwarcie Domu Narodowego w Cieszyźnie czy zabiegów o uzyskanie gmachu dla teatru w Sosnowcu. W ten sam kronikarski sposób opisuje Olszewski działalność teatralną w Dąbrowie Górniczej, Sielcu, Będzinie i Zawierciu.

Książka ta jednak nie jest tylko suchą kroniką. Autorowi raz po raz wymyka się wiele szczegółów anegdotycznych i obyczajowych. Walka o polski teatr, o polskość „w ogóle” — główne wątki tej pracy — nie wyczerpują jej. Teatrológ znajdzie tam wiele wiadomości o ówczesnych aktorach, przy czym przez stronicę książki przewijają się m. in. nazwiska: Solskiego, Feldmana, Przybyłko-Potockiej.

Orientację w bogatej zawartości tomu ułatwiają trzy indeksy: sztuk, osób i miejscowości. Książkę uzupełniają ciekawe ilustracje w postaci starych fotografii, reprodukcji, afiszów, dokumentów archiwalnych itp.

Książka Olszewskiego jest pozycją równie ważną w kategorii teatraliów, jak i w dziedzinie literatury naukowej o dziejach polskiej kultury na Śląsku, a nawet może być zaliczana do opracowań dokumentalnych z historii politycznej walki o polskość Śląska.

Janusz Sowiński

Tadeusza Kajana szkice pospieszne

Dla reportażu krajowego nastały ostatnio czasy pogardy. Kto tylko żyw i w jakie takie pióro zasobny, spieszy ku dalekim łądom — a to politykę rolną na Kubie pochwalić, a to Japonki odkryć,

że oczy skośne posiadają, a to u kobiet duszy pilnie w Bejrucie poszukiwać, a to Murzynów czarnych opisać. Polską tematyką krajową para się nas kilkadziesiąt reporterów prowincjonalnych — białych Murzynów. Tadeusz Kajan jest takim właśnie białym Murzynem z Zielonej Góry. Tyle, że uznanym już i — mimo niespełna trzydziestu lat — wielokrotnie wyróżnianym nagrodami publicystycznymi.

Pochwałę jego książki*) należałoby właściwie zacząć od wyliczenia tego wszystkiego, czego w niej nie ma. Nie ma w niej żadnych zagraniczności, żadnych kabotyńskich westchnień w rodzaju: „Ach, jakże mi tutaj, w tej luksusowej Zagranicy, tęskno za wami, biedni polscy prowincjusze!”, żadnego — jak pisze Brandys — „wykrzywania pyzatej gęby francuskim *esprit*”. To pierwsza zaleta, jakże nieczęsta w czasach, gdy każdy reporter jakąś ciotkę sobie wynalazł za granicą, albo po prostu w MSZ i traktuje nas, przerażonych czytelników, wodnistym obrazem świata, taśmowym produktem reporterskiej tandety.

Jeszcze czegoś nie ma w książce Kajana — owych olśnień, jakich doznają głównie stołeczni reporterzy stwierdzający, że poza Warszawą jest również Polska, że w prowincjonalnych miastach są zwyczajne domy, w których mieszkają istoty do złudzenia przypominające ludzi. Jeden z warszawskich tygodników zamieścił przed rokiem cykl takich olśnień na tematy nadodrzańskie — mieliśmy z tego frajdę nie lada, bo autor odkrył, że nazwa Opola wywodzi się z okrzyku: „O! Pole!” i że na rynku stoją domy mieszkalne. Jeszcze trochę takich publikacji a do fotoplastikonu przestaniemy — zacołani prowincjusze — chadzać, bo do odkryć tych dołącza się także odpowiednie fotki: że dom, że Stasiek, że koń, że drzewo. U Kajana nie ma tych olśnień, bo Kajana jest krajan. Nad Odrą jest jego dom prawdziwy i Kajana opisuje ten dom piórem wrażliwym na wszystko, co dotyczy lubuskiej ziemi dzisiaj; co było jej dawniejszymi dziejami i dzisiaj „skutkuje” nową, skomplikowaną problematyką.

Wyliczyliśmy to wszystko, czego nie ma w książce Kajana — a co w niej jest? Książka ma wyjątkowo przejrzystą konstrukcję i jest pod względem tematycznym niezwykle klarowna. Część pierwsza — to opowieści o dawnych dziejach Nadodrza. Kajana ma ujmujący stosunek do historii swego regionu. Traktuje ją jako sojusznika naszych współczesnych spraw, przy każdej okazji podkreśla pilną konieczność nowych przewartościowań tego ogromnego materiału faktograficznego, którego dostarczył nam dzieje Nadodrza. Pisz:

„Na tych ziemiach, jak rzadko gdzie, historia powinna być traktowana nie po macoszemu. I ta najdawniejsza, i ta

najnowsza. A już szczególnie uwaga historyków i badaczy regionalnych kierować się powinna na dzieje tych terenów, które nieprzerwanie po dzień dzisiejszy zamieszkane są... przez ludność rodzimą”.

Kajana postuluje prace badawcze nad dziejami Nadodrza, ale i sam dokonuje interesujących zapisów faktograficznych — najcenniejsze z nich zamieszczone są w trzeciej części książki. O szczególnej wartości merytorycznej „Faktów i ludzi” decydują właśnie szkice o dziejach szkolnictwa polskiego w Niemczech („W obronie ojczyzny — polszczyzny”), sylwetki działaczy polonijnych w Rzeszy niemieckiej („Wokół śmierci Golisza” i in.). Zwłaszcza szkic „W obronie ojczyzny — polszczyzny” swoją gruntownością i rzetelnością wywodu budzi szacunek czytelnika.

Kajana reprezentuje publicystykę gorącą, pełną pasji, zaangażowaną. Wprawdzie formuła „publicystyka zaangażowana” jest tautologiczna, bo — parafrazując znane powiedzenie Majakowskiego o poezji — można by chyba powiedzieć, że publicystyka zaczyna się tam, gdzie zaczyna się tendencja. Ale sympatyczne u Kajana jest to, że nie doczepia on swoim szkicom artystowskiego grymasu — sam pisze o swoim zaangażowaniu:

„Przypomnienie, odtworzenie i zapisanie tych wydarzeń sprzed trzydziestu laty, to więc nie tylko jedna z wielu prac historycznych nad najnowszymi dziejami narodu i państwa polskiego, ale w pierwszym rzędzie — ze względu na polityczną potrzebę chwili — sprawa opracowania niezwykle ważnych świadectw historycznych dla skutecznego odpięcia i demaskowania antypolskiego rewizjonizmu i rewanżyzmu zachodnoniemieckiego”.

„Fakty i ludzie” dobrze służą temu właśnie celowi i jeżeli coś w tej książce budzi zastrzeżenia czytelnika — to nie jest to na pewno ani jej zawartość treściowa, ani jej godna szacunku, trafna polityczna tendencja. Pewne zastrzeżenia budzi opracowanie tego ogromnego materiału, który Kajana sumiennie zebrał w swoich reporterskich wędrówkach, w bibliotekach i pracowniach naukowych. Jest ono pospieszne a chwilami wręcz niechlujne.

Kajana pozwala sobie na takie zdania:

„Jeśli zestawiać to z przytoczonym poprzednio listem, który dobitnie świadczy o postępującej asymilacji przesiedleńców z pozostałą częścią zachodnoniemieckiego społeczeństwa oraz — wbrew głoszonej przez organizacje przesiedleńcze tezie o pauperyzacji uchodźców zza Odry — wskazuje, że wysoka stopa ży-

*) Tadeusz Kajana, „Fakty i ludzie”. Lubuskie Towarzystwo Kultury, Zielona Góra 1960, s. 228.

ciowa stała się udziałem również i wysiedleńców, jeśli jeszcze wziąć pod uwagę kłeskę wyborczą BHE, to można powiedzieć...”

Myślicie, że to już koniec? Nie, autor jest niezmordowany!

„... że dylemat pieniądź, dobrobyt — a „strony rodzinne” i ryzyko ewentualnego tworzenia podstaw nowej egzystencji, został już przez sporą część tych, którym Adenauer obiecuje...”

W tym miejscu czytelnik jest już skłonny darować wszystko Adenauerowi i tylko o Kajana dopytuje się ze złym błyskiem w oczach. Ale zdanie trwa dalej, jest to składniowy Matuzal:

„... Adenauer obiecuje — pokojowy co prawda (sic!) — powrót do Heimatu, rozstrzygnięty na korzyść pierwszej możliwości, będącej rzeczywistością w przeciwieństwie do iluzorycznej wartości drugiej”.

W kontekście takich bulgocących zdań — rzek niezamierzonej ironii nabiera galanteria Eugeniusza Paukszty, który we wstępie do książki ogłosił, że Kajana „dokładnie precyzuje każdą swą myśl”. Może i dokładnie, ale i bełkotliwie.

Książka jest pisana językiem drętowym i szampowym, a jeśli autor demonstruje

nam nieco inwencji językowej, to wynika z tego następujące dziwności: „germański wiew zza Łaby”, „postulat realizacyjny”, „wypada nie uchylać się od permanentnie rzuconej nam rękawicy”. Z wyrazami obcego pochodzenia autor ma w ogóle kłopot, stąd w tekście takie osobliwości językowe: „zakusy hegemonialne” lub „hegemonalne”. Mnóstwo niezręczności, fatalna składnia, nierzadko i błędy gramatyczne, dowolna interpunkcja — te zarzuty znajdują potwierdzenie na każdej niemal stronie książki.

Przykro stawiać tak zasadnicze zarzuty utalentowanemu autorowi z niemałym już i godnym szacunku dorobkiem. Ale właśnie dlatego, że Tadeusz Kajan jest publicystą ambitnym i rokującym jak najlepiej — nie wolno zbywać jego książki zdawkowymi laurkami. Należy mu życzyć, by następna jego książka była równie wartościowa pod względem merytorycznym, ale pisana z większym namiętnością i starannością; a także życzyć mu, żeby książka ta miała dwóch dobrych bogów: redaktora i korektora. Bo „Fakty i ludzie” są pod tym względem bezbożne.

Klemens Krzyżagórski

Poeci o Warmii i Mazurach

Antologia wierszy o Warmii i Mazurach, zebrana i opracowana przez Edwarda Martuszeńskiego^{*)} ma zapewne dwojakie przeznaczenie. Po pierwsze spełnia rolę dokumentu, a spełnia ją przede wszystkim przez zawarte w tomie zestawienie bibliograficzne, obejmujące okres 15 lat i 582 pozycje, oraz słownik autorów. Po drugie zaś ma znaczenie użytkowe, dostarczając na wszelkie okazje wybranych, opracowanych i posegregowanych tekstów. Od poprzedniczek — najwcześniejszej „Poezji Warmii i Mazur” (PZWS 1949), dwu antologii wydawnictwa PAX (1953 i 1957) oraz Czytelnikowskiej „Ziemi serdecznie znajomej” — różni ją przyjęcie ścisłych ram chronologicznych, tematyczna zasada podziału tekstów, wreszcie wspom-

niana już bibliograficzno-słownikowa obudowa.

Jest to więc antologia nie tylko popularyzacyjna, daje bowiem wyczerpujące świadectwo żywotności tematu, a tym samym ukazuje mocne związki poetów z regionem warmijsko-mazurskim, rozwój tych związków od uwrażliwienia na urodę krajobrazu aż po dotarcie do trudnych, wewnętrznych problemów regionu. Te zalety antologii Martuszeńskiego są niewątpliwe, a skrupulatność i pracowitość autora zasługuje na podziw. Obszar dyskusyjny zaczyna się z chwilą, w której ilość zanotowanych w zestawieniu bibliograficznym pozycji — ową imponującą liczbę 582 wierszy i poematów — potraktujemy nie tylko jako zjawisko socjologiczne, polityczne, demograficzne czy wreszcie geograficzno-literackie, lecz przyłożymy doń kryteria ściśle artystyczne, a wybrane i wydrukowane przez autora utwory uważać będziemy nie tylko za materiał niezbędny dla działaczy, redaktorów i kierowników świetlic, ale za zestaw tekstów „do czytania”, na prawach każdej książki poetyckiej.

Martuszeński zastosował w układzie tekstów zasadę podziału tematycznego: krajobraz — przeszłość — teraźniejszość.

^{*)} „W oczach poetów”. Warmia i Mazury 1945—1960. Wybrał i opracował Edward Martuszeński. Wydawnictwo Społeczno-Kulturalne „Pojezierze”, Olsztyn 1960, s. 276.

Pomijam już fakt, że jest to zasada dość płynna, jako że w wielu wierszach wszystkie te zakresy przenikają się i uzupełniają i segregacja staje się przez to zabiegami kłopotliwym. Chodzi mi o coś więcej.

Autorów antologii podzielić można na trzy grupy. Pierwsza to poeci znający region z wakacyjnych włóczęg lub doróżnych akcji, poeci przeważnie doświadczeni, nieraz dużego formatu. Druga grupa to reprezentanci starszego pokolenia poetów regionalnych, zasłużeni działacze i organizatorzy życia polskiego jeszcze w okresie międzywojennym. Na koniec grupa trzecia — poeci olsztyńscy młodego i najmłodszego pokolenia, nieraz zamieszkali na Warmii i Mazurach od paru zaledwie lat i tam zdobywający ostrogi pisarskie. Podział ten nie jest tylko formalny. Poeci regionalni holdują — z natury rzeczy — nie najnowszym kanonem estetycznym, posługują się tradycyjną techniką poetycką, zakres ich zainteresowań pisarskich pozostał niemal niezmienny od czasów, w których ich wiersze spełniały rolę manifestu patriotycznego. Młodzi poeci olsztyńscy natomiast są w znacznym stopniu podobni do swych kolegów z innych miast polskich, nurt tematyki regionalnej jest w ich twórczości wąty, brak też im jeszcze niejednokrotnie doświadczenia i artystycznej dojrzałości. W sumie — przedstawiają interesujący obraz wzrastania młodego, jeszcze nielicznego, jeszcze wątego, nie ilością nazwisk, lecz ilością indywidualności — środowiska, które mając warunki rozwoju — a poeci olsztyńscy niewątpliwie je mają — dojść może z czasem do wcale nie tuzinkowych dokonań.

Napisałem: w sumie — a właśnie wiersze poetów olsztyńskich i — przede wszystkim — wiersze poetów regionalnych starszego pokolenia rozsiane zostały po całej antologii, przemieszane z innymi, i nieraz bardzo szlachetne utwory zasłużonych pisarzy brzmią sztucznie i nieprzekonywająco w zestawieniu z sąsiadującymi z nimi tekstami.

Rewelacje w literaturze bardzo jakoś podrożały. Pisanie stało się trudne, jako że „wszystko już było”; wszędzie dzwieczy jakieś echo, zwielokrotnione w masowej podaży setką „wzmacniaczy”, przekazników i literackich retransmisji. Różne obiecujące dzieci powyrastały — jedne grzecznie, inne marnotrawnie, jeszcze inne melancholijnie i bełkotowo.

Wydaje się więc, że znacznie właściwsze byłoby wyodrębnienie grup autorów, a nie grup tekstów. Zobaczylibyśmy wtedy, że tradycje rodzimej twórczości na Warmii i Mazurach, których symbolem jest nazwisko Michała Kajki, są nadal konsekwentnie kontynuowane; zobaczylibyśmy — w jednym bloku — w jaki sposób nurt tematyki regionalnej przejawia się w utworach poetów olsztyńskich; zobaczylibyśmy wreszcie, jaki charakter miało zainteresowanie regionem ze strony „gości” regionu, owych „turystów literackich”, zajmujących się tematyką warmijsko-mazurską mniej lub bardziej przygodnie.

Oczywiście wszystko to można z antologii wyczytać, układ może to tylko utrudnić lub ułatwić. Próbę takiego odczytania podejmuje zresztą autor w Pośłowiu. Jedno jest pewne: najbardziej obiecująca jest twórczość środowiska olsztyńskiego, rzecz jasna nie z uwagi na dokonania — tych jeszcze niewiele — ile ze względu na perspektywę naturalnego rozwoju. Kontynuacja tradycji literatury rodzimej ma z konieczności charakter schyłkowy, zaś zainteresowania poetów spoza regionu nigdy nie wykroczyły poza granice „normy”, to znaczy nie miały nigdy charakteru tego szoku, tej nagłej eksplozji, jaką było swego czasu dla literatury np. odkrycie artystyczne Tatr. Oczywiście, zdarzają się i tu utwory wielkiego formatu, jak choćby „Kronika olsztyńska” Gałczyńskiego, niemniej, powtórzmy, zarówno antologia, jak i bibliografia, wskazują raczej — z nielicznymi wyjątkami — na przypadkowość i okazjonalność decyzji poetów.

Poza dyskusją — mogłyby w jej zakres wejść jeszcze zasady doboru tekstów, nierzadko zbyt liberalne, i sporo różnego rodzaju drobiazgów — poza dyskusją jest jednak niewątpliwa wartość antologii jako dokumentu, jako świadectwa bujnych i wielostronnych kontaktów pisarzy z ciekawym przez urodę krajobrazu i odrębność problematyki — regionem.

Zbigniew Kubikowski

H i s t o r i a nieco filuterna

Od debiutów oczekujemy dzisiaj w najlepszym wypadku jakiejś ciekawej zapowiedzi, próby sił, prezentacji tak zwa-

nych możliwości i czasem osobowości; rzadko „objawień”, doświadczeń autentycznych i przetrwanych, wniosków dojrzałych, czy choćby pytań, propozycji — niestety. Obok „zapowiedzi” trafiają się oczywiście, normalnym trybem rzeczy, omyłki i niewypały — i to już raczej pełna klasyfikacja bieżących debiutów. Na odkrycia wypada czekać.

Bywają przecież i niespodzianki. Debiut literacki Pawła Kozłowskiego*), doktora praw i znanego we Wrocławiu adwokata, zepsuł mi tę całą metodyczną, linneuszowską klasyfikację debiutów; daleki od rewelacji — równie daleki od „niewypału” — nie jest chyba także zapowiedzią. Raczej bilansem. Bilansem wieloletniego i wytrawnego obcowania z dobrą na ogół literaturą, owocem niewątpliwej literackiej kultury i swoistego koneserstwa — aktywnego, świadomego kibicowania literaturze. Czasem z kibica rodzi się gracz. Zna reguły i tajniki gry, u upodobaniem przedstawia pionki, próbuje wielu podpatrzonych i nawet własnych kombinacji — czasem zbyt wielu na raz; trochę mu się akcje rwą, brak mu składości, tempa, wykończenia, ale jakoś gra się toczy. A nuż coś wyjdzie? Gra nie jest sztywna, kurczowa i napięta; przegrana nie jest klęską... Jest w powieści Kozłowskiego coś z takiej gry, coś z zabawy w literaturę.

„Historia polspolita” jest więc historią w założeniu ironiczną, przy tym gawędziarską, psychologiczną, satyryczną. Są w niej próby eksperymentu i zaskoczenia, wielorakie autorskie „finty”, chwyt, uniki, taktyczne zwroty i obroty, marsze i kontrmarsze — wszystko bardzo demonstracyjne, naoczne, pokazowe. Podstawowym chwytem jest tak zwana „konstrukcja otwarta”, kwestionująca tu wyraźnie nadrzędność i tradycyjną autonomię fabuły. „Pospolitość” historii polega między innymi na tym, że dzieje miłości Henryka i Anny mogły przebiegać tak właśnie lub nieco inaczej, z udziałem tych lub zgoła innych świadków, współaktorów, komparsów i statystów.... Ilość wariantów, możliwości, poprawek, uzupełnień, zawiązków i rozwiązań jest potencjalnie nieograniczona i równie nieograniczona jest potencjalna ilość postaci, którymi załudnić można tę powieść. Jest wśród nich oczywiście i autor; co więcej — są podobno i czytelnicy. Wszystko może się zdarzyć — motywacja nie jest problemem. Autor nawiązuje tedy dyskurs z „czytelnika-

mi” i w potrzebie któregoś z nich, stante pede, wprowadza do akcji — gwoli uśmierzenia miłosnych tęsknot pokrzywdzonej bohaterki, która została bez partnera. Są to programowe „smaczki” tej nieco amatorskiej partii szachów.

Coś niby z Gide’a („Falszerze”): powieść o pisaniu powieści, raportująca o postępach, trudnościach i perypetiach tego procesu. Ale nie jest to zabieg przeprowadzony metodycznie ani zbyt serio; raczej lekko pomyślany, naszkicowany jak jedna z wielu możliwych kombinacji i poniechany na którymś kolejnym zakręcie. Coś nawet może z Prousta: tu i ówdzie dość subtelna penetracja obszaru uczuć i świadomości, cienkich niekiedy układów napięć, jakieś próby drażnienia i odkrywania nowych znaczeń i konstelacji zarejestrowanych już faktów. Skądinąd wreszcie jakieś pogłosy całkiem rodzimego Sławomira Mrożka (chwilami zręczne jak w historyjce o „organizacji niedzieli”), pomieszane, niestety, z nazbyt już taną i szablonową satyrką ze „Szpilkowych” remanentów.

W trzech czwartych ten literacki towar składa się z opakowania i nie jest ono w sumie zbyt atrakcyjne, choć pstre i rozmaite. Dla gruntownej charakterystyki czołowej pary bohaterów każe im autor wypisywać okrutnie sążniste, sentymentalne epistoły — statyczne, rozwleczone, nie posuwające akcji naprzód, psychologicznie raczej miałkie. Czuły, subtelny, mądry podobno Henryk donosi swej przyjaciółce z podróży służbowej, że Kraków przemawiał doń „uroczystą mową przeszłości, onieśmiał szczękiem starej broni, dziwił linią i barwą ubioru...”; historia była „zakłęta w ciszę wieczoru krakowskiego”, a „rewolucja światów niebieskich” kazała bohaterowi „drzeć pod czarami swych przemian” (s. 38). Chłodna, wyrachowana, rzeczowa Anna zwierza się na odmianną Henrykowi, że nie wie, zaiste jak go „wcielić w swoje życie”. „Nie gniewaj się — wyjaśnia — ale to jest przenośnia. Raczej nie wcielić, ale whaftować w tę ośnowę na której tkam mój dwudziesty dziewiąty rok. To są moje lata, przez które zbierałam ciężkie doświadczenia. To są lata, w ciągu których mężczyźni szarpali tę moją ośnowę...” itd. (s. 65). Za listy bohaterów — na prawach „charakterystyki postaci” — autor mógłby wreszcie nie brać odpowiedzialności, ale i sam wyraźnie lubuje się w barokowo-sentymentalnych ozdóbkach i rozlewnościach, czasem wybitnie niezręcznych. („więc to tutaj grało się jego życie” — s. 214; „piękne

*) Paweł Kozłowski, „Historia polspolita”. „Czytelnik”, Warszawa, 1960, s. 263 i i. nłb.

dziewczęta... piją chwile zżywieniem prawdziwym lub udanym" — s. 220 itp.). Bywa i gorzej, trafiają się zgrzyty i lapsusy: „Szereg osób był bez obiadu” (s. 158); „ale niemniej jednak należało już dawno oddziaływać na Henryka...” (s. 237). Pod pozorami zręczności, fantazji, dezynwoltury, wytrawnej roboty i literackich smaczków kryje się przecież chropowatość materii językowej i niewyklarowanie stylu.

Jeszcze jakieś pomysły, chwyt, „kombinacje”. Żyłka prawnicza autora musi dojść także do głosu. Charakterystykę bohaterki obszerne uzupełniają formalne zeznania trzech postaci alegorycznych: Dumy, Troski i Rozumu. Dwie pierwsze panie są rzeczowe, zwięzłe i dość ciekawie opowiadają; trzeci świadek już gaworzy i dowcipkuje. To po trosze reguła. Tak zwana „eseistyczność”, zdaniem światlejszych komentatorów, ma być znamieniem współczesnej prozy. Pięknie. Wybornie. Ale to nie to.

Uporczywe i programowe gawędziarstwo Kozłowskiego jest w sumie raczej jalone, rzadkie, swoiście minoderyjne i dowcipnisiowskie, rozwlekłe, pozbawione wewnętrznej dyscypliny. Powiedziałem: „minoderyjne”, więcej bowiem w tym gawędziarstwie rozwlekłości i wdzięczenia się do czytelnika niż istotnego dowcipu, ironii, perspektywy „dna” itp. itd. Jako czytelnik zaś bywam nieufny, kiedy się autor do mnie wdzięczy.

Może nadto nieufny? Są w tej powieści, na pewno, rzeczy cenne, mądre, udane; sporo trafnych i czasem ciekawych obserwacji psychologicznych, kilka scen nie „wdzięczących się”, ale wdzięcznych i składnych, jakaś próba groteski. Ton jest miły, choć brak mu pełnej emisji i wyrazu, i miły jest w efekcie uśmiech autora, który więcej ma może do powiedzenia, niż potrafił napisać. Ale dobrze, że zechciał nam to oznajmić.

Józef Kelera

Próba regionalnego tematu

A więc książka jak najściślej, niemal programowo poświęcona tematyce regionalnej! Starająca się objąć wszystkie jej powikłania, nie pominąć żadnego z zasadniczych problemów, odnotować wszystko, co decyduje o odrębności regionu. Przy tym zaś skromna, bezpretensjonalna, szukająca literackiego kształtu dla problemów doszczętnie opisanych przez publicystów, unikająca patosu i ułatwień, natrętnych też i gotowych od dawna schematów. A równocześnie, przy swych zaletach, jeszcze błada, jeszcze niezdolna podźwignąć zbyt dużego dla niej ciężaru, cofająca się przed wydobyciem z nieodkrytego przez literaturę tematu najostrzejszych konfliktów już nie politycznych czy obyczajowych, ale psychologicznych, moralnych, jeszcze nie rozporządzająca koniecznym

dla tego celu zestawem środków artystycznych. „Bóg, wilki i ludzie”*), czyli opowiadania mazurskie Henryka Panasa, są więc książką niejednorodną, pełną rys i potknięć, milizin i porażek, lecz równocześnie interesującą z uwagi na tkwiące w niej zapowiedzi czysto literackiej natury, i ze względu na fakt, że stanowią konkretny materiał dla zbyt teoretycznych nieraz rozważań o literaturze regionalnej.

Na czoło tomiku wysuwa się zestaw sześciu środków opowiadań, powiązanych z sobą zarówno sylwetkami bohaterów, jak i jednolitymi wątkami fabularnymi. W tych sześciu opowiadaniach najwyraźniej przejawia się podstawowa słabość prozy Panasa. Mają one dać obraz współczesnej wsi mazurskiej, z jej niejednorodnością demograficzną, z jej wtopieniem w przyrodę, charakterystyczną, bujną przyrodę Warmii i Mazur, z jej powikłaniami narodowościowymi, obyczajowymi, ekonomicznymi wreszcie. Polacy ze Wschodu, ludność rodzima, Ukraińcy, ciążenie młodzieży wiejskiej do miasta, prócz ludzi zaś jeziora, wilki i dziki. Cóż to za panorama! W dodatku wszystkie te spięcia i konflikty związane są organicznie z fabułą, z wątkiem miłosnym, nie kłócą się z nim, lecz go uzasadniają. Na koniec postać bohatera, Łady, nietuzinkowa, wielostronnie skomplikowana. I tak uzbrojony — w gotowe wątki, w wiedzę

*) Henryk Panas: Bóg, wilki i ludzie. Opowiadania mazurskie. Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne „Pojezierze”, Olsztyn 1960, s. 160.

o środowisku — Panas ponosi porażkę. Ponosi porażkę, ponieważ żadnego z elementów tego obrazu nie narysował ostro i do końca, ponieważ poprzestał na wielu luźnych szkicach i w efekcie to, co najciekawsze, zostało zaledwie nazwane, napoczęte, chciałoby się powiedzieć — odfajkowane. Są to w istocie szkice do powieści, pierwsze zarysy fabuły, problematyki, postaci. Jeśli miałyby być inaczej, oczekiwalibyśmy koniecznej w opowiadaniu koncentracji, upartego dążenia problemu, próby dotarcia do jego najtajniejszych zakątków, przy równoczesnej rezygnacji z epickiego oddechu, z tej panoramy rozdrobnionej i podzielonej na kawałki. Szkoda, bo właśnie w tym szkicu sytuacji i postaci kryje się sprawdzian możliwości regionalnego tematu, bo w trójkącie: Łada — Ingrid — Stefan (trzy kręgi obyczaju, tradycji, postawy wobec życia) tkwi szansa konfliktu moralno-psychologicznego zaostrego przez jednorazowy, niepowtarzalny układ demograficzny i obyczajowy, będący cechą regionu, ale przecież najwyraźniej poza ten układ wyrastającego.

To samo odnosi się w pewnym stopniu do części pozostałych opowiadań. Najciekawsze z nich to „Dwaj rybacy”, gdzie dramatyczna sytuacja — łódka tonąca na środku jeziora — staje się okazją do obnażenia kompleksów i konfliktów bohaterów, do zdemaskowania pozorów. „Wieczorna godzina na skraju lasu” wraca raz jeszcze do problemu stabilizacji i wrastania ludzi w nową ziemię, zarysowując sytuację niebanalną

i przekonywającą. Natomiast „Kanonfutter 1944” i „Konfirmacja” to już tylko schematyczne ilustracje, a anegdoty „Boże niewiniątka” i „Handel zamienny” — za mało są zabawne, aby usprawiedliwić swój udział w tomie. Ostatnie opowiadanie zbioru, „W podróży na Wyspy Szczęśliwe”, to zgrabnie pomyślana alegoria, opowiedziana jednak jednostajnie i blade.

Dotykamy w tym miejscu wspólnej wady wielu opowiadań Panasa. Jest nią język, za mało bogaty, za mało sprawny, aby podolać swemu zadaniu. Szczególnie w utworach o wątlej tkance fabularnej, nacelowanych przede wszystkim na uchwycenie subtelnych odcieni postaw, reakcji, technika opisu nie zdaje egzaminu, choć tam właśnie musi być wyjątkowo dojrzała, wyjątkowo precyzyjna, od niej zależy wszystko.

Wymieniam tak uparcie wszystkie niedomagania, słabości i mielizny prozy Henryka Panasa nie po to, aby ją zdyskredytować, przeciwnie, robię to w przekonaniu, że „Bóg wilki i ludzie” nie są tomikiem przypadkowym, że kryje się w nim wiele możliwości i zapowiedzi, których nie można nie zauważyć. Właśnie umiejętność nasycania fabuły obserwacją obyczajową, wiązania jej w sposób naturalny z podstawowymi sprawami regionu, będąca mocną stroną Henryka Panasa, każe ze szczególną uwagą śledzić przyszłość, które nie pozwalają pisarzowi w pełni tej umiejętności ujawnić.

Zbigniew Kubikowski

Dlaczego Andaluzyja?

Wydaje mi się, że wielu młodych poetów zachodnich regionów Polski za cenę prawdziwych wartości rzeczywistego nierzad talentu zyskuje wątpliwą satysfakcję uczestniczenia w bezbarwnym tłumie naśladowców mód stołecznych. Przypadek Adolfa Niedworoka nie jest wprawdzie krańcowy, niemniej symptomatyczny.

Młody, zdolny poeta, rodowity Opolanin, wydał obecnie drugi zbiorek poezji. Tomik ten jest bez porównania lepszy od „Opolskich słów”, bardzo jeszcze naiwny i chropowaty. Porzucił już Niedworok „tradycyjną” metodę konstrukcji poetyckiej, stosuje bardziej no-

watorskie formy wersyfikacyjne. Niektóre jednak cechy jego obecnej poezji wzbudzić mogą pewien niepokój.

„Niedworok jest w swej postawie twórczej coraz mniej poetą opolskim a coraz bardziej polskim i europejskim” — pisał na początku ubiegłego roku Zbigniew Zielenka w „Kwartalniku Opolskim”. W tomiku omawianym „europejskość” jest jeszcze bardziej uderzająca. Polega ona przede wszystkim na porzuceniu motywów związanych z regionem na rzecz problematyki filozoficznej, „ogólnoludzkiej”. Na dobrą sprawę w tylko kilku wierszach tego tomiku pojawia się Opole lub poeta jako Opolanin. W większości pozostałych owa problematyka „ogólnoludzka” łączy się z nadmiarem refleksów z różnych lektur, wtłaczanych dość natrętnie przy każdej możliwej okazji. Czyni to wrażenie dopasowywania się poety na siłę do literatury „central-

nej" i doprowadza do pretensjonalności, osłabia świeżość i oryginalność utworów. Ta swoista kokieteria poety przejawia się już choćby w doborze tytułów: „Egzystencja”, „Dlaczego Andalużja”, „Nokturn”, „Zmieniona Diana”...

Świadczą też o niej niezharmonizowane z warstwą leksykalną wiersza wtręty erudycyjne oraz często niezbyt uzasadnione obcojęzyczne cytaty. Epatowanie egzotyką i erudycją — to zła „europejskość”, niebezpieczna dla dalszej drogi rozwojowej pisarza.

Inna słabość tej poezji łączy się z formą wypowiedzi lirycznej, wyrażonej przez obraz poetycki. Wynika ona ze swego rodzaju zachłanności tematycznej poety, który chcąc ogarnąć całą rzeczywistość, przefiltrować ją przez osobiste doznania i refleksje, gubi się w różnorodności jej elementów. Sytuacja staje się wtedy „nieklarowna” — określając to terminem samego poety. Pojawia się przeładowanie obrazu poetyckiego, narzuca się wyliczeniowa metoda jego kompozycji, a w konsekwencji niesugestywność wyrazu i „miałkość” elementów.

W wierszach o wyłącznie bezpośredniej formie lirycznej wypowiedzi pojawia się terminologia z lamusa dość już odległej tradycji poetyckiej, rażąca często sentymentalizmem i banałem (ptaszek, kielki życia, parka brzoź, odrodzenie dobra, jaźń, rozdarcie woli). Dla odmiany próby depersonifikacji liryki bezpośredniej prowadzi u pisarza do generalizacji pojęć. Pojawia się egzystencjalna leksyka kosmiczna. Widać to wyraźnie w wierszu „Liryczne kombinacje”. W kilku wypadkach ujawnia poeta skłonność do tworzenia dość patetycznych aforyzmów, epatujących swą pozorną głębią.

Wreszcie prozaizmy. Poeta nieoswojony z nową formą frazy, z odrębnym wyróżnikiem rytmicznym, porzuciwszy rymy, zgodnie z wymogami nowoczesnej poezji — zaczyna prozaizować. Łączy się to z wyliczeniowym charakterem wyobraźni Niedworoka, z wielocłonowością jego obrazu poetyckiego. Ale utworom poety brak wewnętrznej spójności i dyscypliny typu Różewicza. Toteż prozaizacja niektórych wierszy jest za daleko posunięta. „Widokówki z Olsztyna” np. to właściwie proza, dla niewiadomych przyczyn ujęta w graficzną formę wiersza. Gwoli sprawiedliwości odnotować trzeba, że wspomniana wyżej metoda nie zawsze bywa zawodna. „Moja śląska piszczałka” — autoironiczna biografia poety — to dobry wiersz, a „Roześmia-

ne kucyki” wydają się najlepszą pozycją w omawianym tomiku.

Kompleks poety prowincjonalnego, poety z marginesu, wyraźnie przejawia się w „Przechodzącej godzinie”:

Moje poszukiwania
owszem
diabelka ironii warte
lecz nie znowu wyśmienitego języka
M K (mądryego krytyka)
ja outsider
wyskakuję z gry
poza wyszydzeniem

Lecz zasadzając „wśród prowincjonalnej muellgruby sadzonki swojego ziel-ska”, autor w skrytości ducha spodziewa się, że wyrośnie coś więcej. Dlatego stara się zrównać krok z „centralnymi poetami” i zasłużyć na uwagę „centralnych krytyków”.

Próba samookreślenia, sprecyzowania stanowiska wobec świata i ludzi, przebiega w wielu utworach poety. Niedworok szuka własnej twarzy, często blakając się po manowcach sztuczności i banału. Dobro i zło w życiu człowieka, wiara w zwycięstwo dobra, sztuka życia — oto główne tematy jego wewnętrznego monologu. Głęboko humanistyczna postawa poety osiąga najpełniejszy kształt artystyczny w lirykach o znamionach szczerości i zaangażowania się twórcy. W tego typu utworach osiąga poeta najlepsze rezultaty („Z notesu”, „Ból i radość świata”, „Do czytelniczek poetów”).

Wielkie sprawy epoki (groźba wojny atomowej, odradzanie się faszyzmu) znajduje również odzwierciedlenie w poezji Niedworoka. Tym szersze i uczciwsze, że pogląd na nie ukształtował się w Polaku, który faszyzm i szowinizm widział z bliska. Tym większy teraz budzą w nim sprzeciwy. Najpełniejszy wyraz takiej postawy stanowią wiersze: „Roześmiane kucyki”, „Przechodząca godzina”, „Główna Kwatera Fuehrera pod Kętrzyнем”.

Celem powyższych uwag nie jest bynajmniej kwestionowanie pozycji Niedworoka jako poety. Wartości, których się już dorobił od czasu debiutu, były trudniejsze do uzyskania niż będzie wyzbycie się póź i manier równocześnie narosłych. Pozwala to z optymizmem myśleć o tomiku trzecim.

Jan Zacharski

Adolf Niedworok, „Przechodząca godzina”. Śląsk, Katowice 1960, s. 79.



Koncert

Fot. Gustaw Różański

ODZNACZENIA I NAGRODY

Wrocławscy architekci odnieśli ostatnio nie lada sukces, zdobywając pierwszą nagrodę na międzynarodowym konkursie na projekt gmachu teatru w Nowym Sadzie (Jugosławia). Projekt opracował zespół pracowników Politechniki Wrocławskiej z katedry projektowania budynków społeczno-mieszkalnych, pod kierownictwem inż. arch. Zbigniewa Bacia. Oto nazwiska członków nagrodzonego zespołu: inż. arch. Zbigniew Jakiewicz, inż. arch. Elżbieta Królówna, i artysta-plastyk Krystyna Pławska-Jackiewiczowa.

Fabryka Wyrobów Metalowych w Osowcu, woj. opolskie, zdobyła pierwsze miejsce na ogólnopolskim konkursie na najlepszy klub techniki i racjonalizacji w przemyśle metalowym. Jury konkursu brało pod uwagę nie tylko ilość zgłoszonych wniosków, ale i sprawność ich załatwiania.

O TYLE BĘDZIEMY BOGATSII

Do roku 1965 z funduszu rad narodowych zostanie wybudowanych na terenie województwa wrocławskiego 712 tys. izb mieszkalnych.

W ciągu ostatnich czterech lat w województwie zielonogórskim w ramach aktywizacji uruchomiono 36 zakładów przemysłowych, z czego połowa to przemysł kluczowy. Tempo rozwoju przemysłu jest tutaj zawrotne — o około 100 proc. szybsze niż w pozostałych regionach kraju.

Koło Nowej Rudy powstają dwa osiedla mieszkaniowe dla górników — Słupiec I i Słupiec II. Po zakończeniu budowy liczba mieszkańców tych osiedli będzie liczyła 3.400 osób.

Już wkrótce Wizów rozpocznie produkcję soli i kwasu fosforowego z fosforanu wapnia i kwasu siarkowego. Te poszukiwane artykuły chemiczne sprowadzamy dotychczas z zagranicy.

Zakłady wikliniarskie w Brzegu eksportują do USA 25.000 koszyków rocznie. Wyroby te zdobyły sobie duże uznanie na rynku amerykańskim, w związku z czym tegoroczny eksport koszyków zostanie zwiększony o 25 proc.

W powiecie kluczborskim do roku 1965 zostanie wybudowanych aż 8 szkół, z tego dwie w Kluczborku i po jednej w Markotowie, Świnarach Małych, Biskupicach i Ciecierzynie.

W roku 1960 rolnicy województwa zielonogórskiego zakupili 174 traktory. Jeżeli weźmie się pod uwagę, iż w roku 1959 zakupiono tylko 12 traktorów, świadczy to nie tylko o wzroście stopy życiowej, ale i o pogłębiającym się poczuciu stabilizacji na wsi zielonogórskiej. Ogółem na narzędzia rolnicze w tymże roku chłopci Ziemi Lubuskiej wydali 73 mln zł.

Kożuchowskie Zakłady Nadwozi Samochodowych rozpoczęły montaż kilku nowych typów samochodów, a mianowicie samochodu-chłodni przystosowanego do przewozu dużych ilości masła i furgonu do przewozu odzieży mogącego także spełniać rolę ruchomego sklepu. Prototyp tego wozu zostanie wysłany na wystawę przemysłową do Pekinu. Poza tym nowością jest tutaj 10-tonowa przyczepa do jeliczańskich „Żubrów” i 6-tonowa do ciągnika „Star”. Poza samochodem-chłodnią wszystkie pozostałe innowacje samochodowe opracowano w przyzakładowej sekcji konstrukcyjnej. Autorami projektów są technicy Tadeusz Wlazło, Bogusław Bronn i Jan Wypych.

Śląskie Zakłady Obuwia w Otmęcie podbiły swoimi wyrobami nie tylko rynek krajowy, ale i zagraniczny. W tym roku fabryka ta wyeksportuje do Anglii i Belgii 100 tys. par butów, a do Związku Radzieckiego 50 tys. par. Warto dodać, że zakłady w Otmęcie produkują obecnie 57 modeli obuwia.

Zakłady Przemysłu Bawełnianego w Prudniku wypro-

dukują w tym roku 9 mln 400 tys. m tkaniny na eksport.

Pod koniec stycznia Rada Postępu Technicznego i Wynalazczości przy Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych we Wrocławiu przeprowadziła analizę zrealizowanych dotychczas wniosków racjonalizatorskich. Wyniki okazały się bardzo interesujące. Ustalono, iż dolnośląskie zakłady w latach 1961–65 dzięki realizacji wniosków racjonalizatorskich będą mogły wygospodarować ponad 800 mln zł oszczędności. I tak, dla przykładu, zobowiązania z tego tytułu Dolnośląskich Zakładów Magnezytowych wynoszą 29 mln złotych, „Rokity” 7 mln itp.

W niedługim czasie powstanie we Wrocławiu w budynku Przychodni Medycyny Pracy przy ul. Doroty jedyna jak dotąd w Polsce, specjalistyczna poradnia psychologiczna. Placówka ta będzie ściśle współpracować z zakładami przemysłowymi.

Popularne „światłówki” — lampy jarzeniowe z kożuchowskich zakładów A-20 zostaną wkrótce zainstalowane także w miastach Mongolii, która zakupiła 1.250 takich lamp.

O TYLE JESTEŚMY „UBOŻSI”

Zgodnie z planem gospodarczym powiatu grodzkowskiego (województwo opolskie) ilość koni przypadająca na sto hektarów ziemi ma zmniejszyć się w ciągu bieżącego roku o 17 proc. Jest to związane z postępem mechanizacji pracy w rolnictwie.

W ciągu ostatnich 5 lat w województwie zielonogórskim usunięto 3 mln 467 tys. metrów sześciennych gruzu. Dzięki tej akcji w wielu zniszczonych miejscowościach — takich jak np. Gubin czy Czerwińsk — ślady wojny zostały już całkowicie usunięte.

W POSZUKIWANIU 15 MILIARDÓW ZŁOTYCH

Oszczędności uzyskane w województwie zielonogórskim

po pierwszym etapie rewizji inwestycji wynoszą 47,3 mln złotych.

Na Dolnym Śląsku akcja ta przyniosła aż 263,8 mln złotych oszczędności.

WYNAŁAZKI, ODKRYCIA

W Zakładach Urzędzeń Przemysłowych w Nysie wyprodukowano nowy typ łożysk tocznych. Są one zrobione z rozeteksu – specjalnej tkaniny nasyconej bakiem. Nowe łożyska nie wymagają konserwacji smarem, są odporne na działanie wody i odznaczają się wytrzymałością większą od metalowych. Związek Radziecki złożył już zamówienie na zakup tego artykułu.

Zespół inżynierów Wrocławskiego Biura Projektowo-Konstrukcyjnego Przemysłu Materiałów Budowlanych pod kierownictwem mgr inż. Kazimierza Banysia opracował projekt nowej wytwórni betonu B-20. Wydajność B-20

wynosi rocznie około 40 tys. metrów sześciennych betonu. Do obsługi całej wytwórni wystarczy jeden człowiek. Projekt został zatwierdzony do realizacji.

Wrocławskim wynalazkiem zainteresowała się już Jugosławia, która pragnie importować te urządzenia.

Prof. dr inż. Karol Gerlicz, kierownik Zakładu Technologii Owoców i Warzyw Wyższej Szkoły Rolniczej we Wrocławiu skonstruował wraz z mgr Stanisławem Romanowskim wieloczynnościową maszynę służącą do obierania, drażenia, gniazd nasiennych i krajania jabłek i gruszek. W ciągu godziny maszyna ta oczyszcza 216 kg owoców. Znajdzie ona olbrzymie zastosowanie w przemyśle przetworów owocowych. Projekt zatwierdzono do realizacji.

ZJAZDY, ROCZNICE

W dniach od 12 do 15 lutego obradował we Wrocławiu IV Ogólnopolski Kongres

Techników. W Kongresie uczestniczyła delegacja partyjno-rządowa z I sekretarzem KC Władysławem Gomułą i przewodniczącym Rady Państwa Aleksandrem Zawadzkim.

Z okazji Kongresu czynna była we Wrocławiu wystawa postępu technicznego budownictwa, przemysłu ciężkiego i chemicznego. Na wystawie zgromadzono 3 tys. eksponatów.

W lutym Towarzystwo Szkół Świeckiej obchodziło czwartą rocznicę swego istnienia. Na Dolnym Śląsku organizacja ta posiada około 400 szkół zrzeszających ponad 5 tys. członków. Jedną z form działalności propagandowej i wychowawczej są Uniwersytety dla Rodziców. Na Dolnym Śląsku pracuje już 6 placówek tego typu.

Z okazji 90-lecia istnienia Związku Zawodowego Poligrafików i 15-lecia jego działalności na Dolnym Śląsku otwarto 28 lutego we Wrocławiu wystawę w drukarni RSW „Prasa”. Ekspozycja stanowi przegląd działalności wrocławskich drukarni oraz jeleniogórskich i wałbrzyjskich zakładów graficznych CWD.

TO TEŻ CIEKAWIE

Sława polskich fachowców w dziedzinie leśnictwa sięga daleko poza granice kraju. M. in. Brazylia, Meksyk, Filipiny i Maroko zwróciły się do nas z prośbą o pomoc przy wykonywaniu prac leśnych. W licznej grupie fachowców z całej Polski, przechodzących obecnie specjalne przeszkolenie, znajdują się także leśnicy Ziemi Lubuskiej. W niedługim czasie wyjadą oni do wymienionych wyżej państw.

d. sił.

WARTO ZANOTOWAĆ, ZE...

2 lutego zapadła ostateczna decyzja o budowie Telewizyjnego Ośrodka Studyjnego we Wrocławiu. Budowa będzie prowadzona w dwu etapach. Najpierw, kosztem 3 milionów złotych, powstanie studio, z którego przy wykorzystaniu kamer z wozu transmisyjnego będzie nadawany program przede wszystkim reportaży i publicystyczny. Następny etap przewiduje budowę drugiego największego w kraju studia (350 metrów kwadratowych) o możliwościach nadawania pełnego programu. Należy podkreślić, iż cała budowa będzie się odbywała środkami społecznymi, z finansów Wydziałów Kultury Wojewódz-



Jadwiga Skupnik jako paź Cherubin we wrocławskim spektaklu „Wesela Figara” Beaumarchais reżyserowanym przez Andrzeja Dobrowolskiego. (fot. Z. Mozer)

kiej i Miejskiej Rad Narodowych oraz dzięki pomocy większych zakładów pracy (m. in. walczyńskich kopalni). Został już utworzony Komitet Budowy Telewizyjnego Ośrodka Studyjnego, którego prezydium stanowią: B. Iwaszkiewicz, J. Jaroszyński, Z. Karst, B. Ostapczuk, S. Rylski, A. Walatek, R. Werfel, J. Wołoch.

★

W Opolu odbyła się konferencja Komisji Koordynacyjnej Instytutów Zachodnich, w której wzięli udział przedstawiciele Śląskiego Instytutu Naukowego w Katowicach, Instytutu Śląskiego w Opolu, Instytutu Zachodniego w Poznaniu, Komisji Śląskiej Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego, Rady Naukowej TRZZ i Zachodniej Agencji Prasowej. Na naradzie tej omówiono zasady stałej współpracy w zakresie ustalania problematyki i metod badań. Opracowano także plan badań nad dziejami 15-lecia ludem zachodnich w Polsce Ludowej.

★

W ramach współpracy kulturalnej z NRD bawiła w Goerlitz orkiestra Państwowej Filharmonii we Wrocławiu pod dyr. Adama Kopycińskiego oraz dwie wokalistki — Stefania Woytowicz i Bogna Sokorska. Wzięli oni udział w transmitowanej przez Interwizję imprezie, którą zorganizowała telewizja NRD.

Natomiast do radzieckiego miasta Gorki, z którym Wrocław również już od dawna współpracuje, zostanie wysłana wystawa malarstwa i rzeźby artystów wrocławskich. We Wrocławiu zaś — na zasadzie wzajemności — będzie otwarta wystawa plastyków radzieckich.

★

Wydział Kultury Prezydium MRN w Zielonej Górze ogłosił ostatnio konkurs na widowisko historyczne o tematyce związanej z winobranieniem. Pierwsza nagroda wynosi 15.000 zł. Termin nadsyłania prac — do 30 maja bież. roku.

★

Wydziały kultury WRN pięciu zachodnich województw — Wrocławia, Poznania, Koszalina, Zielonej Góry i Szczecina — przystąpiły do tzw. „wspólnoty kulturalnej”, mającej na celu współdziałanie w zakresie upowszechnienia kultury w miasteczkach i na wsiach, organizowanie uniwersytetów powszechnych, wymianę doświadczeń w zakresie administrowania instytucjami kulturalnymi oraz wspólne organizowanie niektórych imprez o

problematyce związanej z ziemiami zachodnimi.

★

Wrocławski Teatr Lalek, egzystujący dotychczas jako „dodatek” do teatru „Rozmaitości”, otrzymał pełną samodzielność, przechodząc jednocześnie spod opieki Wydziału Kultury WRN pod opiekę Wydziału Kultury RN miasta Wrocławia.

MOŻNA BYŁO OBEJRZEĆ...

W okresie od połowy stycznia do końca lutego teatry wrocławskie dały cztery premiery: Teatr Polski na własnej scenie wystawił komedię Beaumarchais „Wesele Figara” w reżyserii A. Dobrowolskiego, a na scenie Teatru Kameralnego komedię Warmińskiego „Człowiek z głową” w reżyserii A. Młodnickiego. Teatr „Rozmaitości” zaś „Zawiszę Czarnego” Słowackiego w reżyserii A. Witkowskiego oraz „Pamiętnik Anny Frank” pary autorskiej Goodrich i Hackett w reżyserii H. Dzieduszyckiej. Studencki teatrzyk „Kalambur” wystąpił z programem pt. „Skandal w piwnicy”.

W Państwowym Teatrze Ziemi Opolskiej na scenie Teatru Lalek została wystawiona sztuka Johanna M. Simmla pt. „Kolega” w reżyserii St. Wieszczyckiego.

Teatr Ziemi Lubuskiej dał prapremierę sztuki miejscowych autorek — Ireny Kubiczkiej i Alicji Zatrzybownej — pt. „Ocalenie” (w reżyserii M. Okopińskiego). Autorki są z zawodu dziennikarkami i pracują w „Gazecie Zielonogórskiej”. Oto, co mówią one o swojej sztuce: „Chciałyśmy pokazać konflikty polityczne Anno 1946. Był to bardzo ciekawy i niezwykle rok w historii 16-lecia. Interesował nas szczególnie trudny w tych czasach problem wyboru postaw moralnych”. Akcja tej sztuki rozgrywa się na Ziemi Lubuskiej.

Niedawno powstały teatr w Gorzowie Wielkopolskim wystawił „Zemstę” Aleksandra Fredry w reżyserii K. Morawskiego.

★

W tym samym czasie w lokalu wrocławskiego CBWA, w pawilonie ZPAP, Muzeum Śląskim i kawiarni „Artystycznej” zorganizowano następującą wystawę: VIII Okręgowa Wystawa Fotografiki (wzięli w niej udział S. Arczyński, K. Czobaniuk, H. Derczyński, W. Jurkiewicz, J. Korpala, B. Michalik, T. Olśzewski, M. Prześlakowski, Z. Stanisławski, W. Strojny, L. Sudnik, L. Ślusarczyk i S. Wasilewicz, indywidualną wystawę malarstwa i rysunków młodego plastyka wroc-

ławskiego Jerzego Rosołowicza, wystawę malarstwa Sławomira Spychalskiego, dużą ekspozycję pt. „Sztuka ludowa na Dolnym Śląsku” i wystawę prac malarskich dzieci należących do sekcji plastycznej przy MDK.

★

W lutym czynna była w salach Muzeum w Zielonej Górze Wojewódzka Wystawa Prac Plastyków-Amatorów. Natomiast w lokalu ZPAP można było obejrzeć także indywidualne wystawy Mariana Szpakowskiego i Janny Zemojtel.

★

W Nysie (woj. opolskie) w salach Klubu Garnizonowego zorganizowano wystawę plakatu politycznego.

...I POSŁUCHAĆ

W koncertach otwartych Filharmonii Wrocławskiej w lutym br. wzięli udział soliści Kiyoko Tanaka, Bogna Sokorska i Paolo Raptis, dyrygowali Adam Kopyciński i Henryk Debich. 1 i 2 marca grała młodzieżka uczennica PWSM we Wrocławiu, wionaczelistka A. Szczudłowska z towarzyszeniem orkiestry pod dyr. Cwojdzinińskiego. Poza tym odbyły się dwa koncerty symfoniczne dla dzieci i sześć koncertów symfonicznych dla młodzieży.

★

Państwowa Filharmonia we Wrocławiu w poszukiwaniu nowych słuchaczy coraz częściej odwiedza świetlice i domy kultury. Koncerty popularne orkiestry Filharmonii cieszą się zastróżonym powodzeniem wśród robotników Pafawagu, M-5, Fabryki Wodomerzy i innych wielkich zakładów przemysłowych miasta. Projektuje się również wyjazdy z koncertami symfonicznymi do zakładów pracy w Wałbrzychu, Jeleniej Górze, Świdnicy i Turoszowie.

★

W 23 miejscowościach Opolszczyzny odbywają się koncerty Opolskiej Orkiestry Symfonicznej pod dyr. St. Michałka i R. Strugay. Również chór dziecięcy („Słowiki opolskie”) i mieszany pod dyr. E. Kajdasza występuje często w salach koncertowych, świetlicach i domach kultury Opolszczyzny.

★

W Powiatowym Domu Kultury w Kluczborku odbył się festiwal muzyki, pieśni i tańca, w którym wzięło udział 19 zespołów i 15 orkiestr tanecznych. Na wysoką ocenę zasłużył chór z Bekowa oraz zespół estradowy Huty Szkła w Wołczynie.



Piotr Kurowski, Zdzisława Młodnicka i Igor Przegrodzki we wrocławskim spektaklu „Człowieka z głową” Janusza Warmińskiego reżyserowanym przez Artura Młodnickiego.

(fot. Z. Mozer)

WIADOMOŚCI I WIADOMOŚTKI

W styczniu br. z inicjatywy RN m. Wrocławia powstał Wrocławski Instytut Naukowy. Instytut ten stanowi kontynuację istniejącego już od trzech lat Wrocławskiego Ośrodka Badawczego i ma trzy piony: humanistyczny, techniczny i ekonomiczny, które prowadzić będą kompleksowe prace badawcze nad wszechstronnie rozumianą problematyką miasta. Prace te zostaną z biegiem czasu rozszerzone na całe województwo. W skład komisji organizacyjnej weszli

profesorowie: B. Siwoń, E. Maleczyńska, J. Fiema, J. Różycki.

★
Wrocławska Ekspozytura Centrali Wynajmu Filmów obchodziła w lutym dziesięciolecie swego istnienia. W okresie tych dziesięciu lat mieszkańcy Dolnego Śląska obejrzeli 208.370 kopii filmowych.

★
W Piwnicy Świdnickiej we Wrocławiu otwarto w marcu br. tzw. Kino Studyjne. Wyświetlane są tu wyłącznie filmy o wysokich walorach artystycznych. Warto podkreślić, iż wstęp do tego

kina nie jest uzależniony od posiadania specjalnych kart.

★
Przy Prezydium Rady Narodowej miasta Wrocławia powstała Miejska Komisja Plastyczna, której zadaniem będzie opiniowanie projektów plastycznych elewacji domów, witryn sklepowych i wnętrz lokali usługowych. Jednocześnie Pracownia Sztuk Plastycznych zawarła umowę z prezydentami powiatowych rad narodowych, w myśl której plastycy z PSP będą udzielali wszelkich porad związanych z estetycznym wyglądem miasta. Dotychczas umowy takie podpisały: Zgorzelec, Kłodzko, Bystrzyca, Lwówek, Ząbkowice, Góra Śląska, Jawor i Dzierżoniów.

★
Klub Inteligencji w Sulechowie zorganizował własny „Teatr przy Stolicu”.

★
W Grodkowie (województwo opolskie) powstał przy PSS Klub Inteligencji zrzeszający 50 członków.

★
We wrocławskich stowarzyszeniach i związkach twórczych odbyły się zebrania sprawozdawczo-wyborcze, na których wybrano nowe władze: prezesem Stowarzyszenia Dziennikarzy został B. Winnicki, wiceprezesami W. Drozdowski, J. Wojtanowicz i A. Waligórski. Prezesem Stowarzyszenia Historyków Sztuki została (po raz czwarty) mgr M. Starzewska, a wiceprezesami mgr H. Dziurła i mgr A. Ziomecka; jako przewodniczący poszczególnych komisji weszli do Zarządu prof. dr M. Morelowski, prof. dr Z. Hornung, prof. dr J. Hawrot, dr O. Czerner, prof. dr T. Broniewski oraz mgr W. Oparek. Prezesem Stowarzyszenia Polskich Artystów Teatru i Filmu został ponownie A. Młodnicki. Prezesem Związku Kompozytorów został prof. R. Bukowski, wiceprezesem prof. K. Wilkomirski.

★
Z okazji 300-lecia prasy polskiej drużyna harcerska „Makusynów” w Zielonej Górze urządziła na Osiedlu Wazów wystawę czasopism ukazujących się aktualnie w kraju. Ekspozycja ta, odbywająca się w specjalnie na ten cel wyznaczonych piwnicach, cieszyła się ogromnym powodzeniem.

drzew.

ZIELONA GORA

Popularność konkursu Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich pt. „Ziemia Lubuska gospodarna, piękna i kulturalna” nadal nie słabnie. Świadczyć o tym może fakt, iż np. w Kożuchowie, niewielkim miasteczku powiatu nowosolskiego, w roku 1960 o palmę pierwszeństwa ubiegało się 35 instytucji, a w pracach społecznych brało udział aż 3,5 tys. osób. Wartość wykonanych prac przekroczyła pół miliona zł. Wykonując zadania konkursowe, oświetlono w Kożuchowie wiele ulic, odnowiono elewacje starych budynków, założono nowe boiska. Uczniowie tamtejszej szkoły podstawowej samodzielnie przeprowadzili renowację mebli szkolnych.

Nic więc dziwnego, że właśnie Kożuchów zajął pierwsze miejsce w zespole współpracujących ze sobą miast, otrzymując równocześnie nagrodę w wysokości 100 tys. zł. Tego samego zaszczytu w swojej grupie miast dostąpił także Czerwińsk, wyprzedzając już po raz trzeci inne osiedla Ziemi Lubuskiej. Natomiast najbardziej aktywną gromadą wiejską w województwie okazały się Brojce (powiat międzyrzecki).

Ponadto jury konkursu przyznało kilka wyróżnień poszczególnym instytucjom i organizacjom. 30 tys. zł otrzymało koło ZMS z Łagowa, po 20 tys. PGRN w Szczawinie oraz PMRN w Pszczewie i Kostrzynie. Dwie nagrody po 5 tys. zł przypadły w udziale kołom gospodyń wiejskich z Sokolej Dąbrowy i Brzozowa.

Ogółem na konkurs wpłynęło około 1.000 zbiorowych zgłoszeń. Jak już podaliśmy poprzednio, konkurs „Ziemia Lubuska gospodarna, piękna i kulturalna” jest imprezą stałą, a nagrody są przyznawane w początkach każdego roku za osiągnięcia z roku ubiegłego.

Do sukcesu swoich miejscowości w dużym stopniu przyczynili się tacy działacze, jak Cz. Chabura z Kożuchowa, K. Korcz, M. Jurasz i Cz. Nu-

ciński z gromady Brojce oraz J. Pietkin z Pszczewa.

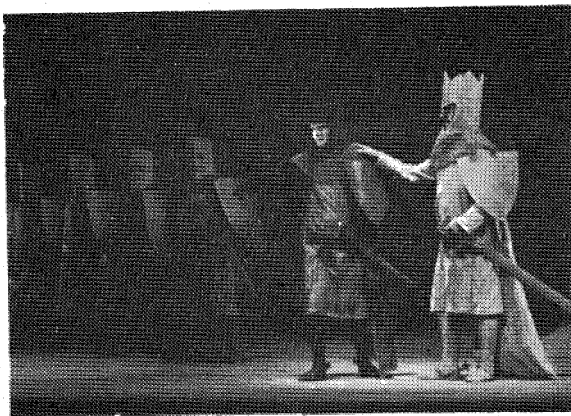
★
Konkurs: „Ziemia Lubuska gospodarna, piękna i kulturalna” nadal trwa. W Świebodzinie do akcji przystąpili również harcerze. Tamtejszy hufiec zobowiązał się wykonać dokładny spis istniejących jeszcze na terenie miasta rumowisk, śmietników, brudnych, opuszczonych zakątków itp. Spis zostanie przekazany świebodzińskiemu Komitetowi Konkursowemu, który z kolei zajmie się usunięciem owych zaniedbań.

★
I jeszcze raz o Brojcach. W gromadzie tej istnieje przy Gminnej Spółdzielni zespół muzyczny (opiekuje się nim także TRZZ), który w ubiegłym roku zdobył pierwszą nagrodę w zorganizowanym z okazji winobrania konkursie zespołów wiejskich. Zespół ten wystarał się o lokal na świetlicę, a następnie wyposa-

zył ją własnym kosztem (zakupiono nawet telewizor). Jest to obecnie główny ośrodek kultury w Brojcach.

★
Zarząd Wojewódzki TRZZ w Zielonej Górze, Zarząd Okręgowy ZBoWiD i Lubuskie Towarzystwo Kultury postanowiły przeprowadzić wspólnie różne akcje o charakterze propagandowym. M. in. projektuje się zorganizowanie Regionalnego Studium Naukowego dla działaczy kulturalno-oświatowych całego województwa, seminarium dla młodych poetów Ziemi Zachodnich oraz wiele wystaw, odczytów i spotkań z pisarzami.

★
Coraz lepiej rozwija się w Zielonogórskim kooperacja poszczególnych miast i zakładów produkcyjnych z miejscowościami i fabrykami innych województw. Powiat Gorzów nawiązał kontakty z Łomazowem Mazowieckim, mia-



Scena z wrocławskiego spektaklu „Zawisza Czarnego” Słowackiego w reżyserii Andrzeja Witkowskiego.

(fot. Z. Mozer)

sto Gorzów z Łowiczem, Bytom Odrzański z Bytomiem Śląskim, Zielona Góra z Piotrkowem Trybunalskim, Fabryka Wagonów „Zastal” w Zielonej Górze z Zakładami Cegielskiego w Poznaniu. Na razie kooperacja polega przede wszystkim na wymianie nadwyżek poszczególnych artykułów spożywczych i przemysłowych (w wypadku miast) oraz surowców i urządzeń (w wypadku zakładów produkcyjnych). Coraz lepiej rozwija się także współpraca w dziedzinie kultury i techniki.

★
W ciągu stycznia i lutego br. Zarząd Wojewódzki TRZZ w Zielonej Górze zorganizował około 40 odczytów o tematyce regionalnej i antyrewizjonistycznej. Oprócz tego zielonogórscy czytelnicy spotkali się z autorami bajek lubuskich: Izabellą Koniusz i Kazimierzem Malickim.

★
W styczniu czynna była w gmachu zielonogórskiego Muzeum Okręgowego wystawa o wymowie antyrewizjonistycznej pt. „Przypominamy, ostrzegamy”. Obecnie wystawa ta eksponowana jest po kolei w każdym mieście powiatowym Ziemi Lubuskiej.

★
W tym samym miesiącu delegacja zielonogórskiego i łódzkiego TRZZ bawiła w Eberswalde i Frankfurcie nad Odrą. Cel wizyty stanowiło rozszerzenie współpracy między tymi miastami a Zieloną Górą i Łodzią. W kwietniu spodziewany jest przyjazd do Zielonej Góry gości z NRD.

WROCLAW

Województwo wrocławskie posłada już 140 kół TRZZ i towarzystw miłośników poszczególnych miejscowości (to-

warzystwa te działają w oparciu o statut TRZZ). Do najbardziej aktywnych należy Towarzystwo Miłośników Ziemi Trzebnickiej. Jego członkowie, mimo że zostało ono założone dopiero w czerwcu ubiegłego roku, zdążyli już opracować własny program aktywizacji miasta i jego okolic. Czołowe miejsce zajmują tutaj sprawy związane z rozwojem lokalnego ośrodka wczasów niedzielnych. Trzebnica bowiem dzięki swemu pięknemu położeniu (bliskie sąsiedztwo lasów) i dużej ilości naprawdę ciekawych zabitek ma szansę stać się drugą Sobótką. Planami Towarzystwa Miłośników Ziemi Trzebnickiej zainteresowały się już takie wrocławskie zakłady i przedsiębiorstwa, jak Pafawag, M-5, Centrostal i Hala Ludowa. Wyraziły one chęć utworzenia tam własnych ośrodków campingowych.

Halina Winiarska i Zygmunt Nawrocki w zielonogórskim spektaklu komedii Rittnera „Człowiek z budki suflera” reżyserowanym przez Marię Straszewską. (fot. Jerzy W. Brzoza)



Pracami Towarzystwa kierują dr Jerzy Kos i mgr Mieczysław Miszewski — obaj poeci — znani zresztą nie tylko mieszkańcom Trzebnicy.

★
Duże zasługi w rozwoju kół TRZZ w województwie wrocławskim położył dyrektor Okręgowego Urzędu Poczty i Telekomunikacji, Józef Nikon. Dzięki jego staraniom prawie przy każdym urzędzie pocztowym na Dolnym Śląsku istnieje już koło TRZZ.

★
Przez cały styczeń w salach Wojewódzkiej Rady Narodowej we Wrocławiu można było zwiedzać urządzoną przez TRZZ wystawę fotograficzną pt. „15 lat polskiej pracy nad Odrą, Nysą Łużycką i Bałtykiem”. Ekspozycja była ona także w kuluarach Hali Ludowej, gdzie odbywały się obrady IV Kongresu Techniki.

★
Dobrymi wynikami pracy może pochwalić się Zarząd Powiatowy TRZZ w Jaworze. W ubiegłym roku zorganizowano tu kilka wystaw obrazujących polskie tradycje powiatu, zwerbowano społecznych opiekunów poszczególnych zabytków i urządzono dwa ogródki jordanowskie, w Jaworze i Bolkowiu. W ostatnim natomiast czasie wydrukowano 2000 pamiątkowych pocztówek z herbem Jawora i krótką informacją historyczną. Obecnie w opracowaniu znajduje się demograficzno-gospodarczy informator powiatowy. W zbieraniu materiałów pomaga koło ZMS przy Liceum Ogólnokształcącym w Jaworze.

Spośród tamtejszych działaczy TRZZ najbardziej aktywni są: mgr Adam Kościukiewicz, dyr. Eugeniusz Łuczko i mgr Tadeusz Steć.

★
Zarząd Powiatowy TRZZ w Kamiennej Górze objął patronat nad tamtejszym Muzeum Regionalnym. Warto podkreślić, że nie jest to bynajmniej opieka czysto formalna: z kasy Zarządu trzykrotnie już Muzeum otrzymało bezzwrotną dotację na zakup ekspozatów.

Duże zasługi w pracy nad rozwojem tamtejszego oddziału ma skarbnik Zarządu Powiatowego i zarazem dyrektor Banku w Kamiennej Górze, Jerzy Zabłocki.

★
Z inicjatywy TRZZ powstał w Nowej Rudzie Społeczny

Komitet Budowy Retransmisyjnej Stacji Telewizyjnej.

OPOLE

W styczniu odbyło się II Plenum Zarządu Wojewódzkiego TRZZ w Opolu. Podczas obrad wysunięto wiele cennych wniosków. Między innymi postanowiono wystąpić do władz centralnych z propozycją przyznania posiadaczom Śląskiego Krzyża Powstańczego uprawnień zbliżonych do tych, jakie mają odznaczeni Krzyżami Orderu Odrodzenia Polski, poczynić starania o zwiększenie możliwości wydawniczych Instytutu Śląskiego w Opolu oraz zwerbować około 3 tys. członków spośród ludności wiejskiej.

★
Luty upłynął w Opolu pod znakiem organizowania Tygodnia Ziemi Opolskiej w województwie łódzkim. Program tygodnia przedstawiał się naprawdę imponująco. Wymienić tutaj można oczywiście tylko niektóre imprezy, jakie w dniach od 17 do 28 lutego odbyły się z tej okazji w Łodzi, gdyż dokładny ich rejestr zajmuje kilka stron maszynopisu. A więc na przykład: wystawa archeologiczna, wystawa pt. „Ruch polski na Opolszczyźnie w okresie międzywojennym”, „Opole dzisiejsze i w przyszłości”, itd. — raz em siedem ekspozycji, odczyty i spotkania z przedstawicielami opolskiego ośrodka naukowego i literackiego, występy opolskiego teatru w różnych miejscowościach województwa łódzkiego, występy chórów, zespołów pieśni i tańca, wyświetlanie filmów o Opolszczyźnie, specjalne audycje w radio, publikacje w prasie itp. Wyjechał do Łodzi nawet miejski trębacz z Opola, który przez trzy dni wygrywał hejnał swojego grodu z wieży starego ratusza łódzkiego. Dni Ziemi Opolskiej zyskały w Łodzi dużą popularność.

★
Swego rodzaju osobliwością jest Muzeum Ziemi Namysłowskiej. Powstało ono bez jakichkolwiek dotacji państwowych, siłami wyłącznie społecznymi. Działacze TRZZ i Towarzystwa Mikołników Ziemi Namysłowskiej, jak dyr. Dębicki, mgr Zarecki,

pp. Kuliński i Wojtas, są jego kustoszami, przewodnikami i konserwatorami. Nie zostało ono bowiem jeszcze upaństwowione, nie może zatem posiadać żadnego etatowego pracownika. A zbiory są już dosyć bogate — jest dział archeologiczny, etnograficzny, historyczny i dział przemysłu artystycznego. W jaki sposób zgromadzone te zbiory? Oto, co mówi na ten temat współorganizator muzeum p. Kuliński:

— Dziewiętnastowieczny obraz Namysłowa znalazłem np. w wieży ratusza, stare fotele radnych wały się w jednej z instytucji. Poza tym chodziliśmy po domach. W krótkim czasie jednak nawet znajomi przestali zapraszać nas do siebie: „Zaraz coś ściągną” — mówili. Ogłosiliśmy wtedy apel do wszystkich mieszkańców, zwracając się z prośbą o dary. W zamian umieszczaliśmy w gablocie pod danym ekspozatem nazwisko ofiarodawcy. Wówczas sprawa muzeum stała się sprawą całego miasta.

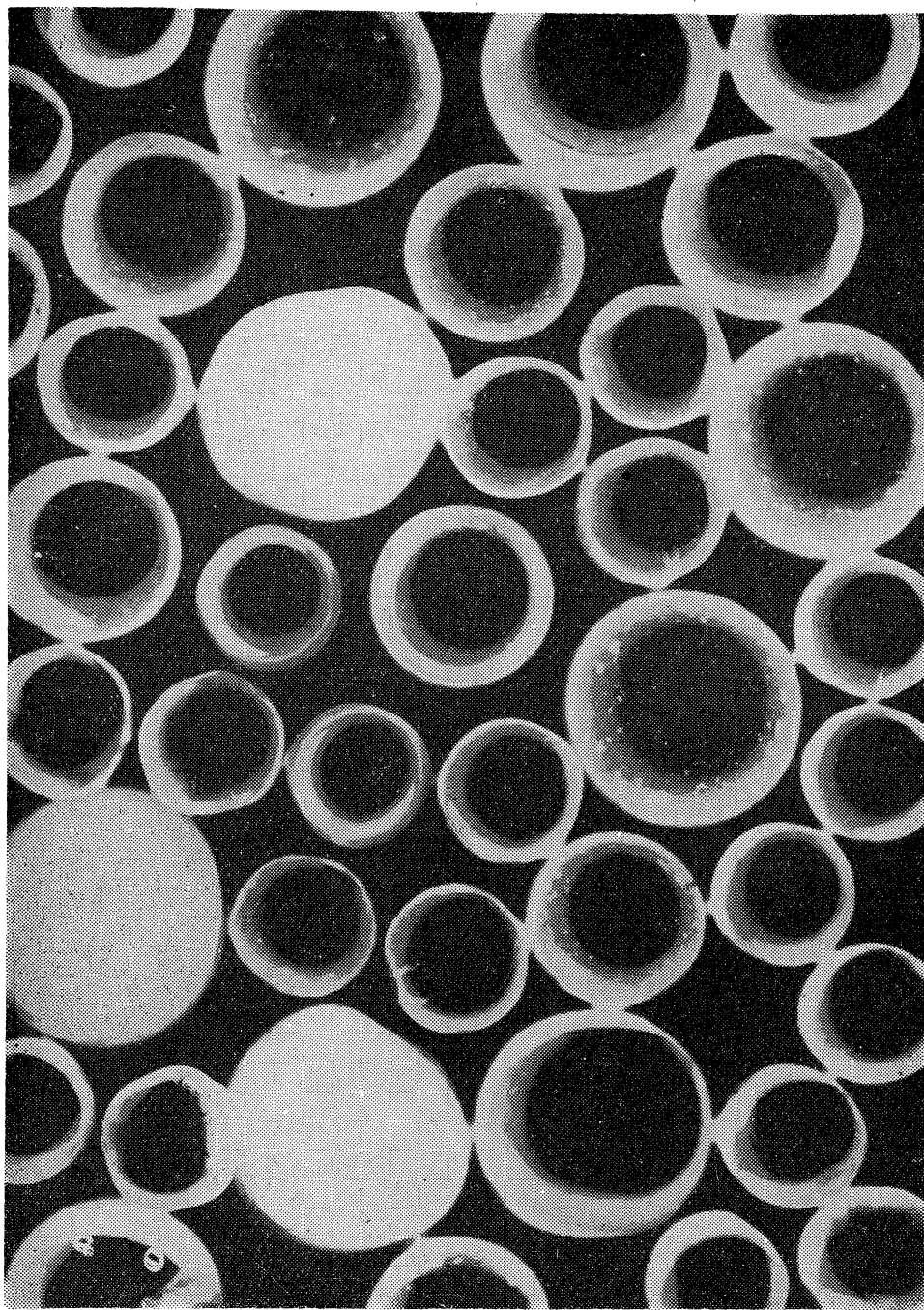
W muzeum urządziła się także ekspozycja okresowa, jak np. wystawa pt. „Walka o polskość Śląska Opolskiego” zwiędzilo ją około 4 tys. osób.

Muzeum mieści się w salach na parterze starego Ratusza. Jeszcze niedawno stały one zupełnie puste, mury zebrała wilgoć, a stropy groziły zawaleniem. Teraz sale są odnowione, a po obejrzeniu zbiorów można przejść na kawę do sąsiadującego z muzeum pierwszego w województwie Klubu TRZZ.

Skoło już mówimy o Namysłowie, trzeba jeszcze wspomnieć o XIV-wiecznej Bramie Piastowskiej, której konserwację przeprowadzono dzięki usilnym staraniom p. Kulińskiego. Ten ostatni wspólnie z mgr Kortą i mgr Zareckim kończą obecnie monografię powiatu.

W tym niewielkim powiecie Oddział TRZZ liczy prawie tysiąc członków (ogółem w województwie jest ich 9 tysięcy). Niedługo liczba ta znacznie wzrośnie. Powstają bowiem nowe koła nie tylko w samym mieście, ale także w okolicznych osiedlach i wsiach, jak np. w Domaszewicach, Wilkowie Namysłowskim i Bukowie Śląskiej.

Zestawił: Dionizy Sidorski



Sfery

Fot. Zdzisław Zieliński

Książki nadeślane

Bajki Ezopowe. Przełożył i opracował Marian Goliaś. Biblioteka Narodowa II 127. Wrocław - Kraków 1961, s. XLIV + 137.

Firdausi - Opowieść o miłości Zala i Rudabe. (Wyjęta z *Szach-name*). Z oryginału perskiego przełożył, wstępem i przypisaniami opatrzył Franciszek Machalski. Biblioteka Narodowa II 123. Wrocław - Kraków 1961, s. XLVI + 101.

Larson John C., Hagopian Robert, Stern Jack I., Stevenson Harry L., Williamson Ed. - *Czynnik ludzki w zapobieganiu wypadkom przy pracy w przemyśle.* Tekst z języka angielskiego przełożył: Xymena Gliszczynska i Jadwiga Kostrowska. Przedmowa do polskiego wydania: Mieczysław Chojnowski. Wrocław 1961, s. 142.

Leszczyński Józef - *Ruchy chłopskie na Pogórz Sudeckim w drugiej połowie XVII wieku.* Monografie Śląskie Ossolineum pod red. Józefa Gierowskiego, II. Wrocław 1961, s. 390 + 1 mapka.

Parandowski Jan - *Wspomnieniu i sylwetki.* Wrocław 1960, s. 265.

Śląsk - Walka wyzwolenicza, gospodarka, kultura. Wrocław 1961, s. 229 + 22 tabl.

Zagadnienia Rodzajów Literackich. Tom III, zeszyt 2 (5). Łódzkie Towarzystwo Naukowe, Łódź 1960, s. 221.

WYDAWNICTWO „ŚLĄSK”

Galuszka Jerzy - *Ucieczka w noc.* Powieść. Katowice 1960, s. 229.

Hrabar Roman Zbigniew - *Hilferowski rabunek dzieci polskich (1939-1945).* Uprowadzenie i germanizowanie dzieci polskich w latach 1939-1945. Śląski Instytut Naukowy, Katowice 1960, s. 151.

Spóźnieni... Sytuacja przesiedleńców górnośląskich w Niemieckiej Republice Federalnej. Opracował Rudolf Buchała. Śląski Instytut Naukowy, Katowice 1960, s. 36.

Szewczyk Wilhelm - *Wyprzedzać samotności.* Powieść. Wyd. II, s. 291, Katowice 1960.

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Boguszewska Helena - *Czekamy na życie.* Wyd. II. Warszawa 1961, s. 255.

Bondariew Jurij - *Ostatnie strzały.* Powieść. Przełożyły: Irena Kosiba i Irena Piotrowska. Warszawa 1960, s. 295.

Chróścielewski Tadeusz - *Mieścić utajony.* Poezje. Warszawa 1960, s. 43.

Dąbrowski Stanisław - *Adolfina Zimajer.* Monografie czołowych artystów sceny polskiej. Warszawa 1960, s. 104 + 17 tabl.

Eckermann Johann Peter - *Rozmowy z Goethem,* t. 1-2. Tłumaczyli: Krzysztof Radziwiłł i Janina Zeltzer. Postowie i przypisy Barbary Placzkowskiej. Warszawa 1960, s. 501 + 9 tabl. i 501 + 9 tabl.

Fiedin Konstanty - *Koniec świata i inne opowiadania.* Przełożyła Barbara Rafalska. Warszawa 1961, s. 277.

Gomułcki Wiktor - *Opowiadania o Starej Warszawie.* Opracował Juliusz W. Gomułcki. Biblioteka Syrenki, Warszawa 1960, s. 634.

Gomułcki Wiktor - *Pod parasolem.* Wybór opowiadań. Opracował Roman Taborski. Warszawa 1961, s. 466.

Irys. *Opowiadania japońskie.* Przełożyła Anna Gostyńska. Warszawa 1960, s. 139.

Jabłonkówna Leonia - *Aleksander Węgierko.* Monografie czołowych artystów sceny polskiej. Warszawa 1960, s. 168 + 33 tabl.

Jasienica Paweł - *Dwie drogi.* O powstaniu styczniowym. Warszawa 1960, s. 411.

Karpowicz Tymoteusz - *Znaki równania.* Poezje. Warszawa 1960, s. 60.

Kawierin Wieniamin - *Nieznany przyjaciel.* Powieść. Przełożył Stanisław Nowacki. Warszawa 1960, s. 193.

Kijowski Andrzej - *Miniatury krytyczne.* Warszawa 1961, s. 259.

Krleża Mirosław - *Świerszcz pod wodospadem i inne opowiadania.* Przełożyli: Alicja Dukanowicz, Halina Kalita, Maria Krukowska, Irena Olszewska i Zygmunt Stoberski. Warszawa 1961, s. 212.

Kubiak Tadeusz - *Zdjęcie maski.* Poezje. Warszawa 1960, s. 136.

Kwiatkowski Jerzy - *Szkice do portretów.* Krytyka literacka. Warszawa 1960, s. 134.

Lagerlöf Selma - *Gösta Berling.* Przełożył Mirandola. Biblioteka Arcydzieł. Warszawa 1961, s. 452.

Odrodzenie w Polsce. Materiały sesji naukowej PAN 25-30 października 1953 r. Tom III. Historia języka, cz. 1. Pod red. Marii Renaty Mayenowej i Zenona Klemensiewicza. Warszawa 1960, s. 562.

Ostromięcki Bogdan - *Wieża z ziarnek maku.* Poezje. Warszawa 1960, s. 52.

Pamiętniki dekabrystów. T. 1-3. Przełożyli: Krzysztof Radziwiłł i Janina Zeltzer. Wstęp Wiktorii Sliwowskiej. Przypisy opracowali: w t. 1 i 2 - Wiktorii Sliwowska, w t. 3 - Wacław Zawadzki. Biblioteka Pamiętników Polskich i Obcych pod red. W. Zawadzkiego, Warszawa 1960, s. 483 + 17 tabl., 664 + 17 tabl., i 910 + 17 tabl.

Prus Bolesław - *Kroniki.* Tom X. Opracował Zygmunt Szweykowski. Warszawa 1960, s. 530.

Rocznik Warszawski, I, 1960. Archiwum Państwowe m. st. Warszawy i woj. warszawskiego, Warszawa 1960, s. 422 + 4 mapki.

Rolicz-Lieder Wacław - *Poezje wybrane.* Wybrał i wstępem poprzedził Juliusz W. Gomułcki. Biblioteka Poetów, Warszawa 1960, s. 129.

Roth Józef - *Falszywa waga.* Powieść. Przełożył Aleksander Wat. Postowie Jana Koprowskiego. Warszawa 1961, s. 160.

Rudnicki Adolf - *Naręczony Beauty.* *Niebieskie kartki.* Warszawa 1961, s. 290.

Rzewuski Henryk - *Pamiętki Soplicy.* Opracowała Zofia Lewinówna, wstępem poprzedziła Maria Zmigrodzka, ilustrował Antoni Uniechowski. Warszawa 1961, s. 425.

Shaw Bernard - *Kwintesencja ibsenizmu.* Przełożyła Cecylia Wojewoda. Warszawa 1960, s. 244.

Singer Izrael Jozue - *Josie Kalb.* Powieść. Postowie Stanisława Wygodzkiego. Warszawa 1961, s. 299.

Słobodnik Włodzimierz - *Kamienny cień.* Zbiór nowych wierszy. Warszawa 1961, s. 124.

Triole Elza - *Róże na kredyt.* Z cyklu: *Era nylonu.* Przełożył Gabriel Karski. Klub Interesującej Książki, Warszawa 1961, s. 284.

Waydel-Dmochowska Jadwiga - *Jeszcze o dawnej Warszawie.* Biblioteka Syrenki. Warszawa 1960, s. 384.

Wolter - *Kandyd czyli Optymizm*. Przełożył i wstępem poprzedził Tadeusz Zieliński (Boy). Biblioteka Arcydzieł. Warszawa 1961, s. 151.

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „CZYTELNIK”

Dąbrowska Maria - *Wybór opowiadań*. Biblioteka Powszechna. Warszawa 1960, s. 267.

Iwanter Nina - *Znowu sierpień*. Powieść. Tłumaczyła Zofia Korczak-Zawadzka. Biblioteka Powszechna. Warszawa 1960, s. 311.

Jawicz August - *Światło poranne*. Opowiadania. Tłumaczyli: Krystyna Pomorska i René Sliwowski. Warszawa 1960, s. 303.

Narayan R. K. - *Przewodnik*. Powieść. Tłumaczył Henryk Krzeczkowski. Warszawa 1960, s. 264.

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Aytoun W. E., Balzac H., Collins W. W., Dickens Ch., France A., Gautier T., Irving W., Macleod N., Merimée P., Poe E. A., Scott W., Sheridan le Fanu J., Villiers de l'Isle-Adam A., de Vogüe E. M., Warren S., Wilde O. - *Fantastyczne*

opowieści. Tłumaczyli: Z. Jachimiecka, Z. Krajewska, R. Pitera, W. Rogowicz i M. Traczewska. Okładka i ilustracje Daniela Mroza. Kraków 1961, s. 467.

Gruszecki Artur. - *W starym dworze*. Powieść. Posłowie Danuty Brzozowskiej. Kraków 1961, s. 138.

Kaden-Bandrowski Juliusz - *Czarne skrzydła*. Tom I: *Lenora*. Tom II: *Tadeusz*. Posłowie Jana Zbigniewa Słowieskiego. Dzieła Juliusza Kadena Bandrowskiego. Kraków 1961, s. 354 i 377.

Makuszyński K. i Walentynowicz M. - *O wawelskim smoku*. Kraków 1961, s. 20.

Orkan Władysław - *Komornicy*. Powieść. Dzieła pod red. Stanisława Pigonia. Kraków 1961, s. 181.

Stefana Zeromskiego *kalendarz życia i twórczości*. Opracowali: Stanisław Kasztelowicz i Stanisław Eile. Kraków 1961, s. 571.

Sztaudynger Jan Izidor - *Piórka z gór*. Okładka, ilustracje i układ graficzny Janusza Bruchnalskiego. Kraków 1961, s. 47.

Wydzga Tomasz - *Na ścieżkach Kanady*. Kraków 1961, s. 195 + 24 tabl.

Wyspiański Stanisław - *inscenizacje*. Dzieła zebrane pod red. Leona Płoszewskiego, tom 12, Kraków 1961, s. 303 + 23 tabl.

ADRES REDAKCJI: Wrocław, Podwale 63. Telefony: redaktor naczelny i sekretariat 355-16, sekretarz redakcji 357-89, centrala 340-31. Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

WYDAWCA: Wrocławskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa”.

PRENUMERATĘ przyjmują wszystkie urzędy pocztowe, listonosze i placówki „Ruchu” do dnia 15 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Należność można również wysyłać na konto: PKO Wrocław I — OM nr 8-6-13768. Prenumerata miesięczna wynosi zł 6, kwartalna — zł 18, półroczna — zł 36, roczna — zł 72. Cena jednego egzemplarza — zł 6.

DRUK: Zakłady Graficzne RSW „Prasa”, Wrocław, ul. Piotra Skargi 3/5. T-4



Koncert

Fot. Gustaw Różański



Piotr Kurowski, Zdzisława Młodnicka i Igor Przegrodzki we wrocławskim spektaklu „Człowieka z głową” Janusza Warmińskiego reżyserowanym przez Artura Młodnickiego.

(fot. Z. Mozer)

WIADOMOŚCI I WIADOMOŚTKI

W styczniu br. z inicjatywy RN m. Wrocławia powstał Wrocławski Instytut Naukowy. Instytut ten stanowi kontynuację istniejącego już od trzech lat Wrocławskiego Ośrodka Badawczego i ma trzy piony: humanistyczny, techniczny i ekonomiczny, które prowadzić będą kompleksowe prace badawcze nad wszechstronnie rozumianą problematyką miasta. Prace te zostaną z biegiem czasu rozszerzone na całe województwo. W skład komisji organizacyjnej weszli

profesorowie: B. Siwoń, E. Maleczyńska, J. Fiema, J. Różycki.

★
Wrocławska Ekspozytura Centrali Wynajmu Filmów obchodziła w lutym dziesięciolecie swego istnienia. W okresie tych dziesięciu lat mieszkańcy Dolnego Śląska obejrzeli 208.370 kopii filmowych.

★
W Piwnicy Świdnickiej we Wrocławiu otwarto w marcu br. tzw. Kino Studyjne. Wyświetlane są tu wyłącznie filmy o wysokich walorach artystycznych. Warto podkreślić, iż wstęp do tego

kina nie jest uzależniony od posiadania specjalnych kart.

★
Przy Prezydium Rady Narodowej miasta Wrocławia powstała Miejska Komisja Plastyczna, której zadaniem będzie opiniowanie projektów plastycznych elewacji domów, witryn sklepowych i wnętrz lokali usługowych. Jednocześnie Pracownia Sztuk Plastycznych zawarła umowę z prezydentami powiatowych rad narodowych, w myśl której plastycy z PSP będą udzielali wszelkich porad związanych z estetycznym wyglądem miasta. Dotychczas umowy takie podpisały: Zgorzelec, Kłodzko, Bystrzyca, Lwówek, Ząbkowice, Góra Śląska, Jawor i Dzierżoniów.

★
Klub Inteligencji w Sulechowie zorganizował własny „Teatr przy Stolicu”.

★
W Grodkowie (województwo opolskie) powstał przy PSS Klub Inteligencji zrzeszający 50 członków.

★
We wrocławskich stowarzyszeniach i związkach twórczych odbyły się zebrania sprawozdawczo-wyborcze, na których wybrano nowe władze: prezesem Stowarzyszenia Dziennikarzy został B. Winnicki, wiceprezesami W. Drozdowski, J. Wojtanowicz i A. Waligórski. Prezesem Stowarzyszenia Historyków Sztuki została (po raz czwarty) mgr M. Starzewska, a wiceprezesami mgr H. Dziurła i mgr A. Ziomecka; jako przewodniczący poszczególnych komisji weszli do Zarządu prof. dr M. Morelowski, prof. dr Z. Hornung, prof. dr J. Hawrot, dr O. Czerner, prof. dr T. Broniewski oraz mgr W. Oparek. Prezesem Stowarzyszenia Polskich Artystów Teatru i Filmu został ponownie A. Młodnicki. Prezesem Związku Kompozytorów został prof. R. Bukowski, wiceprezesem prof. K. Wilkomirski.

★
Z okazji 300-lecia prasy polskiej drużyna harcerska „Makusynów” w Zielonej Górze urządziła na Osiedlu Wazów wystawę czasopism ukazujących się aktualnie w kraju. Ekspozycja ta, odbywająca się w specjalnie na ten cel wyznaczonych piwnicach, cieszyła się ogromnym powodzeniem.

drzew.

**W najbliższych
numerach:**

Romuald Cabaj
OPOWIADANIA TYSIĄCLETNIE

Bożenna Chmielewska
NADODRZE W OCZACH SOCJOLOGÓW

Jan Gawalkiewicz
WROCŁAWSKIE OBRACHUNKI LITERACKIE

Karol Jonca i Alfred Konieczny
W PŁONĄCYM WROCŁAWIU

Józef Kokot
CZY NIEMCY SĄ PRZELUDNIONE

Krzysztof Kwaśniewski
ŚLADAMI KOLBERGA

Edward Marczewski
MŁODA MATEMATYKA NAD ODRA

Tadeusz Mikołajek
DOM

Edward Pochroń
INŻYNIEROWIE, MŁODOŚĆ, STABILIZACJA

Leszek Prorok
TEATR WIELKICH PROPOZYCJI

Jan Reiter
DAWNA PRASA POLSKA WE WROCŁAWIU

Tadeusz Różewicz
NOWE WIERSZE

Wilhelm Szewczyk
**WSPOMNIENIA PIERWSZEGO REDAKTORA
„ODRY”**

Roman Szydłowski
BRECHT I FELSENSTEIN
czyli o prawdziwym nowatorstwie

Cena 6 zł